Bibl. ogr. ~~dubl.~~ do 63.306
Ks R

KOMEDYE

ALEXANDRA HRABIEGO FREDRY.

TOM IV.

ŚLUBY PANIEŃSKIE. PAN JOWIALSKI.
NOCLEG W APENINACH.

WYDANIE CZWARTE.

D.13.584

Z PORTRETEM AUTORA.

Piotrowski

WARSZAWA.
NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.
1871.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
096876

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Апрѣля 1871 г.

w Drukarni Kuryera Warszawskiego.

ŚLUBY PANIEŃSKIE

CZYLI

MAGNETYZM SERCA.

KOMEDYA

W PIĘCIU AKTACH, WIERSZEM.

Rozum mężczyzną, białogłową affekt tylko rządzi; oraz kocha, oraz nienawidzi; nie gdzie rozum, ale gdzie affekt, tam wszystka.

And. Max. Fredro.

OSOBY.

PANI DOBRÓJSKA.
ANIELA.
KLARA.
RADOST.
GUSTAW.
ALBIN.
JAN.

Scena na wsi w domu PANI DOBRÓJSKIEJ.

ŚLUBY PANIEŃSKIE.

AKT I.

(Duży pokój — dwoje drzwi w głębi — trzecie drzwi po prawej stronie sceny do pokojów Pani Dobrójskiej — czwarte po lewej do pokoju Gustawa, okno.)

SCENA I.

Jan *(sam).*

(w płaszczu zarzuconym na ramiona — chodzi — patrzy w okno potém mówi, ziewając)

Czekaj mnie, nie śpij, powrócę o trzeciej.
Piękna mi trzecia: słońce jak w dzień świeci,
A mój pan drogi gnie sobie parole,
Albo z butelką.... albo... No! już milczeć wolę.

SCENA II.

Jan, Radost.

Radost *(idąc ku drzwiom Gustawa).*

Śpi Gucio?

Jan.

Czy śpi? — Jak zabity, panie.

Radost.

Lubi spać hultaj.

Jan *(zastępując od drzwi).*

Niechże pan nie chodzi.

Radost.

A to dla czego?

Jan.

Bo śpi.

Radost.

Nic nie szkodzi.

Jan *(zastępując).*

Będzie się gniewał.

Radost.

Nic mi się nie stanie.

Jan.

Dopiéro zasnął— ledwie pół godziny.

Radost.

Cóż w nocy robił?

Jan.

Nie spał!

Radost.

A z przyczyny?

Jan.

Z przyczyny?— Zasłabł.

Radost *(troskliwie).*

Zasłabł.

Jan *(z westchnieniem).*

Niespodzianie.

Radost.

Cóż mu jest?

Jan.

Co jest?— jakiś zawrót głowy...

Radost.

Hm!

Jan.

Wstręt do wody.....

Radost.

Hm!.....

Jan.

Pragnienie wina....

Radost.

Hm! proszę, proszę, wieczór jeszcze zdrowy!

Jan *(wzruszając ramionami).*

Ha! słabość, panie, piorunem zaczyna.

Radost *(do siebie).*

Hm! wstręt, pragnienie! hm... hm... zawrót głowy.

Jan.

Niechno się wyśpi, po południu wstanie.

Radost.

Chciałem być w domu i dziś tu z powrotem;
Lecz taką rzeczą ani myśleć o tém.

Jan.

Owszem, jedź pan, jedź; ręczę, że za chwilę...

Radost.

A sen spokojny?

Jan *(zastępując drogę).*

Lada co obudzi.

Cicho, dla Boga.

Radost.

Drzwi tylko uchylę.

Jan.

Ale drzwi skrzypią.

Radost.

Własnemi oczyma...

Jan *(odstępując).*

Ha! kiedy już tak! Niech się pan nie trudzi;
Darmo tam patrzeć— mego pana niema.

Radost.

Niema?

Jan.

A niema.

Radost.

Gdzież jest?

Jan.

Ztąd o milę.

Radost.

Jak? co?

Jan.

Pojechał.

Radost.

Dokąd?

Jan.

Do Lublina.

Radost.

Do Lu... Lu...

Jan *(z ukłonem kończąc słowo).*

blina.

Radost.

Kiedy?

Jan.

Wczoraj.

Radost.

Po co?

Jan.

Nie wiem.

Radost.

Macież go! już szaleć zaczyna,
Już, Bogu dzięki.— Jeździć, latać nocą....
I czegoż stoisz, panie zawrót głowy?
Hm! wstręt do wody! co?— wina pragnienie?

Jan.

Stoję na warcie, muszę być gotowy
Otworzyć okno na pierwsze skinienie.

Radost.

Naco otworzyć?

Jan.

Dla mojego pana:
Tędy wychodzi, tędy się i wchodzi.

Radost *(załamując ręce).*

Przez okna łazić śród jasnego rana!
To waryata prawdziwie dowodzi.

(ironicznie)

I kiedyż wróci na swoje wesele?

Jan.

Jeśli mu wierzyć, miał o trzeciej wrócić.

Radost *(do siebie).*

O, muszę, muszę cugli mu przykrócić!

O, czego nadto, tego i za wiele!

(słychać pukanie do okna)

Jan *(idąc do okna).*

Niechże pan łaje, bo przybywa właśnie.

(otwiera okno)

SCENA III.

Gustaw *(ubrany do konia)*, **Jan, Radost.** *(w głębi)*

Gustaw *(włażąc przez okno).*

To czas!— Niech go piorun trzaśnie!

Jan.

Dobrze pan mówi; bogdajby go trzasnął!

Gustaw.

A co? śpią jeszcze?

Jan.

Byłby sen nie lada!

Gustaw.

Trochem się spóźnił.

Jan.

Mnie to pan powiada.

Gustaw.

Pewnieś nie dospał.

Jan.

Gdybym był choć zasnął.

Gustaw.

(oddając pręt, czapkę, rękawiczki i ocierając twarz).

No, prawdę mówiąc, jak jestem na świecie,
Jeszczem tak pięknie zębami nie dzwonił:
Wicher, deszcz, zimno... psa by nie wygonił.

Radost.

A ciebie wygonił przecie.

SCENA IV.

Radost, Gustaw.

Gustaw.

A, stryjaszek! *(całując w rękę)* Dzień dobry!

Radost *(oziębłe).*

Witamy z podróży!

Gustaw.

Już wstałeś?

Radost.

Jeszcześ nie spał?

Gustaw.

Dość czasu.

Radost.

Dzień duży.

Gustaw.

Dopiéro świta.

Radost.

Świta, ale w twojej głowie.

Gustaw.

Niech i tak będzie, niech świta na zdrowie,
Byle mnie kochał stryjaszek kochany,

Był mi zawsze zdrów, czerstwy i rumiany.
Lecz, cóż to? mars? mars? fe! precz z nim do licha!
(zaglądając w oczy)
No... proszę... troszkę.— Niknie wyraz srogi,
Czoło się równa... oko się uśmiecha,
Otóż tak lubię, *(ściskając go)* mój stryjaszku drogi!

Radost *(płaczliwie, zawsze dając przestrogi).*
Mój Gustawie, powiedz mi: chcesz, czy nie chcesz żony?

Gustaw.
Chcę, chcę, stryjaszku.

Radost.
Pewnie?

Gustaw.
Jestem jej spragniony—

Radost.
Takiżeto więc sposób wyszukałeś sobie?

Gustaw.
Ja nic dotychczas nie wiem o sposobie.

Radost.
Te wycieczki przez okna, te nocne wyprawy.

Gustaw.
I cóż?

Radost *(zniecierpliwiony).*
Cóż! Panna!

Gustaw.
A, bardzom ciekawy,
Co moję pannę obchodzić może,
Kiedy, jak i gdzie ja się spać położę?

Nie śpię— tém lepiej dla niej, bo na jawie
Nią tylko jedną myśli moje bawię,
I do niej wzdycham jak w dzień, tak i w nocy;
Ale jak zasnę— jestże to w mej mocy?

Radost *(płaczliwie).*

Mój Gustawie! — Dla Boga, porzuć myśli płoche,
I raz tylko, raz pierwszy zastanów się trochę.
Kilka dni jesteś pośród tak godnej rodziny,
I niema dnia jednego.... gdzietam dnia!... godziny,
Żebyś czegoś nie zbroił, aż się serce kraje.
Pani Dobrójska sama opiekę ci daje;
Nie idąc wzorem matek, co nos górą noszą,
Kiedy w duszy o zięcia wszystkich Świętych proszą,
Pamiętna twych rodziców i mojej przyjaźni,
Swój zamiar względem ciebie głosi bez bojaźni.
Ale wszystko napróżno, daremnie się trudzi:
Miejski panicz w wieśniakach innych widzi ludzi;
Swoich nudów nie kryje, grzeczności nie sili,
I chce dać uczuć wartość każdej swojej chwili.
Wróbel się tylko, mówią, pustej strzechy trzyma,
Ale co w twojej głowie już i wróbla niema.

Gustaw *(ze szczerem zastanowieniem).*

Prawda, prawda stryjaszku, zbyt słuszne przestrogi;
Ach, ojcowskiemi strzeżesz mnie oczyma.

(ściskając go)

O, jesteś dla mnie skarb, przyjaciel drogi,
Dzięki ci, dzięki za twoje przestrogi.

Radost *(z rozczuleniem ściskając go).*

Mój ty poczciwy, mój luby Gustawie!

Gustaw.

Mój przyjacielu, mój ojcze kochany!
Zobaczysz, jak się ogromnie poprawię,
Bylem miał tylko powód do odmiany.
A teraz zgadnij, jaką dziś zabawę...

Radost.

O dla Boga! on swoje! otóż masz poprawę!
Ach zmiłuj się, uważaj, powiedz, czy to ładnie,
Że z domu pan zalotnik oknem się wykradnie,
Aby noc całą Bóg wie nie gdzie trawić!

Gustaw.

Ależ stryjaszku, ja się muszę bawić.

Radost.

Bawić!

Gustaw.

A w prawdzie, w tym szanownym domu,
Gdzie każdy dla mnie aż nadto łaskawy,
Gdzie nie ubliżam w niczém i nikomu,
Żadnej dotychczas nie widzę zabawy.

Radost.

Idzież tu o zabawę, wrzawę nieustanną?

Gustaw.

Ależ o nudy idzie.

Radost.

Nudy z piękną panną!

Gustaw.

Nie będą nudy, jak się kochać będę.

Radost.

I kiedyż to nastąpi?

Gustaw.

Jak się z nią ożenię.

Radost.

Albo inaczej: jak na koszu siędę.

Gustaw.

Ba, ba, ba! jeszcze czego.

Radost.

I z kąd pewność, że nie?
Jestże to napisano, wyryto na niebie,
Że Aniela koniecznie musi pójść za ciebie?

Gustaw.

Pójdzie, pójdzie stryjaszku.

Radost.

Tylko bardzo proszę,
Niech samochwalstwa od ciebie nie znoszę.

Gustaw.

Do samochwałów któż tego policzy,
Który rozsądnie zważa i powiada,
Że gdzie dwie rodzin związku sobie życzy,
Związku się w końcu spodziewać wypada?

Radost.

Prawda, jeśli Aniela choć trochę polubi.

Gustaw.

Bądź z łaski swojej spokojny w tym względzie,
Już ja ci ręczę, wszystko dobrze będzie.

Radost.

Nadto pewności, i ta pewność zgubi.

Gustaw.

Już spuść się na mnie... ale dość tych fraszek.
Teraz niech zgadnie kochany stryjaszek....

Radost.

Pewnie, gdzie byłeś?

Gustaw.

Gdziem bawił tak długo.

Radost.

Wymów już, wymów, bo cię diable dusi.

Gustaw.

Na miejskim balu byliśmy przebrani.

Radost.

Na jakim balu?

Gustaw.

Pod złotą papugą.

Radost.

W karczmie!

Gustaw.

Przebrani.

Radost.

O Boże! o Boże!

Gustaw.

Tego młodemu nikt pewnie nie zgani.

Radost *(ironicznie).*

Pewnie pochwali?

Gustaw.

Bo pochwalić musi.

Radost.

Piękna mi szkoła!

Gustaw.

Lepsza być nie może.
Na małym świecie, co się wielkim mieni,
Gdzie każdy trwożnie po ślizkiej przestrzeni,
Jakby na szczudłach i w przyłbicy chodzi,
Tam, czém są ludzie, niechaj nikt nie bada.
Ale gdzie człowiek mało pozór ceni,
Przybranym kształtem nie chce i nie zwodzi,
Gdzie więcej wola, niż rozum nim włada,
Tam chwytaj penzel, wzór stoi gotowy.

Radost.

Otóż go macie! Jest La Bruyère nowy.

(płaczliwie)

Guciu! dopiéroś dziękował za radę.

Gustaw *(nie słuchając).*

I co mi teraz przychodzi do głowy.

Radost.

Naprzykład?

Gustaw.

Jedźmy tam dziś.

Radost.

Ja z tobą?

Gustaw.

Ty ze mną.

Radost.

Oszalał!

Gustaw.

Wcześniej wrócisz.

Radost *(ironicznie).*

Tą drogą tajemną.

Gustaw.

Jedziesz?

Radost.

Dajże mi pokój.

Gustaw.

No, to sam pojadę.

Radost.

Guciu! dopiéroś dziękował za radę.

Gustaw *(żałośnie).*

Luby stryjaszku! wkrótce się ożenię.

Radost *(do siebie z zadziwieniem).*

No! i dla tego takie figle stroi.

Gustaw *(jak wyżej, prosząc).*

Już raz ostatni.

Radost.

Ja go nie odmienię,

To rzecz daremna.

Gustaw.

Na kasztana wsiędę..!

Radost *(przestraszony).*

O! na kasztana!

Gustaw.

Przede dniem tu będę.

Radost.

Weź już moję dorożkę, a kasztan niech stoi.

(do siebie)

Jeszcze kark skręci z tego waryata.

Gustaw.

Dobrze stryjaszku.

Radost.

I delią moję.

Gustaw.

Dobrze stryjaszku.

Radost.

W tej kurteczce lata,
Jeszcze kataru u diaska dostanie.

Gustaw.

Dobrze stryjaszku, jak chcesz, tak się stanie.
Ja zawsze mówię, święte rady twoje.

Radost.

Otóż masz, teraz powie, że to z mojej rady
Przez okna łazi na nocne biesiady.

Gustaw.

Zatém radzisz wchodzić drzwiami?

Radost.

Gadajże z waryatami!
Ja ci radzę pójść spać.

Gustaw.

Spać?

Radost.

Bladyś, aż niemiło.

Gustaw.

Blady? — to dobrze, to nic nie zaszkodzi:
Bladość niepokój miłośny dowodzi,
Bladości prędzej niż słowom się wierzy.
Pamiętasz przecie, jak to dobrze było
Rano, nazajutrz po twojej wieczerzy?

Radost.

Mojej wieczerzy?

Gustaw.

To jest, mówiąc szczerze,
Ja sam dawałem tę sławną wieczerzę,
Ale stryjaszek potém długi płacił.

Radost.

Niestety!

Gustaw.

Wcalem na cerze nie stracił.
„Teraz to kocha — rzecz niezaprzeczona —
Jak blady, słaby! — on z miłości skona—"
Powiedz sam, wszakże prawda, tak mówiono.
I gdybym nie był za nadto...

Radost.

No, no, no,
Niedość szaleje, jeszcze mnie powiada!
Teraz idź i śpij, taka moja rada.

Ale mój Guciu, Guciuniu serdeczny,
Staraj się zbliżyć, podobać Anieli.

Gustaw.

Dobrze stryjaszku.

Radost.

Dla matki bądź grzeczny.

Gustaw.

Dobrze stryjaszku.

Radost.

I na miłość Boga,
Jeśli ci jeszcze moja przyjaźń droga,
Nim się odezwiesz, pomyśl pierwiej nieco,
Bo często słowa jakby z worka lecą,
Ale sensu w nich — no! — tego tam niema. —
A teraz idź spać, już mrugasz oczyma.

Gustaw.

Pójdę się przebrać. *(całuje w rękę)*

Radost *(całując go).*

Pamiętaj Gustawie...

Gustaw.

Sam się zadziwisz, jak się dziś poprawię.
(odchodzi w lewe drzwi boczne)

Radost *(patrząc za nim serio).*

Poprawię! zawsze jedno co godzina,
Zadziwisz się! tak! *(przechodząc nagle w uczucia)*
Kochany chłopczyna!

SCENA V.

Radost, Albin.

(chustka w ręku, tragicznym tonem)

Radost.

Cóż cię, panie Albinie, sprowadza tak wcześnie?

Albin.

Niestety!

Radost.

Jak wzdychałeś, tak wzdychasz boleśnie.

Albin.

Ach! jakże nie mam wzdychać, kiedy w smutku tonę;
Kiedy nocne minuty łzami przeliczone!

Radost.

A ja ci radzę, wypogodź twe czoło,
Nie bądź Gustawem — lecz kochaj wesoło.
Te elegie i miłośne żale
Młodej dziewczyny nie podbiją wcale;
A zwłaszcza Klarę, co jak iskra żywa,
Jeżeli westchnie, to wtedy gdy ziewa;
Klara, co spocząć, rzadziej milczeć zdoła,
Sprzeczna z układu, z natury wesoła,
Lęka się smutku, któregoś obrazem.

Albin.

Ach! możnaż kochać i nie płakać razem!

(po krótkiem milczeniu)

Już dwa lata się kończą, jak powabność Klary
Wznieciła moję miłość bez granic, bez miary.

Niema dnia bym nie błagał najczulszém wejrzeniem;
Samém już tylko teraz oddycham westchnieniem;
Łzami skrapiam jej ślady, skrapiam całą drogę:
I kamień jużbym zmiękczył, jej zmiękczyć nie mogę!

Radost.

Żebyś i sto lat jęczał, wszystko nic nie znaczy.

Albin.

Ach!

Radost.

Cóż dalej chcesz robić?

Albin.

Co?—umrę z rozpaczy.

Radost.

Może cię kocha.

Albin.

Kocha? — Umarłbym z radości!

Radost.

Każ więc sobie zawczasu dzwonić z przezorności.

Albin.

Ja płaczę, ty się śmiejesz.

Radost.

Śmiej się i ty razem.

Albin.

Ach, posłuchaj mnie raczej, nie dręcz tym rozkazem.
Myślałem, że wytrwałość najczystszych płomieni
Nienawiść w łagodniejsze uczucia przemieni,
Ową nienawiść mężczyzn powziętą z rachuby,
Którą w duszy piastuje, z której szuka chluby.

Ach, błędna myśl, niestety! zwodnicze nadzieje!
Jej serce coraz stygnie, a moje goreje!

Radost *(tymże tonem).*

Bywaj zdrów!

Albin.

Ach, gdzie idziesz?

Radost *(jak wprzódy).*

Ach, idę do siebie.

Albin.

Nie litujesz się żalu, opuszczasz w potrzebie.

Radost.

Chciałbym jeszcze do domu pojechać na chwilę,
(dobywając zegarka)
Tylko że już podobno... jeśli się nie mylę...
Oho! takto już późno! Wdaj się tylko z trzpiotem:
U niego jak rozsądek, tak wszystko na potém.

Albin *(chwytając go za rękę).*

Czekaj, zwierzyć ci muszę straszną tajemnicę.

Radost *(przestraszony).*

Dla Boga, co to będzie!

Albin.

Rzecz całą oświecę.

Radost.

Albinie! ja truchleję!

Albin.

Zachowasz ją święcie?

Radost.

Mów!

Albin.

Klara i Aniela mają przedsięwzięcie...
Słuchaj i zapłacz, nigdy — nie iść za mąż.

Radost

(zadziwiony i wstrzymując się od śmiechu).

Szczerze?

(na znak potakujący Albina, Radost parska śmiechem)

Albin.

Co? — Ty się śmiejesz z tego?

Radost.

Śmieję, bo nie wierzę.

Albin.

Ja ci ręczę.

Radost.

I zkąd wiesz?

Albin.

Wiem pewnie.

Radost.

Daj Boże!

(do siebie)

Taki bodziec Gustawa obudziłby może,
Byle mu wierzył. *(do Albina)* Dzięki za dobrą nowinę.

Albin.

Jakto, Radoście, dobrą? — dobrą, a ja ginę!

Radost.

Nie zginiesz, będziem żyli.

Albin.

Ty się śmiejesz zawsze.

Radost.

Ty zaś nie płacz, a losy będą ci łaskawsze.

(odchodzi w lewe drzwi środkowe)

Albin.

O miłości, miłości! ty żalów przyczyno!
Złorzeczyć ci nie mogę, bo mile łzy płyną,
Lecz Klaro! kiedyż równą odpłacisz mi miarą?
Kiedyż ze mną zapłaczesz? Klaro! Klaro! Klaro!

SCENA VI.

Albin, Aniela, Klara.

(wchodzą przed ostatnim wierszem z prawych drzwi środkowych)

Klara *(cicho stanąwszy przy Albinie).*

Po raz pierwszy, drugi, trzeci!
Na wezwanie takie dzielne,
Powtórzone po trzy razy,
Nawet duchy nieśmiertelne,
Jak posłuszne ojcu dzieci,
Porzucając ciemne cele,
Stają władcy brać rozkazy.
Mogęż spóźnić przyjście moje?
Otóż jestem, otóż stoję.

Albin *(całując w rękę).*

Ach!

Klara.

Nic więcej?

Albin.

To tak wiele.

(Klara śmieje się)

(po krótkiém milczeniu)

Ach, urągasz miłości.

Klara *(śmiejąc się).*

Urągam? — broń Boże!

Albin.

Twoje serce bez czucia.

Klara.

Lwie, tygrysie może?

Albin.

Nikt go zmiękczyć nie zdoła.

Klara.

Nie każdy, to pewnie.

Albin.

Ja tak kocham.

Klara.

A ja nie.

Albin.

Ja płaczę tak rzewnie.

Klara.

Ja się śmieję.

Albin.

Okrutna! Poznasz mnie po stracie.

Klara.

Okrutna! sroga! niestety! o nieba!

(do Anieli)

Uchodźmy prędko, tu miłość na czacie,
Prędko Anielo, dowierzać nie trzeba.

(śpiewa)

„O! gdzie miłość stawia siatki,
„Nie figlujcie moje dziatki,
„Bo z miłością figlów niema:
„Jak was złapie, to zatrzyma."
Tak babunia nam śpiewała,
Ja uciekam pókim cała.

Albin.

Zostań okrutna, zostań! uwolnię twe oczy
Od smutnego przedmiotu, co ich świetność mroczy.
Cieszy cię moja męka? — ciesz się więc dowoli:
Żaden twój raz nie minął, każdy mocno boli.
Jedna tylko pociecha mej duszy zostaje,
Żem nie zasłużył wzgardy, której dziś doznaję.

Aniela

Panie Albinie! któż tak ściśle bierze?
Zostań się z nami, wszakci to są żarty.

Klara.

Com powiedziała, powiedziałam szczerze.

Albin.

A ja wszystkiemu co do słowa wierzę.

Klara.

Godzien pochwały, kto nie jest uparty.

Albin.

Godzien litości, kto pokochał Klarę,
Bo razem w litość stracił wszelką wiarę.

(odchodzi w prawe drzwi boczne)

SCENA VII.

Aniela, Klara.

Aniela.

Tak drażnić, dręczyć, to się już nie godzi.

Klara.

Cóż? pójść za niego?

Aniela.

Ja tego nie mówię.
Lecz gorycz losu niech litość osłodzi,
Niech mu przynajmniej o przyczynie powie.

Klara.

Naco? niech kocha, płacze, jęczy kona.

Aniela.

Ach, tego nie chcę, i ty nie tak sroga.

Klara.

Gardzę miłością, jestem niewzruszona.

Aniela.

Wszakci się znajdzie łagodniejsza droga:
I nacóż tam słów, gdzie dosyć na znaku.

Klara.

Może mam przed nim, dygnąwszy trzy razy,
Kręcąc fartuszkiem, piekąc rak po raku,
Prosić lękliwie, aby bez urazy
Przyjął odpowiedź, wprawdzie niezbyt miłą,
Ale ogólną dla całej płci jego? –

Aniela.

O, pewnie, pewnie, lepiejby tak było,
Niż wciąż powtarzać w obliczu biednego,
Że jego miłość, równie jak osoba,
Ani cię bawi, ani się podoba.

Klara.

Wierz mi Anielo, wszystko to za mało.
Nie wiesz, jak twarde jest serce mężczyzny,
Jak prędko rany umie ściągnąć w blizny,
Blizny, co potém stają mu się chwałą.
Nic ich próżności nie zbije, nie skarci,
Im więcej przeszkód, tém więcej uparci.
Łaj, gardź, nienawidź— oni w nienawiści,
Gniewie i wzgardzie mają swe korzyści.
Tak, że nareszcie czasem z nas niejedna,
Tracąc cierpliwość, tracąc głowę, biedna,
Znudzona walką, ze wszech stron ściśnięta,
Musi pokochać, by pozbyć natręta.

Aniela.

Nacóż mi mówisz, co ja wiem dokładnie?
Znam dobrze mężczyzn, ten ród krokodyli,
Co się tak czai, tak układa snadnie,
By zyskać ufność i zdradzić po chwili.
Lecz że źli oni, mamyż być takiemi?

Klara.

O, były, były kobiéty dobremi,
I jakiż tego zwyczajny był skutek?
Radość dla mężczyzn, dla nas gorzki smutek.
Wspomnij tę książkę.

Aniela.

Nigdy nie zapomnę:
„Męża Kloryndy życie wiarołomne.“

Klara *(ze wzrastającym zapałem).*

I żal jednego twą zemstę zwycięża?
Żal, że chciał dopiąć i celu nie dopnie?
I my nasz zamiar: „nigdy nie mieć męża“
Mamy oznajmiać, głosić nieroztropnie?
Wszystkim do razu odebrać nadzieję!
I miłość własną każdego ocalić?
O nie; nic z tego moi dobrodzieje,
Wy, co ze zwycięztw lubicie się chwalić,
U nóg, tu, każdy, niech kark zgina hardy,
Każdy zosobna dozna naszej wzgardy.

Aniela *(z zapałem).*

Wzdychaj więc każdy!

Klara *(z zapałem).*

I kochaj się we mnie.

Aniela.

Dla czegoż w tobie?

Klara.

By jęczał daremnie.

Aniela.

I moje serce nie więcej im sprzyja.

Klara.

Anielo! ręka! powtórzmy tu śluby
Nam wiecznej chwały, a im wiecznej zguby.

Razem *(podając sobie ręce, mówią razem i powoli).*

Przyrzekam na kobiéty stałość niewzruszoną,
Nienawidzieć ród męzki, nigdy nie być żoną.

Aniela.

Nienawidzieć, tak, oprócz mego stryja.

Klara.

I mego ojca.

Aniela.

I stryjecznych braci.

Klara.

I pana Jana....

Aniela.

I pana Karola...

Klara.

I Juzia....

Aniela.

Kazia, Stasia....

Klara.

Hola! hola!

Aniela.

Na ostrożności nikt nigdy nie straci.
(po krótkiém milczeniu)
Zatém już kochać nie wolno nam będzie?

Klara.

Jedna dla drugiej kochankiem się stanie.

Aniela *(zamyślona).*

Jedna dla drugiej — a, tak — to przykładnie....

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

Lecz powiedz Klaro, oświeć mnie w tym względzie:
Czy oni nigdy nie kochają szczerze?

Klara *(po krótkiém milczeniu).*

Nigdy? — Hm! – Pewnie.

Aniela.

Nacóż to udanie?

Klara.

Naco i poco, nic nie wiem w tej mierze,
Lecz com czytała pamiętam dokładnie:
„Że miłość gorsza nad wszelką przygodę,
„Że, masz się kochać, wolisz skoczyć w wodę.“

Aniela.

Klaro! zmiłuj się, w wodę! — to za wiele!

Klara.

Tak, nie inaczej! tak było w tém dziele.

Aniela.

Taką więc sprawą rzecz wcale nieładna,
Że każda kocha, nie topi się żadna.

Klara.

Bo do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla nieba, kocha dla pokuty.

Aniela.

O wy mężczyzni!

Klara.

Piekło was zrodziło!

Aniela.

Że niema kraju, gdzieby was nie było!

Klara *(prędka rozmowa).*

A nasz pan Gustaw, laleczka warszawska.

Aniela.

O, ten się nawet udawać nie trudzi.

Klara.

Jeśli przemówi, to już wielka łaska.

Aniela.

Chce się ożenić, bo się czasem nudzi.—
Przynajmniej uszy od jęków ocalę.

Klara.

Mnieby ta pewność nie cieszyła wcale;
Niech każdy kocha i w tém ma swą karę.

Aniela.

Ach, gdyby można miłości dać wiarę,
Byłożby szczęście większe na tym świecie?

Klara.

Było przed laty, wszak pamiętasz przecie,
Cośmy czytały?

Aniela.

Czy ja mam w pamięci?
Jak tylko wspomnę, w głowie mi się kręci.

SCENA VIII.

Pani Dobrójska, Aniela, Klara, Albin.

(Albin wszedłszy opiera się o ścianę blizko stolika i z założonemi rękoma, często wzdychając, oka nie spuszcza z Klary)

P. Dobrójska *(wchodząc, do Albina).*

Kocha się, kto się kłóci, dawne to przysłowie.

Klara *(całując ją w rękę).*

Czy się Ciocia kłóciła?

P. Dobrójska *(do Klary).*

Oj, zielono w głowie!

Klara.

O, nie!

P. Dobrójska.

O, tak.

Klara.

Dla czego?

Aniela.

Klara, moja Mamo,
Bywa bardzo rozsądna.

Klara.

Aniela toż samo.

Aniela.

Zgadzamy się we wszystkiém.

Klara.

Radzimy wzajemnie.

P. Dobrójska.

Kiedy dwie głowy radzą, nie radzą daremnie.
Rozsądna zatém Klara rozsądnej Anieli
Zapewnie tej uwagi rozsądnej udzieli,
Że grzeczność, a szczególnie w swojej matki domu,
Najmniejszej przynieść krzywdy nie może nikomu;
A nawzajem Aniela poradziła Klarze,
Że obojętność szydzić nie koniecznie każe.

Klara *(kłaniając się nizko Albinowi).*

Panie Albinie, bardzo dziękujemy.

Aniela *(do Dobrójskiej).*

Trzebaż się starać o Pana Gustawa?

P. Dobrójska.

Ale nie krzywić, nie dąsać się zawsze.

(siadają przy okrągłym stoliku i robótki biorą, prócz Klary)

Aniela *(szybka rozmowa).*

On nas nie widzi.

Klara.

I ślepy i niemy.

Aniela.

Mamże go błagać o względy łaskawsze?

Klara.

Gadać, gdy milczy; gdy nudzi, zabawiać?

Aniela *(ironicznie).*

I jakaż na wsi może być zabawa!

Klara *(podobnie, coraz prędzej).*

I z wieśniaczkami o czémże rozmawiać!

Aniela.

O pięknym czasie, albo słotnej porze.

Klara.

Miejskim rozumem zaćmiłby nas może.

Aniela.

Przez litość, gęstą daje mu zasłonę.

Klara.

Przez litość, drzémiąc stara się o żonę.

P. Dobrójska.

Jużto mnie przegadacie, moje piękne damy.

Aniela.

Ależ Mamo kochana! cóż my robić mamy?

Klara.

Kiedy na sofie rozparty szeroko,
Półgębkiem gada, śpi na jedno oko,
Mamyż mu śpiewać arjetkę wesołą?
Albo z girlandą tańcować wokoło?

(Klara mówiąc ostatni wiersz, robi kilka kroków tańca z chustką w ręku. Albin rzuca się i odsuwa krzesło daleko za nią stojące)

Albin.

Przebóg!

Klara.

Cóż?

Albin.

Krzesło.

Klara *(rozgniewana).*

Z waćpanem... prawdziwie...
Nawet potknąć się nie można!

Albin.

Niestety!

Aniela *(do Dobrójskiej).*

Bardzo rozsądnie.

P. Dobrójska *(śmiejąc się).*

Ja sama się dziwię.
Nie arjetki, nie, ani też balety,
Lecz grzeczność, skromność, to wasze zalety.

Klara *(ironicznie).*

Zresztą, jest Radost, jest Albin, jest Gustaw...
Trzech mężczyzn! to sąd podług męzkich ustaw;
Trzech! razem! ogrom! i czegoż im trzeba?
Cóż rozum kobiét, ten słaby twór nieba,
Co się im zbliżyć nawet praw nie rości,
Dałby za korzyść tym sędziom honoru,
Wszechwładcom świata, skarbunom mądrości?
Nasze uczucia, nie sięgając wzoru,
Na męzkiej duszy twór zawsze wyniosły,
Pęta by tylko albo skazę niosły.

P. Dobrójska.

Nie wszystko straszne, co czasem zastrasza.
Mają wady mężczyzni, ma także płeć nasza;
Zatém szalę rozsądku ta strona przeważa,
Co swoje błędy karci, a cudzym pobłaża.

SCENA IX.

P. Dobrójska, Aniela, Klara, Albin, Gustaw.

(Albin stoi przy prawej stronie sceny, przy nim siedzi przy stole 1-sza Klara, 2-ga Aniela, 3-cia Dobrójska robótkami zajęte — Gustaw wchodzi i skłoniwszy się stawia krzesło na środku—siada obrócony do parteru trochę na przodzie sceny.—Gustaw w tej scenie mówi z roztargnieniem, aby tylko co mówić, z początku swoim ubiorem zajęty)

Gustaw.

Przecie deszcz ustał—pogodniej na niebie.

Klara.

Arcy przyjemna aura, w samej rzeczy.

(do Anieli)

Że grzecznie bawię, nikt już nie zaprzeczy.
A teraz kolej, Anielo, na ciebie.

P. Dobrójska *(do Klary z nieukontentowaniem).*

Klaro, czy znowu? *(do Gustawa)* Albin mówił właśnie,
Że z nowej chmury nowa grozi słota.

Albin.

Dla mnie pochmurno, ach, nawet ciemnota,
Bo i nadzieja powoli już gaśnie,
Kiedy mym smutkiem Klara ucieszona.

Klara *(zniecierpliwiona).*

Ach nie, wcale nie, smuci się i bardzo.

Gustaw *(zawsze z roztargnieniem, byle co mówić).*

Panie pracują.

Klara.

Mężczyzni tém gardzą,
Lubo w tej pracy najprędszą obrona
Przeciw tym nudom, w które wieś obfita.

P. Dobrójska *(do Klary z nieukontentowaniem).*

Czy ty się nudzisz?

Klara.

Mnie się ciocia pyta?

Gustaw *(jak wprzódy).*

Słabym się czuje, kto szuka obrony.

Klara.

O sobież tylko myśleć nam wypada?

Gustaw *(pozierając na Albina).*

Tak, i o blizkich—to pięknie i hojnie.

Klara *(ze wzrastającym zapałem).*

Blizki, nieblizki może być znudzony.

Aniela *(do Klary na stronie).*

Klaro, daj pokój.

Gustaw *(zawsze obojętnie).*

Ogólna więc rada....

Klara.

Rady dość nigdy....

Gustaw *(sens kończąc).*

Dla popsutych dzieci.

Klara.

Wiem zatém gdzie się zwracać.

Gustaw *(obojętnie).*

Do zwierciadła.

P. Dobrójska.

Klara nie może rozmawiać spokojnie.
Lada dmuchnięcie tę iskrę roznieci.

Gustaw *(wyciągając się na krześle).*

O, proszę pani, mnie to dosyć bawi.

Klara *(urażona, ironicznie).*

Czy tak? doprawdy? nie byłabym zgadła,
Że moja mowa takie cuda sprawi.
(do Albina)
Ach, proszęż mnie tak nie ścigać oczyma.

Albin *(z westchnieniem).*

I tego wzbraniasz?

Klara.

Ach, bo miary niema.

(do Anieli na stronie)

Żeby choć mrugnął, mogłabym się skrzywić.

P. Dobrójska *(po krótkiém milczeniu).*

Pan Gustaw mógłby i słusznie się dziwić,
Że wiejska cisza, a zwłaszcza w tej porze,
Dla kogokolwiek przyjemną być może.

Gustaw *(mówi coraz wolniej).*

I owszem, owszem... wcale się nie dziwię...
Wieś jest przyjemna, *(ziewa skrycie)* przyjemna prawdziwie.

Klara *(do Anieli na stronie).*

Widzisz?

Aniela.

Co?

Klara.

Ziewa.

Aniela.

Grzeczny...!

Klara *(sens kończąc).*

Ciocia powie.

(głośno)

Otóż to grzeczność... *(na wejrzenie Dobrójskiej sens zmieniając)*

Chwalić wbrew gustowi.

Gustaw *(coraz wolniej).*

Nie, wieś ma swoje wdzięki... mówię szczerze
(ziewa skrycie)
Na wiosnę kwiatki... listki... trawki świeże,
A w lecie, w lecie!.... są te... piękne żniwa;
No i w jesieni... *(ziewając)* także... tam coś bywa;
W zimie wieczory... tak... w zimie... wieczory;
Są, są zabawy... o, są każdej pory.
(ziewa i wkrótce zaczyna drzémać)

P. Dobrójska.

W nas to samych zabawy i nudów przyczyna.
Jeśli bezczynnie każda wlecze się godzina,
Konieczne zatrudnienia nie dzielą nam czasu,
Jeśli w ciągłym odmęcie śród gwaru, hałasu,
Zawsze pragniemy nowych rzeczy, nowych ludzi,
Wtedy jak wieś tak miasto, koniec końców — znudzi.
Dla tego nas zapewnie nadzieja nie mami,
Iż pan Gustaw potrafi bawić się i z nami.

Klara *(po krótkiém milczeniu, cicho).*

Pst! Ciociu! *(pokazując śpiącego Gustawa)*
Już się bawi.

P. Dobrójska.

A! co tego....

Klara.

Chodźmy ztąd wszyscy.

Aniela.

Zostawmy samego.

Albin.

Ja i w nocy tak nie śpię.

P. Dobrójska.

To zawiele.

Klara.

Chodźmy.

P. Dobrójska.

Ale nie....

Aniela *(ciągnąc za rękę).*

Moja mamo, proszę.

Klara *(biorąc za drugą rękę).*

Ja także za nim suplikę zanoszę:
Wszakże się wyśpi jak sobie pościele,
Tak sobie posłał, niechże śpi dowoli.

(do Albina z niecierpliwością)

No, chodźże waćpan— prędzej! — pst!— powoli!

(wszyscy wychodzą— Gustaw śpi— wkrótce wbiega Radost— przypatruje się z żalem Gustawowi— zakłada ręce i siada na krześle, na którém siedziała pani Dobrójska)

SCENA X.

Gustaw, Radost.

Radost *(żałośnie, ledwie nie z płaczem, coraz głośniej).*

Gustawie! mój Gustawie! okrutny Gustawie!

(Gustaw otwiera oczy i patrząc przed siebie, odpowiada jakby pani Dobrójskiej)

Tak, mościa dobrodziejko, ja się na wsi bawię.

Radost *(parskając śmiechem).*

I śmiać się muszę, kiedy łajać chciałem.

Gustaw *(zadziwiony, po krótkiém milczeniu wstając).*
Zasnąłem trochę.

Radost *(ironicznie).*

Gdzie tam.

Gustaw *(z nieukontentowaniem).*

Spałem, spałem.
Niema co mówić.

Radost *(udając Gustawa).*

„Jak się dziś poprawię,
„Zadziwisz się stryjaszku“— Otóż się i dziwię,
Żeś dobrze zasnął i chrapał szczęśliwie.

Gustaw *(z nieukontentowaniem).*

No, spałem, prawda; ale z drugiej strony,
Trudno kochanka uśpi huk moździerzy,

(z udaném uczuciem)

Łacno głos fletów, głos kobiét pieszczony.

Radost.

O! o... głos fletów! Niby kto uwierzy!...
Dla Boga, chłopcze! Boska na mnie plago!
Próżnoż cię ścigam prośbą i uwagą,
Powiedz, czy serce zastygło w twém łonie,
Spać przy kochance, jakby już przy żonie?

Gustaw *(niekontent z siebie, odtrącając krzesło).*

Hm! diabeł nadał krzesło tak wygodne!
Tak mnie znienacka jakoś... rozmarzyło.

Radost.

I chce się żenić! — To zaloty modne!
Chcesz spać, no, to śpij, kiedy ci spać miło.

Gustaw.

Ale stryjaszku, to niechcący było.

Radost.

A cóż u djaska! miałżeś jeszcze może
Dobranoc wszystkim powiedzieć dokoła?

Gustaw.

No, no, stryjaszku, nie zachmurzaj czoła;
Wszystkim nieszczęściom zaraz kres położę.

Radost *(zatrzymując go).*

Jak? co? gdzie?

Gustaw.

Wszystko chcę naprawić godnie.

Radost *(prosząc najpokorniej).*

Guciu, Guciuniu, nie czyń mi zakały,
Bądź też rozsądny, tydzień, tydzień mały!

Gustaw.

Będę stryjaszku, będę... dwa tygodnie!

Radost.

Dla ciebie błagam.

Gustaw.

Stryjaszku kochany!
Wart twego gniewu, wart jestem nagany,
Umiem czuć, cenić ojcowskie przestrogi,
Dzięki ci, dzięki, stryjaszku mój drogi. *(ściskają się)*

Radost *(rozczulony).*

Guciu kochany! *(po krótkiém milczeniu)* Ale ja się boję,
Że ty dziękujesz i znów robisz swoje.

Gustaw.

Nie, teraz jestem, będę zakochany,
Z samym Albinem na wyścigi idę.

Radost *(wstrzymując go).*

Ach, czekaj! nową naprowadzisz biédę.
Za drwinki wezmą nagłość tej odmiany.

Gustaw.

Nie, westchnę tylko — raz na pół godziny.
Lecz patrzeć będę, tego mi nie zganią,
Ale jak patrzeć! — Już wiem. — Wzrok jedyny!

(biorąc pod rękę i ciszej)

Jak niegdyś patrzał stryjaszek na panią...

Radost *(zatykając mu usta).*

Cicho bądź, cicho! *(oglądając się)* Ty widzę szalony.

Gustaw.

Ale co gorzej, co mnie trochę smuci,
Że panna na mnie i okiem nie rzuci.

Radost.

Ach mój Gustawku, wszak ty szukasz żony;
Chciałżebyś takiej, co ściga oczyma,
Jakby wołała: „Kto kogo przetrzyma,“

Lub tej, co spójrzy i westchnie przed siebie,
Jakby szeptała: „Poszłabym za ciebie.“

Gustaw.

Nie—ja chcę, chociaż niby jestem trzpiotem...

Radost *(z westchnieniem).*

Niby!

Gustaw.

Dobrą mieć żonę.

Radost.

A któż wątpi o tém?

Gustaw.

I gdybym nie czuł przymiotów Anieli,
(Radost w niemém zachwyceniu wyciąga ręce ku niemu)
Jużbyście mnie tu dotąd nie widzieli.

Radost *(ściskając go).*

Ach, jakiż anioł przemówił przez ciebie?

Gustaw.

Prawda? — Rozsądnym umiem być w potrzebie?

Radost.

Ach, strasznie, strasznie, byle tylko trwale.

Gustaw.

Idę więc biegać, śpiewać.....

Radost *(żałośnie, zatrzymując go).*

Tego wcale....

(Gustaw przerywa mowę Radosta gwałtowném uściśnieniem, w którém mówi wiersz następujący:)

Gustaw.

Sam się zadziwisz, jak się dziś poprawię!

(wytrąca niechcący tabakierkę z rąk Radosta, a wybiegając wywraca krzesło—Radost goniąc za tabakierką i raz na nią, raz na Gustawa patrząc, gdy zasłona spada)

Radost.

Czekaj! zmiłuj się! o Boże! Gustawie!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

P. Dobrójska, Radost.

P. Dobrójska.

Tak, tak, panie Radoście, podzielam twe żale,
Ale mi się pan Gustaw nie podobał wcale.
Miłość własną, przeczącą co drugim należy,
Najtrudniej mi przychodzi przebaczyć młodzieży.

Radost.

Tej wady Gustaw nie ma.

P. Dobrójska.

Ma tylko zalety,
A żadnej wady? — prawda?

Radost.

Ach, ma, ma, niestety!

P. Dobrójska.

A tą jest?

Radost.

Roztargnienie, wesołość, pustota...
No, co mam obwijać—trzpiot!

P. Dobrójska.

Nie widzę w nim trzpiota.

Radost.

Ach mościa dobrodziejko, któżto już zaprzeczy?—
Ale ma serce dobre, głowę nie od rzeczy;
To nie minie jak płochość, z czasem nie uleci,
To jest szczęścia rękojmią dla żony i dzieci.

P. Dobrójska.

Wszystko dobre w nim widzisz.

Radost.

Kocham go jak syna.
(żałośnie)
Ale tylko ja jeden.

P. Dobrójska.

To nie moja wina.

Radost.

I Aniela się krzywi.

P. Dobrójska.

I wprawdzie ma czego.

Radost.

Biedny Gustawek! Wszyscy bij zabij na niego.

P. Dobrójska.

A ten sen? jest trzpiotowstwo? — nie: lekceważenie.

Radost.

Ach! wszakcim go obudził!

P. Dobrójska.

A to jak ocenię,
Gdy potém wleciał do nas, jakby jęty szałem?
Co robił? — Byłeś.

Radost.

Wszakci na niego mrugałem!

P. Dobrójska.

Lubię w młodym wesołość; i wesołość szczera,
Choć czasem w zbytek przejdzie, jednak wzgląd odbiera.
Lecz udana już nie ma do tych względów prawa,
I taka dziś wzbudziła szaleństwa Gustawa.

Radost.

Szaleństwa! — Był szalony — to niema gadania,
Lecz czasem i nieśmiałość do tego nas skłania:
Drży, stoi, a potem huż! jak ów koń z narowu,
Co raz z miejsca, już nie zna ni płotu, ni rowu.
Otóż tak i z Gustawem — nikt nie wie co gani.

P. Dobrójska *(wstrzymując się od śmiechu).*

Co? on?

Radost *(sens kończąc).*

Nieśmiały.

P. Dobrójska.

Gustaw?

Radost.

Gustaw. Ręczę pani.

P. Dobrójska.

A, wybornie! *(śmieje się)* O biedny! biedny Gucio mały
Trzech nie zliczy! *(śmieje się)*

Radost *(zmieszany).*

No.... prawda, że jest nadto śmiały,
(żałośnie)
Ale cóż ja mam robić?

P. Dobrójska.

Wziąść go lepiej w kluby.
Bo mówiąc między nami, ten Gustawek luby
Wyrabia ze stryjaszkiem, co mu się podoba.

Radost.

Oho, ho, ho! — I jedna nie przeminie doba,
Żeby mu pater noster nie wleciał do ucha.

P. Dobrójska.

O, tak, wiem dobrze: waćpan zrzędzisz, on nie słucha.

Radost.

Ach, jak on mi dziękuje za każdą przestrogę.
Ale chcesz pani prawdy, ja nią służyć mogę:
Pani to dobrodziejka psujesz panny swoje.

P. Dobrójska.

Ja psuję!

Radost.

Pani.

P. Dobrójska.

Bój się Boga!

Radost.

Ja się boję,
Lecz tak jest.

P. Dobrójska.

Drżą przede mną.

Radost *(ironicznie).*

Zapewne!

P. Dobrójska.

I pewnie.
Szkoda, żeś tu dziś nie był, jak płakały rzewnie.

Radost.

Ale chociaż ja zero, Gustaw pełen winy,
Jednak nic mi nie kryje.

P. Dobrójska.

Cóż znaczą te miny?
Ściągasz je do Anieli, albo też do Klary?

Radost.

Hm! hm!

P. Dobrójska.

Cóż?

Radost.

Jakieś śluby!

P. Dobrójska.

Dziecinne zamiary,
O których nie chcę wiedzieć, domyślam się ledwie.
Długo przy matce Klary bawiły obiedwie,
Wiesz, jakie przed oczyma miały tam pożycie;
Przytém kilka złych książek przeczytanych skrycie,
Równie jak mego szwagra gorszące rozmowy
Wpoiły, nie w ich dusze, ale w młode głowy,
Ową nienawiść mężczyzn, którą ciągle puszą.
Nacóż więc zbijać myśli, co się zmienić muszą?

Radost.

Zmienić się, zmienią pewnie, lecz kłopot dla Gucia.

P. Dobrójska.

Zresztą lepiej za mało, niż za wiele czucia.

Radost *(z uczuciem całując ją w rękę).*

Ach mościa dobrodziejko!

P. Dobrójska.

Zawsze Radost jeszcze.

Radost *(jak wprzódy).*

Zawsze.

P. Dobrójska.

Idź, popieść Gucia.

(odchodzi)

Radost *(grożąc).*

Już ja go popieszczę.

SCENA II.

Radost *(sam).*

Co ja pocznę z tym chłopcem! to rzecz niesłychana!
Żebym go mógł, u czarta, związać jak barana,
Przywieść gwałtem przed ołtarz, narzucić mu żonę,
Szczęście by dla obojga było zapewnione.
Ale trzpiot w sprawie, piskórz w stawie — jeden djasek!
Tu go trzymasz, tu nie masz; — w oczach pewny piasek.

SCENA III.

Radost, Gustaw.

Gustaw.

A co, stryjaszku? — Wszak poprawa wielka?

Radost.

Gdybym nie widział, nie dałbym był wiary.

Gustaw.

Tylko coś trochę bruździ mi Anielka.

Radost.

Już tak za pan brat! — Jakby z jednej pary?

Gustaw.

Dąsa się na mnie.

Radost *(do siebie).*

Anielka! No proszę!

Gustaw.

Ale im rzadsze, tém większe roskosze.
Niech mało mówi, a kocha bez miary,
Bo coraz więcej za serce mnie chwyta.

Radost *(rozgniewany).*
A ty coraz mniej.

Gustaw.
Mniej?

Radost.
Mniej.

Gustaw.
Czy żart?

Radost *(ironicznie).*
Żart, żart.

Gustaw.
To źle.

Radost *(ze wzrastającym gniewem).*
To dobrze.

Gustaw.
Czemu?

Radost.
Boś tego wart.

Gustaw.
Cóżem ja zrobił?

Radost.
I jeszcze się pyta!
Zmiłuj się, powiedz, czyś duszy chciał ze mnie?
Czy tarantula pogryzła ci pięty,
Że kiedym mrugał i chrząkał daremnie,
Ty w susach, skokach, na wszystko zawzięty,
Tłukłeś, łamałeś — nawet biedną suczkę...

Gustaw.
Cóż złego?— chciałem pokazać im sztuczkę.

Radost.
O, ty do sztuczek! mistrz! jakby spadł z nieba—
Lecz nie do takich, gdzie zgrabności trzeba.
Kto z wesołości do głupstwa przechodzi,
Może rozśmieszyć, sobie tylko szkodzi;

Lecz kiedy głupstwem chce zabawić kogo,
Krzywdzi go wtenczas i złą idzie drogą.

Gustaw.

Prawda stryjaszku, prawda co do joty;
Co to za szczęście, że cię mam przy sobie,
Że zawsze radzisz w tak jasnym sposobie,
Bo nie raz głupstwo byłbym zrobić w stanie.

Radost *(wznosząc oczy ku niebu).*

Byłby?

Gustaw *(ściskając go).*

Dziękuję, mój stryjaszku złoty,
Za twoję radę, za twoje kazanie.
Wszystko już teraz, jak każesz, tak zrobię.

Radost *(prosząc).*

Więc te rozmowy....

Gustaw.

Ej tam u kaduka!
Już w gardle stoi to wiejskie gdakanie!

Radost.

O... o... już zły, już.

Gustaw.

Nazbyt wielka sztuka,
Z miasta przybywszy wiejskie bawić panie.
Wspomnij świat wielki:— Ho, ho! górne tony.
Mów o rolnictwie:— zacóż to nas trzyma?
Czy nad młot, omłot, innej treści niema?
O literaturze:— fiu! jaki uczony!
Żartuj: trzpiot z ciebie. Nie żartuj: rozumny.
Bądź wesół: szydzisz. Bądź smutny: pan dumny.
Dosyć, że na wsi nim będziesz poznany,
Mów i rób co chcesz, zawsześ wart nagany.

Radost.

Ależ Aniela czy jej także warta?

Gustaw.

Cóż mam z nią mówić? — Mówiłem o łanach,
Łąkach, strumykach, owcach i baranach,
O czémże jeszcze mam mówić u czarta?

Radost.

Kiedy się gniewasz i sadzisz czartami...
Ale cóż w mieście?

Gustaw.

Nie gadam z pannami.

Radost.

Panna, niepanna, któż wgląda tak ściśle.

Gustaw.

Ach mój stryjaszku, jakżeś się zestarzał!
Gdy nie śmiem wyrzec co z zapałem myślę,
Sto słów nie jedno będę giął, powtarzał,
Nim mnie powoli do celu przybliży;
Bo myśl jak woda: im ciaśniej, tém wyżej.

Radost.

Argument jasny, porównanie piękne.

Gustaw.

Z panną, sam powiedz, kiedy raz już jęknę:
„Kocham waćpannę“, a ona odpowie:
„Kocham waćpana“— jużci po rozmowie.

Radost.

A jak: „nie kocham?“

Gustaw.

Także koniec będzie.

Radost.

Lecz z tobą końca i diabeł nie dójdzie.
Ale stój, czekaj! zatrzymaj się w pędzie!
Wiesz jaki zamiar Anieli i Klary?

Gustaw.

Nie.

Radost.

Żadna za mąż nie chce i nie pójdzie.

Gustaw *(z udanym przestrachem, odprowadzając na stronę).*

Jakto stryjaszku?— A, to nie do wiary!
Chcą mężczyzn zgubić, trwać w panieńskiej cnocie?
Może tak wszystkie?

Radost *(głaszcząc go pod brodę).*

Oj ty, ty mój trzpiocie! *(odchodzi)*

Gustaw *(sam po krótkiem milczeniu)*

Ten wzrok oziębły, a miłośne oko,
Westchnienie w piersiach zamknięte głęboko,
Czoło pochmurne, kiedy twarz się śmieje,—
Na honor, lubię, kocham się, szaleję!

SCENA IV.

Aniela, Klara, Gustaw.

(Aniela wkrótce siada i haftuje-- Gustaw do niej zawsze obraca mowę, znaczna różnica i nagły przechód w jego rozmowie: do Anieli z przymileniem, do Klary uszczypliwie, albo z gardzącą obojętnością— Klara mówi szybko i z zapałem często za Anielę— Aniela powoli i łagodnie, jak i w następujących scenach)

Gustaw.

Po długiej wojnie zawieszenie broni.

Aniela.

Pokoju proszę.

Gustaw.

Któż od niego stroni?

Klara *(między niemi).*

Nie każdy godzien.

Gustaw *(niezważając na Klarę).*
Pierwszy więc warunek?

Klara.
O, nie tak bystro!....

Gustaw.
Wzajemny szacunek.

Aniela.
I neutralność moja.

Gustaw.
Być nie może.
Zróbmy zaczepno-odporne przymierze.

Klara.
Co za wspaniałość!

Gustaw.
Punkta więc ułożę.

Aniela.
Żarty!

Gustaw.
Ja proszę.

Klara.
Bardzo temu wierzę.

Gustaw.
Cóż?

Klara.
Radzę...

Gustaw.
Błagam.

Klara *(na stronie).*
Czy on mnie nie widzi?

Gustaw.
Wiernie dotrzymam.

Klara *(na stronie).*
Czy on ze mnie szydzi?

Gustaw.
Dwakroć przysięgnę.

Klara.

Przysięga bez miary,
Kto żebrze wiary.

Gustaw *(nie patrząc na nią, obojętnie).*

I żebrak ubogi
Skarb znaleźć może.

Klara.

Dużo nato drogi.

Gustaw *(jak pierwiej).*

Odlęgłość celu nadziei nie zmniejsza.

Klara.

Trudna to zdobycz.

Gustaw *(patrząc jej w oczy, z flegmą).*

Lecz skromność trudniejsza.

Klara *(z zapałem).*

Wojna więc.

Gustaw.

Przeciw pani jestem zbrojny.

Aniela.

Ja trzymam z Klarą.

Gustaw.

Zazdrościć jej muszę.

Klara.

A ja z Anielą.

Gustaw.

Zatém niema wojny.

Klara *(ze wzrastającym zapałem).*

A to dla czego?

Gustaw *(obojętnie).*

Bo jestem spokojny,
Nie jak mężczyznie, lecz pannie przystoi.

Klara *(z zapałem).*

Nie — otwartości mężczyzna się boi,
Chciałby mgłą zawsze okryć swoję duszę,
By mieć dwa światła i stać między dwiema.

Gustaw.

Zkąd o mężczyznach takie złe mniemanie?

Klara.

Owszem, pochlebne.

Gustaw *(ironicznie).*

Głębokie problema!
Nie mójto rozum rozwiązać go w stanie.

Klara.

Zwodzić i zdradzać wszak najmilsza sztuka?
Każdy z niej chluby, w niej nagrody szuka;
Im więcej ofiar naliczy, nakłamie,
Tém w chwalebniejsze uwieńczy się znamie.

Gustaw.

Hm! bardzo panią żałuję.

Klara.

A! bardzo Panu dziękuję.
Lecz jeśli łaska, z jakiegoż powodu?

Gustaw *(z flegmą).*

Że z tak niewinną duszą, tak za młodu,
Już doświadczyłaś co jest męzka zdrada.

Klara.

Już doświadczyłam? i któż to powiada?

Gustaw.

Zdrowy choroby, bogacz nie zna nędzy,
Tak równie zdrady, kto nie był zdradzany.
Z kilku zaś książek czytanych czém prędzej,
Rozsądek wzbrania ogólnej nagany.

Aniela.

Ależ i przykład zostaje w pamięci.

Gustaw *(ściągając do Klary).*

O, przykład, przykład dobre i złe mieści,
Ale najczęściej złém nas tylko nęci.

(do Klary)
Mszcząc się to zatém całej płci niewieściej,
Nadobna Klara poprzysięgła sobie,
Nie uszczęśliwić żadnego z czcicieli.

Klara *(porywczo).*
Któż to mówił?

Gustaw *(z flegmą).*
Kto? — Albin.

Klara *(jak wyżej).*
W tym sposobie
Pan Gustaw pewnie ze strony Anieli
Podobne śluby wkrótce nam ogłosi:
Każdy się chętnie własną dzieli klęską.

Gustaw *(ukrywając urazę, z uśmiechem).*
Hm! panna Klara walczy duszą męzką,
I zapał, który jej rumieniec wznosi,
Czas Amazonek przed oczy nam stawia.

Klara *(z zapałem).*
Zapał — jest zapał — ja wiem co objawia....
I powiem, powiem, sto razy powtórzę:
Iż moja dusza znieść mężczyzn nie może!
Nienawidzieć ich — moje przedsiewzięcie;
Dwakroć przysięgłam i dochowam święcie!
(odchodzi)

SCENA V.

Aniela, Gustaw.

Gustaw *(jakby do Klary).*
Dochowam, tak, tak, będziemy widzieli.
Nienawiść! wszystkim! i święcie przyrzeka.

(do Anieli)

O, nie, tych myśli Aniela nie dzieli.
Bóg to karzący za ciężkie przewiny,
Nienawiść w sercu zaszczepił człowieka;
A twoja dusza z jakiejże przyczyny
Mogłaby ściągnąć cząstkę takiej kary?
Powiedz mi raczej, iż nie dajesz wiary,
Że miłość istnie, że może być szczera,
Dosyć w tém złego już na ciebie czeka.
Ach, niedowiarstwo jest to ostre ciernie;
Zwolna je w bukiet doświadczenie zbiera,
By go starości w końcu oddać wiernie!
Lecz czysta ufność, to młodości kwiecie!

Aniela.

Co wcześniej, później wiatr postrąca przecie.

Gustaw.

Tak, później trochę wietrzyk kwiat pozgania,
A owoc wzrośnie — koniec porównania.
(zbliżając krzesło i siadając, po krótkiém milczeniu)
Nie zasłużyłem na nienawiść wcale,
Lecz na gniew bardzo.

Aniela *(bardzo obojętnie przez całą scenę — robotą zajęta.)*

Nie na mój.

Gustaw.

Twój, pani.

Aniela.

Nic nie wiem.

Gustaw.

O, wiesz — lecz przebacz wspaniale
Temu, co szczerze własną płochość gani.

Aniela.

Czemuż z tém do mnie?

Gustaw.

Ach, jakież pytanie!
O czyjeż więcej mogę ja dbać zdanie?
Zbłądziłem.

Aniela.

Czy tak?

Gustaw.

Wyznaję.

Aniela *(zawsze obojętnie).*

Więc wierzę.

Gustaw *(zbliżając się).*

Przebacz.

Aniela.

Niech i tak będzie.

Gustaw *(całując w rękę).*

Szczerze.

Aniela.

Szczerze.

Gustaw.

W nowej więc odtąd postąpię kolei,
Ale tymczasem niech dobroć Anieli
Za gwiazdę szczęścia nadziei udzieli.

Aniela.

Żadnej nie czynię.

Gustaw *(prosząc).*

Nadzieję nadziei.

Aniela.

Nie czynię żadnej.

Gustaw *(odsuwając się z krzesłem).*

To za ostro było!
(po krótkiém milczeniu)
Jestże wiadomy zamiar mego stryja?

Aniela.

Jest.

Gustaw.

I że temu matka pani sprzyja?

Aniela.

Wiem.

Gustaw.

I to, wszystkim najdroższe życzenie
Piękna Aniela nie spełni?

Aniela.

Nie.

Gustaw *(zrywając się).*

Nie?

Aniela *(obojętnie).*

Nie.

Gustaw *(ironicznie).*

Dość krótko.

Aniela.

Ale otwarcie.

Gustaw.

Aż miło!

(przeszedłszy się, opiera się o poręcz krzesła, na którém siedział)

Czy w rzeczy śluby?...

Aniela.

Ja nic nie wiem o tém.

Gustaw.

Nie chcesz iść za mąż.

Aniela.

Teraz nie.

Gustaw.

Lecz potém?

Aniela.

Któż przyszłość zgadnie?

Gustaw *(chodząc z zapałem).*

Czemuż zgadnąć niema?
O, zgadnie, zgadnie, bardzo łatwo zgadnie,
Że wkrótce z trzaskiem, turkotem, łoskotem,
Jaki konkurent na dziedziniec wpadnie,

I com dziś nie mógł— on jutro otrzyma;
Wszakże tak będzie?

Aniela.

Wszystko to być może.

Gustaw *(przeszedłszy się– siada i łagodnie mówi).*

Jednak ja małą uwagę przełożę:
Nie chcesz— nie czyń więc nadziei wbrew zdania,
Ale porywczość niech mi jej nie wzbrania.
Ja o to proszę.

Aniela.

Tego nie rozumiem.

Gustaw *(zniecierpliwiony).*

Cóż nie rozumiem? jakto nie rozumiem?
Nie chcę rozumieć. —

Aniela.

A, i to być może.

Gustaw *(zrywa się i chodząc).*

„I to być może?“ Ha, ha, ha! to śmiesznie!
Wszystko „być może“— na honor uciesznie!
Ja to się, o ja podobać nie umiem,
Lecz jaki sąsiad, jaki Albin wtóry,
Smętny kochanek, aspirant ponury,
Tysiącznych westchnień nagrodę odbierze.
(po krótkiem milczeniu, siadając uspokojony)
Jestżem tak przykrym i Anieli także?

Aniela *(zawsze obojętnie, nie patrząc na niego).*

Przykrym? dla czego?

Gustaw *(przysuwając się z krzesłem).*

Nie?

Aniela.

Nie.

Gustaw.

Szczerze?

Aniela.

Szczerze.

Gustaw *(przysuwając się z krzesłem).*

Ani się spójrzysz?

Aniela *(wznosząc oczy na niego i zaraz spuszczając na robotę).*

I owszem.

Gustaw.

Tak?

Aniela.

Jakże?

Gustaw.

Ach, tak oziębłe.

Aniela.

I jakże inaczej?

Gustaw *(z zapałem).*

Gniewaj się na mnie, ach gniewaj się raczej.

Aniela.

Gniewać? i za co?

Gustaw *(zrywa się i mówi do siebie).*

To nie do zniesienia.

(chodzi, potém staje przed nią)

Czy to tak bawi, czy to tak przyjemnie,
Że cierpię tyle?

Aniela.

Oho! już cierpienia!

Gustaw.

Alboż nie wierzysz miłości ku tobie?

Aniela.

Nie wierzę.

Gustaw *(siada).*

Żądaj dowodów ode mnie;

Powiedz, co czynić? W jakimbądź sposobie—
Wszystko wypełnię.

Aniela.

Nie mówić mi o tém.

Gustaw

(chce się zerwać, ale się wstrzymuje i z przytłumionym ogniem dalej mówi).

Tak?

Aniela.

Tak.

Gustaw.

Mam milczeć?

Aniela.

Proszę.

Gustaw.

Długo?

Aniela.

Zawsze.

Gustaw *(zrywając się, ironicznie).*

Nie, nie mogą być rozkazy łaskawsze,
I przyjemniejszym udzielone zwrotem.

(chodząc)

Kochać i milczeć – przednio! wyśmienicie!
Milczeć i kochać! – I tak całe życie!

(po krótkiém milczeniu, stając przed nią)

Zkądże wstręt taki? zkąd wstrętu przyczyna?
Może go zmniejszę, jeśli moja wina,
Ale ją wyjaw, niechże ją wiem przecie.

Aniela.

Ja wstrętu nie mam do nikogo w świecie.

Gustaw.

Trudna jest miłość zaraz w pierwszej dobie,
Ale nienawiść niepodobna prawie;
Ja dziś jej celem smutną próbę robię,
I nowy przykład oczom twoim stawię.

Aniela.

Puśćmy w niepamięć ten przedmiot niemiły.

Gustaw.

Łatwo ci kazać— mnie spełnić nad siły.

(ze wzrastającym zapałem)

Słuchaj Anielo, słuchaj tego głosu,
Co ufnie zwierza całą przyszłość losu:

(Aniela wstaje)

Z otwartą duszą, jak przed Bóstwem stoję,
W twém ręku szczęście i nieszczęście moje;
Wznieś je na szali, ale wznoś pomału...

(zatrzymując odchodzącą)

Słuchaj, nie żądam mych uczuć podziału,
Prośba nie zjedna, co jest serca darem,
Lecz nie gardź moim, mnie chlubnym zamiarem,
A wszelkich starań, wszelkich sił dołożę,
Których być zdolną szczera miłość może,
Abym to zyskał, czego dziś nie mogę;
Lecz wskaż Anielo, wskaż zbawienną drogę!...

(zatrzymując ją)

Jakto? bez słowa odchodzisz ode mnie?

(zatrzymując i z zapałem)

Tej więc, do której zawsze niedaremnie
Każdy w nieszczęściu słuszne prawo rości.

(klękając)

Patrz, u nóg twoich błagam twej.... litości!

(Aniela odchodzi w prawe drzwi w głębi, Gustaw zostaje w tém położeniu— obrócony ku parterowi kiwa głową, jakby mówił; „proszę ja kogo!“ wstaje za pierwszém słowem Klary)

SCENA VI.

Gustaw, Klara (*z lewych drzwi*).

Klara.

A to co znaczy? czy dziękczynne modły?
Czy też pokuta za śmiałe nadzieje?

Gustaw.

Bystre domysły tą razą zawiodły:
Sprzykrzyło mi się ciągle chodzić, siedzieć,
I kląkłem.

Klara.

Nie, nie, ja wiem co się dzieje,
I będę mogła dokładnie powiedzieć.
Melancholicznych wejrzeń nie widziano,
Sentymentalnych westchnień nie zważano,
Słów nie słuchano — cóż więc pozostało?—
Do nóg — miłość lub śmierć! — Lecz wypadało
Mieć w ręku szpadę, sztylet, nóż stołowy,
Albo nareszcie mordercze nożyczki!
(*śmieje się*)
I cóż? stoimy — bez czucia, bez mowy?
Jakto i wszystko od pierwszej potyczki?
Ach, to zwycięztwo tak łatwe prawdziwie,
Że się nie cieszę, lecz łatwości dziwię.

Gustaw.

Kołczan już próżny, zatém żart na stronę.
Ach! panno Klaro, widzisz mnie w rozpaczy!

Klara.

O, znajdę jeszcze pocisk na obronę.
Ale bez żartu, cóż ta zmiana znaczy?
Jestże to może snu rannego skutek,
Albo dowcipu nagłe przesilenie?

Gustaw.

Nadto głęboki czuję w sercu smutek,
Nadto bezstronnie moje błędy cenię,
Abym mógł zwracać dowcipne pociski.
Cel moich życzeń, któregom był blizki,
Teraz, niestety, prawie z oczu tracę,
A najboleśniej to rozdraźnia duszę,
Że własną winę własném szczęściem płacę,
I że zbyt słusznie, jeszcze przyznać muszę.
Zatém czy zganisz lekkomyślność moję,
Z którąm nadziei zaufał bez miary;
Czy nazwiesz głupstwem, co przez płochość broję,
Czy brak grzeczności uznasz godnym kary,
Jak chcesz mnie skarcisz, w jakimbądź sposobie,
Zawsze mniej powiesz, niźli ja sam sobie!

Klara *(z udaną pokorą).*

Wyższości mężczyzn nad zdanie kobiety,
Nadto przed chwilą doznałam, niestety!
Bym teraz śmiała sprzeczać się zuchwale.
Zwłaszcza gdzie skromnie na rozsądku szalę
Męzka wspaniałość własne błędy składa.
Tam mnie powtarzać lub milczeć wypada.
Lecz szczera skrucha i te chlubne żale
Z jakiejże wielkiej pochodzą przewiny?

Gustaw.

Ach panno Klaro, poznałem Anielę.

Klara.

Dotąd rozpaczy nie widzę przyczyny.

Gustaw.

Poznawszy, widzę jak błądziłem wiele.

Klara *(domyślając się).*

Aha! pan Gustaw zapewne ją kocha?

Gustaw.

Ubóstwia, powiedz, a powiesz za mało.

Klara *(z zastanowieniem).*

Hm! nie jestże to tylko skłonność płocha?

Gustaw.

Miłość najczystsza jaką niebo dało.

Klara.

Ależ ta miłość będzież ona stała?

Gustaw.

Z życiem trwać będzie, z życiem tylko zgaśnie.

Klara.

I pewnie wierzyć Anielka nie chciała?

Gustaw.

Nie chce i słuchać — ztądto rozpacz właśnie.

Klara *(po krótkiem milczeniu).*

To źle— ale mnie słuchałaby może?

Gustaw.

Co miłość nie śmie, to przyjaźń określi.

Klara.

Gdy jej poprawę i ten żal przełożę....

Gustaw.

Ach panno Klaro, zgadłaś moje myśli.

Klara.

Powiem jej jakim pan Gustaw był wprzódy.

Gustaw.

Mocnych farb użyj, nie szczędź mi nagany.

Klara.

Że był wesoły, jakto zwykle młody...

Gustaw *(sens kończąc).*

Trzpiot, lekkomyślny, płochy, roztrzepany....

Klara *(sens kończąc jeszcze prędzej).*

Próżny, zły, dumny, zakochany w sobie...

Gustaw *(reflektując).*

To trochę nadto— to będzie za wiele.

Klara *(mimo siebie w coraz większy zapał wpadając).*

Że wiejskie dziecie widział w jej osobie...

Gustaw *(jak wprzódy).*

To trochę dużo...

Klara.

Że mniemał w swej dumie,
Iż grzeczność na wsi godna pośmiewiska...

Gustaw.

To bardzo dużo...

Klara.

Że brak na rozumie...

Gustaw.

Hola! to nadto; obraz zakazany!

Klara *(z zapału nagle w łagodność przechodząc, z uśmiechem).*

Mocnych farb biorę, nie szczędzę nagany.—
Ale jej powiem zaraz z drugiej strony:
Że się poprawił, kto się uznał w błędzie,
Że miłość szczera, którą uniesiony,
Im wolniej wzrosła, tém wytrwalszą będzie;
Że jeśli jeszcze nie jest jej wzajemną,
Winna przynajmniej wynagradzać wiarą.

Gustaw.

Ach tak, tak wszystko, moja panno Klaro!
Czytasz w mém sercu, myślisz razem ze mną.

Klara *(parskając śmiechem).*

Ha, ha, ha! dłużej wytrzymać nie mogę!
Ha, ha, ha! moja panno Klaro! moja!
Ha, ha, ha! przednio! znalazłam więc drogę,
Oręż wypada, pęka twarda zbroja.—

(seryo)
I czegoż męzka przebiegłość zastrasza?
Niech straszy raczej własna słabość nasza,
Bo, kto nie zechce, ten tylko nie przyzna,
(stosując do Gustawa)
Że do zwalczenia nietrudny mężczyzna.
Ufaj mu szczerze, a w postaci męża
Ujrzysz zwinnego, zjadliwego węża.
Oprzyj się woli, chciej mieć własne zdanie —
Lwem rozdrażnionym, tygrysem się stanie.
Ale znaleź wtór do jego piosneczki,
Jak zwyciężona wychodź z każdej sprzeczki;
W jego rozumu kręć się zawsze kole,
A na jedwabiu wywiedziesz go w pole.—
Jeśli się mylę, to próbka dzisiejsza
Mego mniemania zupełnie nie zmniejsza.
Co wyraziwszy szeroko i długo,
(z nizkim ukłonem)
Mam honor zostać uniżoną sługą!
(odchodzi we drzwi prawe boczne)

SCENA VII.

Gustaw *(sam).*

(od czasu, jak Klara się roześmiała, stał jak wryty, teraz po krótkiém milczeniu)
Hm, hm, hm! czy tak, tak?—Że kocham szczerze,
Idę otwarcie, otwartości wierzę,
Takżem spadł nizko?— Hola jaszczureczko!
Ostry rozumek, ostre twe słóweczko,
Ale mnie w parę z Albinem nie poda.
Uczysz mnie zwodzić? Chcesz wybiegów?— zgoda.

(chodzi zamyślony; po krótkiém milczeniu)
Aniela dobra, ale uprzedzona—
Co ufność nie chce, niech dobroć dokona.
Romas ułożę— jej zrobię zwierzenie—
Na czas kochankę w przyjaciółkę zmienię,
Zyszczę jej litość i wezwę obrony.
(po krótkiém milczeniu)
Łączy dwa serca sekret podzielony,—
Tak— wzbudzę czucie miłości obrazem,
Zwrócę ku sobie i ustalę razem.—
(Chodzi w głębokiém zamyśleniu— scena niema, w której widać, że roztrząsa plan jakiś— siada, zrywa się, chodzi, staje— nareszcie stojąc czas jakiś w miejscu zamyślony, z nadzwyczajną szybkością daje bieg, jakby dotąd zatrzymanym słowom, ledwie ujrzał Albina we drzwiach— który zdziwiony, czas jakiś zostaje we drzwiach, dopiéro później zbliża się powoli.)

Piotrowski

SCENA VIII.

Gustaw, Albin.

Gustaw.

Otóż to, to jest przyczyna,
To powód wszystkiego złego!
Chodzi, łazi cień Albina,
Płacze diabli wiedzą czego!
Pięćdziesiąt lat jęczy, szlocha,
Pięćdziesiąt lat wzdycha, kocha.
Teraz każda myśleć będzie,
Że to tak się miłość przędzie,
Niby wiekiem życie człeka,
Aby wzdychać mógł pół wieka!

Już łzy lejąc w dzień i w nocy,
Sam się zmienisz we fontannę,
A tymczasem bez pomocy
Ja mam znosić twoję pannę?
Nie kochaj ją tak poddanie,
A wzajemną ci się stanie;
Nie daj władać, rządzić sobą,
A rząd tobie sama przyzna;
Nie nudź płaczem i żałobą,
A zwyciężysz jak mężczyzna.
Inaczej myślą warjaci.—
Bądź zdrów!
(odchodząc, ciszej)
Niech cię wszyscy kaci!...
(wracając)
Gdzie poszła?

Albin.

Ach kto?

Gustaw *(wzruszając ramionami).*

Tego nawet nie wie!
(odchodzi za Anielą(

Albin *(sam).*

I jemu teraz szkodzę—odszedł w srogim gniewie.
Gdzież mam wylać łzy moje, gdzie podziać westchnienie?
Pałam lat dwa, lat dziesięć—jeszcze się nie zmienię.
Niechaj tylko na chwilę, na cząsteczkę chwili,
Klara patrząc się na mnie, choć trochę zakwili.

SCENA IX.

Albin, Klara.

Albin.

Nigdyż, Klaro, nie przyjdzie chwila wypłakana,
Kiedy balsam otrzyma sroga serca rana?

Klara.

Otrzymać może, ale nie ode mnie.

Albin.

Ja kocham.

Klara.

Ja wiem.

Albin.

Zaczekam.

Klara.

Daremnie.

Albin.

Błagam.

Klara.

Dość tego.

Albin

Okrutna!

Klara.

Być może.

Albin.

Obym mógł przestać kochać!

Klara.

(kłębek upada; Albin goni i podnosi)

Daj to Boże,
Żeby raz jeden wypadł kłębek z dłoni,
A waćpan za nim nie byłeś w pogoni;
Żeby raz chustka padła ze stolika,
A waćpan za nią nie leżał na ziemi;
Żebym raz chciała nożyczek, nożyka,
Waćpan nie szukał, nie latał za niemi;

Żebym raz mogła jeden kichnąć skrycie,
Nie słysząc wróżby na stoletnie życie!
Nie, to prawdziwie już nie do zniesienia!

Albin.

Jeśli pragnę uprzedzać wszystkie twe życzenia,
Jeślibym całe życie chciał poświęcić tobie,
Przypisz to mej miłości i swojej osobie.
Ale żem nie mógł zmiękczyć serce nazbyć harde,
Powiedz Klaro, czym przeto zasłużył na wzgardę?

Klara.

Nie, na wzgardę nie, ja tego nie mówię.

Albin.

Ach, jeżeli nie wzgarda, jakże się to zowie?

Klara.

Przykre mi często są jego cierpienia,
Że szczere, wierzę, lecz to nic nie zmienia.
Na głos mężczyzny Klara ucha nie ma,
Nienawiść wszystkim przyrzekła, dotrzyma.

Albin.

Ach, a w tej nienawiści moja część nie mała.

Klara.

Nienajwiększa.

Albin.

Ach Klaro, gdybyś pojąć chciała,
Co się na twe wejrzenie w mojej duszy dzieje,
Pewniebyś serca mego ziściła nadzieje.

Klara.

Pewniebym nie ziściła.

Albin.

Nigdy?

Klara.

Dość już, proszę.

Albin.

Okrutna! tém słowem śmierć.....

Klara *(śmiejąc się).*

Ach, śmierć, śmierć przynoszę!

Albin.

Wkrótce tej nowej chluby świat ci pozazdrości.

Klara.

Żaden mężczyzna dotąd nie umarł z miłości.

Albin.

Bo żaden nie mógł, ale nie jeden chciał szczerze.

Klara.

Chęć więc za skutek trzeba wziąść w tej mierze.
Obchodząc zatém śmierć pana Albina,
Moja żałoba od dziś się zaczyna.

Albin.

Ach dobrześ, widzę, radził szczęśliwy Gustawie!

Klara *(ironicznie).*

Cóż radca stanu poradził łaskawie?

Albin *(Albin powoli, Klara prędko mówi).*

Nie kochaj, rzekł, tak czule, a będziesz kochany.

Klara.

Nie kochaj! proszę, już mu na zawadzie,
Że ktoś jest wierny i w tém szczęście kładzie;
Już go to korci, jużby chciał odmiany.

Albin.

Dwa lata wzdychasz, płaczesz, a sam nie wiesz czego.

Klara.

A sam, sam nie wiesz!... słyszał kto co podobnego?

Albin.

Każda już zechce zadać tak długą pokutę.—

Klara.

A on chce dobę, godzinę, minutę?

Albin.

Nie daj jej sobą rządzić...

Klara.

Nie daj rządzić! brawo!
Nie daj! no proszę, to mi piękne prawo!

Albin.

A ty nią rządzić będziesz.....

Klara.

Co, co? będziesz rządzić?
A zaraz rządzić, zaraz rządzić chcecie;
Jakże tu ma być porządek na świecie?
Jak?— kiedy jeden stu nauczy błądzić,
A pierwsze słowo: „Nie daj sobą rządzić!“

Albin.

Jednak słuchać go nie chcę— co każesz, to zrobię.

Klara *(do siebie).*

To radca! to profesor!

Albin *(zbliżając się czule).*

Cóż zrobić?

Albin.

Pójść sobie.

(Albin ukłoniwszy się, wzdycha ciężko i odchodzi)

Klara *(sama).*

Gadaj— gada, milcz— milczy, idź— idzie, stój—stoi;
A niechże się sprzeciwi, niech się Boga boi!
Bo ta uległość mimo woli, zdania,
I nienawidzieć i kochać go wzbrania.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

SCENA I.

Aniela, Gustaw.

Gustaw *(wchodząc za Anielą ze drzwi prawych).*

Anielo! jedno, już ostatnie słowo.

Aniela.

Ach, tym ostatnim dzisiaj końca niema;
Lecz, by ich nadal nie wszczynać na nowo,
Chcę raz ostatni teraz wyznać szczerze:
Że kiedykolwiek, i każdy w tej mierze,
Taką odpowiedź niemylnie otrzyma,
Jaką pan Gustaw dziś ode mnie bierze.
Przedsiewzięciu więc, nie swojej osobie
Przypisać całą nieprzyjemność proszę.
Lecz gdy działając w otwartym sposobie,
Niejaką może osłodę przynoszę,
Chcę się spodziewać, że moje wyznanie
Ściśle tajemném dla wszystkich zostanie,
Ponieważ czynię wbrew rozkazom matki,
Która rozumie, że choć znaczne siatki,
Jednak usidlić kiedyś z czasem mogą.
Słowem, mój zamiar zakazała głosić,
Muszę cierpliwie oświadczenie znosić,
Muszę wprzód poznać, nim odprawię kogo.

Gustaw.

Równie więc prostą i ja pójdę drogą;
I ja pomimo Radosta rozkazu,
Serce ci moje odsłonię do razu:
Kocham....

Aniela.

Ach, jużem tylekroć słyszała!...

Gustaw.

Ależ mi pozwól: — nie ciebie Anielo.

(po krótkiém milczeniu)

Gdy nas więc chęci przeciwne nie dzielą,
W tobie nadzieja teraz moja cała.
Dziwisz się? — wierzę — lecz tak jest w istocie.
Stryj, który ojca zastąpił sierocie,
Który mym losem od kolebki prawie
Ciągle się dotąd zajmował łaskawie,
Żądał nakoniec nagrody ode mnie,
Lecz jakiej, przebóg!— Prośby, łzy, błagania,
Co tylko serce do litości skłania,
Wszystkiegom użył, wszystko nadaremnie;
I w końcu przyrzec stryjowi musiałem,
Wszelkiém staraniem zyskać rękę twoję.
Lecz kiedy dzisiaj z upornym zapałem
Miłość głosiły drżące usta moje,
Ach, mamże wyznać, czy ciebie nie wzruszy,
Bałem się skrycie i truchlałem w duszy.

Aniela.

Jakto? ze strachu?

Gustaw.

Ach, tak jest, niestety!

I wdzięki twoje i twoje zalety,
Których odkrywam krocie w każdej dobie,
Których niewidzieć wolno tylko tobie,

Co jak powabem, tak szczęściem być mogą,
Mnie, mnie jednego napełniały trwogą.
Zyskać twój uśmiech, przyjazne wejrzenie,
Obudzić w sercu najpierwsze westchnienie,
Nie chlubą, szczęściem— niebem nazwać muszę,
Jednak trwożyło nie moję już duszę.

Aniela.

Miłość to zatém ku innej osobie?

Gustaw.

A cóżby mogło bronić przeciw tobie?
Kochałem wtedy, kiedym ciebie poznał;
Ztądto dwuznaczne me postępowanie
Podpadło waszej tajemnej naganie.
Czułem jej słuszność i boleśniem doznał,
Że choć bez winy, jestem jednak winny;
Lecz sama powiedz, byłże środek inny?

Aniela.

Ja tylko śmiało to powiedzieć mogę,
Że w tym zamęcie jednę widzę drogę:
Wyznać stryjowi....

Gustaw.

Ach, ileż to razy
Do nóg rzucony i ze łzami w oku,
Wszystko wyznając błagałem wyroku.

Aniela.

Cóż mówi na to?

Gustaw.

Powtarza rozkazy:
Ty masz, niestety, zostać moją żoną,
Którą mniej zamiar, więcej wstręt oddala,
A zaś kochankę sercem poślubioną,
Nawet przed sobą wspomnieć nie dozwala.

Aniela.

Dlaczego?

Gustaw.

Długiej trzebaby rozprawy.
Lecz krótko mówiąc, dla odwiecznej sprawy
I pojedynku, co ze sobą mieli
Mój stryj i ojciec Anieli.

Aniela.

Anieli?

Gustaw.

Imie stosowne, jedno macie obie,
Którego odgłos bijąc w serce moje,
Budzi swym dźwiękiem lube niepokoje.
Ztąd jakiś pociąg zaraz w pierwszej dobie,
Jakby ku siostrze, uczułem ku tobie.

Aniela.

Dziwnie!

Gustaw.

O gdyby ja tylko kochałem,
A męki moim tylko były działem!
Ale czuć zawsze, że każde szarpnięcie
Echem bolesném powtarza się skrycie
W drugiej istocie, droższej nam nad życie,
To wszelkich cierpień przechodzi pojęcie!
To przeciw sobie zwraca własną rękę,
By zgasić czucie i wzajemną mękę!

Aniela *(przestraszona aż prawie do płaczu).*

Panie Gustawie!... co to jest... o Boże!
Zabić się, zabić!... to bardzo nieładnie,
To grzech, wielki grzech; kto w niego popadnie,
Na tamtym świecie wiecznie cierpieć może.

Gustaw.

(szybka rozmowa)

Ratuj mnie.

Aniela *(z pośpiechem).*

Będę, będę, lecz czy mogę?

Gustaw.

Możesz.

Aniela *(jak wyżej).*

O śmierci nie będę słyszała?

Gustaw.

Nie.

Aniela.

Ja się jeszcze dotąd trzęsę cała.

Gustaw.

Chcesz więc?

Aniela.

Ale jak?

Gustaw.

Ja ci wskażę drogę:
Wstaw się do matki...

Aniela.

Dobrze, ja się wstawię.

Gustaw.

Niech mi przebaczy.

Aniela.

O, przebaczy pewnie.

Gustaw.

Proś!

Aniela.

Będę prosić, błagać, płakać rzewnie,
Aż mi przyrzeknie pomagać w tej sprawie.
Lecz nie rozpaczaj, mój panie Gustawie.

Gustaw.

W twojém więc ręku szczęście, życie moje.

Aniela.

W mojém?— Dla Boga!

Gustaw.

Matka uproszona...

Aniela.

Ach będzie, będzie, tego się nie boję.
Lecz koniec końców, cóż potrafi ona?

Gustaw.

Stryja przebłaga,

Aniela *(radośnie).*

Prawda! wyśmienicie!
Biegnę bez zwłoki, tu idzie o życie.

Gustaw.

Przebóg! nie teraz— miałaby przyczynę
Oskarżać stryja o zbyt wielką winę,
Że twą spokojność, nawet przyszłość całą,
Chcąc mnie powierzyć, narażał zbyt śmiało.
Toby ich przyjaźń niemylnie zerwało,
A ja nieszczęsny, cel gniewu stron obu,
Cóżbym mógł zrobić, jak wstąpić do grobu!

Aniela.

Ach, cóż więc czynić?

Gustaw.

Chcesz mi pomódz?

Aniela.

Chętnie.

Gustaw.

Zostańmy zatém tak jak do tej chwili:
Ja niby zawsze zakochany w tobie,
Ty na tę miłość patrząc obojętnie;
A później, gdy nas już będą naglili,
Głośne, wyraźne oświadczenie zrobię.
Ty mi odmówisz w podobnym sposobie;

Tym zwrotem twoję matkę to nie zdziwi,
A mój stryjaszek choć się nieco skrzywi,
Brak posłuszeństwa zarzucać nie będzie.
Wtedy dopiéro wzywam twej obrony;
Przebłagasz matkę, oświecisz w tym względzie.

Aniela.

Rozumiem, dobrze.

Gustaw *(całuje w rękę).*

Więc bez nienawiści?

Aniela.

Będę się cieszyć, jak się nasz plan ziści.

Gustaw.

Pamiętaj zawsze postępując śmiele,
Ile ci ufam, jak zwierzyłem wiele.
Jeśli opuścisz w tej smutnej potrzebie,
Ja w świecie nie mam nikogo prócz ciebie.
W tobie jedyna opieka, obrona,
Bez ciebie szczęścia nadzieja stracona.
O, niech z twej ręki Anielę otrzymam,
A dosyć czucia, dosyć życia nie mam,
Bym mógł odwdzięczyć dobro mi nadane,
Com go niegodny, lecz godnym się stanę.

(Całuje ją w rękę z uczuciem— przy ostatnim wierszu wszedłszy Radost, niewidziany daje brawo klaszcząc w ręce)

SCENA II.

Aniela, Gustaw, Radost.

Aniela.

Słyszał.

Gustaw.

Co? słyszał?

Radost.

Brawo dzieci, brawo!

Gustaw *(rzucając się na kolana przed Radostem).*

Przebacz mi stryju!

Radost *(cofając się zadziwiony).*

A! a to co znaczy?

Gustaw *(posuwając się za nim, cicho).*

Kiedyś już słyszał, łajże mnie, a żwawo.

Radost.

Guciu!

Gustaw *(cicho).*

Gniewaj się. *(głośno)* Lituj się rozpaczy!

(w tył się skłaniając jakby odtrącony)

Niech mnie twa ręka srodze nie odpycha!

(cicho)

A gniewajże się stryjaszku, do licha!

Radost.

Słuchajno, trzpiocie.

Gustaw *(cicho).*

Lepiej, to zamało.

Radost.

Czyś ty oszalał?

Gustaw *(cicho).*

Dobrze. *(głośno)* Już się stało!

Radost.

Tego już nadto!

Gustaw *(głośno).*

Wszystko jej wyznałem.

(cicho)

A nuże teraz! z największym zapałem.

Radost.

A do stu katów!

Gustaw *(cicho).*
To, to, to!

Radost.
Drwisz sobie!

Gustaw *(głośno tragicznie).*
Stryju mój, stryju! chcesz mnie widzieć w grobie.

Radost *(rozgniewany).*
Dosyć tych żartów, dosyć już mój panie;
Rób sobie, co chcesz, niech się co chce stanie,
Ja szalonemu nie chcę szukać żony.
(odchodząc)
A to waryat, wyraźnie szalony!

SCENA III.

Aniela, Gustaw.

Aniela *(niespokojnie).*
Cóż teraz będzie?

Gustaw *(do siebie).*
Ścierpły mi kolana.

Aniela.
Nie dał się zmiękczyć.

Gustaw.
To rzecz niesłychana.

Aniela.
Może nie słyszał.

Gustaw.
Jakto, może?

Aniela.
Może.

Gustaw.

Samaś mówiła.

Aniela.

Nie, jam się pytała.

Gustaw.

Więc bez potrzeby ta utarczka cała,
I w najmniej dobrej wyprawiona porze,
Bo że nie słyszał, jestem pewny prawie,
Lecz o co idzie łatwo teraz zgadnie.

Aniela.

Wszystko zerwane niewczesnym zapałem.

Gustaw.

Tak mnie znienacka i tak podszedł zdradnie!

Aniela *(chodząc niespokojnie).*

Cóż ja nieszczęsna pomogę w tej sprawie!

Gustaw *(na stronie).*

Mojego planu powierzyć nie chciałem.

Aniela *(jak wyżej).*

Jakże też można w porywczym zapędzie
Zniszczyć od razu, cośmy przedsiewzięli!
Biedna Aniela ileż cierpieć będzie!

Gustaw *(biorąc ją za rękę).*

Jakże nie kochać tej lubej Anieli?

Aniela.

Kochać ją trzeba.

Gustaw.

Poprzysiągłem sobie.

Aniela.

Ach! chętnie wierzę.

Gustaw.

W tém moje życzenie.
Sama więc widzisz: w tobie, tylko w tobie
Pomoc mam jednę, a wszystkie nadzieje.

Aniela.

Cóż ja pomogę i cóż ja odmienię?
Radost tak dobry, dziś zemstą goreje.

Gustaw.

Jeśli nie słyszał, wszystko ja naprawię.

Aniela.

Nie trać więc czasu; idź panie Gustawie.

Gustaw.

Ty zaś unikaj wszelkiej z nim rozmowy,
Ale się staraj, abyśmy po chwili,
Dla dalszej jeszcze w tym względzie umowy,
Znowu sam na sam tu ze sobą byli.
(biorąc za rękę)
I obyś zawsze, ciągle pamiętała,
Że w twojém ręku moja przyszłość cała,
A nawet więcej i szczęście Anieli,
Z którą już w świecie nic mnie nie rozdzieli.
(Całuje ją kilka razy w rękę, idzie ku drzwiom swojego pokoju, a obejrzawszy się, w inne drzwi odchodzi.)

SCENA IV.

Aniela *(sama)*

(chodzi zamyślona, potém siada opierając głowę na ręku).

Dziwnie — i dziwnie! Brzmią mi jeszcze uszy
Słowami, dotąd nieznanemi duszy.
Jak on ją kocha! i pewnie nie zwodzi:
Wszystko, co powie, wzrok jasny dowodzi.
On z nią szczęśliwy, ona z nim szczęśliwa,
I na czémże im, na czém jeszcze zbywa?

Jednego słowa do szczęścia im trzeba,
A do jakiego, do jakiego! — Nieba!
Ufają sobie, kochają się szczerze;
Jestżem szczęśliwsza, że w miłość nie wierzę?
Jednak ta miłość jest, trwa, dowiedziona.....
O Boże! serca nie czuję śród łona.

SCENA V.

Aniela, Klara.

Klara.

Czegoż tak dumasz? Piszesz dzieło może?

Aniela.

Ach Klaro, Klaro, żebyś ty wiedziała!....
Lecz twoja przyjaźń zdradzić nas nie może,
Wszystko ci powiem — krótko więc — rzecz cała:
Gustaw już nie mnie, lecz kocha Anielę.

Klara.

Kogo?

Aniela.

Anielę; ale Radost broni;
To wielki sekret, nie wydaj, dla Boga.

Klara.

Ależ nic nie wiem.

Aniela.

Bo to już za wiele.

Klara.

Co?

Aniela.

Ta zawziętość, nienawiść zbyt sroga.

Klara *(ze wzrastającą niecierpliwością).*
Czyja?

Aniela.
Radosta.

Klara.
I do kogo?

Aniela.
Do niej.

Klara.
Ależ.....

Aniela.
Nie dręcz się obawą daremną:
Gustaw się wcale nie chce żenić zemną.

Klara.
To źle, mężczyzna powinien chcieć zawsze,
Ażeby poznał, jak kobiéty gardzą,
Zwłaszcza ten Gustaw, coto uczy rządzić.

Aniela.
On i tak biedny!

Klara *(ironicznie).*
Biedny?

Aniela.
Musiał błądzić.

Klara.
Wzbudził więc, widzę, uczucia łaskawsze.

Aniela.
Ja wszystkich mężczyzn nienawidzę bardzo,
Ależ on swój los w moje ręce składa:
Bronić go muszę.

Klara.
Tak? I bronić rada.

Aniela.
Rada nie rada, zdradzić go nie mogę.

Klara.

Zdradź go, zdradź moja duszko! zdradź sułtana.

Aniela.

Nigdy, przenigdy!

Klara.

Ja tobie pomogę.

Aniela.

A taż Aniela tak szczerze kochana?

Klara.

Znowu nic nie wiem.

Aniela.

Wszystko ci wyjaśnię.

Klara *(ciekawie).*

Mówże.

Aniela.

Gdzie Mama?

Klara.

Wołała cię właśnie.

Aniela.

Ona tak dobra, i jej wszystko zwierzę,
Jej tylko jeszcze, a więcej nikomu.

Klara.

Moja Anielko, niech cię Pan Bóg strzeże
Byś z męzkich sideł nie poniosła sromu;
Ja twą nienawiść już słabnącą widzę.

Aniela.

O, jak cię kocham, ja ich nienawidzę.

Radost *(wchodząc, do odchodzących).*

Panno Anielo!

(Aniela chwyta za rękę Klarę i pociągając z sobą prędko wybiega we drzwi prawe boczne)

Ależ... panno... proszę...

(wracając)

Hm, hm! spłoszone — coś tu znać Gustawa —
Gotówbym przysiądz, że to jego sprawa.
Oj Guciu, Guciu! kiedyś ja przepłoszę!

(Gustaw wchodzi jednemi w głębi będącemi drzwiami, a zobaczywszy Radosta, nucąc w drugie odchodzi)

Radost *(goniąc za nim).*

Czekajno, czekaj!

(wybiega za drzwi)

SCENA VI.

Radost, Gustaw.

Radost *(prowadząc Gustawa).*

Chodź, chodź, mam cię ptaszku.
(patrząc mu w oczy, po krótkiém milczeniu)
Coto znaczyło to: przebacz stryjaszku?

Gustaw.

To tak.

Radost.

Jakto, tak?

Gustaw.

Ot tak!

Radost.

Coto znaczy:
Ot tak?

Gustaw.

Niby — nic.

Radost.

Nic?

Gustaw.

Nic.

Radost.

To nic było:
Przebacz stryjaszku, lituj się rozpaczy?

Gustaw *(szybko).*

Ach, to rzecz jasna: w miłości niemiło,
Kiedy się czasem (bo któż to zaprzeczy?)
Kłótnia lub sprzeczka, albo z innej rzeczy,
W potęgę czucia moc niby mająca,
Sama od siebie walczy lub potrąca,
Ztąd koniec końców, kres wszystkich igraszek —
No, to rzecz jasna — rozumie stryjaszek?

(chce odejść)

Radost *(zatrzymując go).*

Ale czekajno — ja nic nie rozumiem.

Gustaw.

A ja wyraźniej powiedzieć nie umiem.

Radost.

Czegożeś klęczał jakby do pacierzy?

Gustaw *(z udanym zapałem).*

To mi stryjaszek nie wierzy? nie wierzy?

(chodząc)

Kiedy tak — dobrze — dobrze — wiem co zrobię —
Każę zajechać i pojadę sobie.
Janie! Hej!

Radost *(chodząc za nim i głaszcząc po ramieniu).*

No, no, Guciu, Guciuniu mój!

Gustaw *(zawsze chodząc w udanym gniewie).*

Kiedy ja mówię!....

Radost *(jak wyżej).*

Już, już, już, stójno, stój.

Gustaw.

Ja się tłómaczę dobrze, jasno, szczerze.

Radost.

Już, już rozumiem, już wszystkiemu wierzę.
(do siebie)
A to saletra! skra, ogień, płomienie!

Gustaw *(rzucając mu się na szyję).*
Luby stryjaszku!

Radost *(sciskając go).*
Ach, Guciu mój luby,
(płaczliwie)
Nie słuchasz rady.

Gustaw.

I słucham i cenię,
A co wykonam, godne będzie chluby.

Radost.

Lecz czemu Klara....

Gustaw.

Ach Klara, ta Klara,
To jest prawdziwie boska na mnie kara.
Wszędzie jej pełno, we wszystkiém zawadzi;
Przytém zawzięte, jak kogucik młody,
Kikiki zawsze, *(pokazując)* a tak w górę sadzi!
I wiesz stryjaszku, dla powszechnej zgody,
Wiesz co?

Radost.

Naprzykład?

Gustaw.

Żeń się z nią.

Radost.

Szalony!

Gustaw.

Zrób mi tę grzeczność.

Radost.

Pomysł godny głowy.

Gustaw.

Bardzo mi bruździ.

Radost *(wzruszając ramionami).*

Dlatego ja stary?....
Bruździć nie będzie, nie bruźdź ty z twej strony.
Nacóż Albina przez jakieś namowy
Chcesz jej zbuntować?

Gustaw.

On już zbuntowany.

Radost.

Jakto?

Gustaw.

W Anieli jak kot zakochany.

Radost.

Kto? Albin?

Gustaw.

Albin.

Radost.

A, to nie do wiary.

Gustaw.

Tak, tak ją kocha, ledwie że nie skona;
Niema gadania, to rzecz dowiedziona.

Radost.

Albin, ten Albin!

Gustaw.

O, nie wszystko złoto,
Co się nam świeci — o, to sztuczka płocha:
Jednej przysięga, a w drugiej się kocha.

Radost.

Ale z Anielą jakże idzie tobie?

Gustaw *(po długiém milczeniu) (zakładając ręce).*

Co to Magnetyzm?

Radost *(zdziwiony).*

Ma... Magnetyzm?

Gustaw,

Coto?

Co? Powiedz!

Radost.

Ale zkąd o tém w tej dobie?

Gustaw *(po krótkiém milczeniu).*

Magnetyzm, mówią, jestto wolna władza,
Co z ciała w ciało zdrój życia wprowadza.
Jeżeli zatém mam zarodne siły
Ogień swój własny w obce przelać żyły,
Dlaczegoż miałbym w pięknej, młodej duszy,
Czystej jak śnieżek, co świeżo przypruszy,
Przez silną wolę, pałające tętna,
Własnego czucia nie wycisnąć piętna?

Radost.

Jeśli rozumiem, niech mnie piorun trzaśnie!

Gustaw.

Kocham i będę kochany; to jaśnie?

Radost.

Jaśnie, wyraźnie, lecz trochę za śmiało.

Gustaw.

Śmiałość przed szczęściem, jak szczęście przed chwa-
(łą!

Radost.

Będziesz kochany, ale nie bądź trzpiotem.

Gustaw.

O mój stryjaszku! tobie myśleć o tém.

Radost.

Ach, czyż nie myślę i nie smażę głowy?

Gustaw.

Ja też ci zawsze dziękować gotowy.

Radost.

Dziękuj kiedy chcesz, lecz się popraw razem.

Gustaw.

To się już stało za twoim rozkazem.
I dobrze skończyć mam wszelką nadzieję,
Byleś nie zważał co się z nami dzieje;
W zgodzie czy kłótni, we wrzawie czy ciszy,
Niech oko drzémie, a ucho nie słyszy.

Radost.

Cóż z tego będzie?

Gustaw.

Co będzie? *(ściskając go)* Wesele.
(wybiega)

Radost *(idąc za nim).*

Rozsądku mało, pewności za wiele.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

SCENA I.

Gustaw, Jan.

(Gustaw chodzi zamyślony, Jan krok w krok za nim z czarną chustką w ręku)

Gustaw *(podając lewą rękę, niestając).*

Zawiąż! *(do siebie)* Stało się — kocham ją szalenie—
Lecz ona?—

Jan *(chodząc za nim i opatrując rękę).*

Wcale nic...

Gustaw *(stając).*

Jakto nic?

Jan *(jak wprzódy).*

Niema
Tu nic.

Gustaw.

Na ręku!— Wiąż tylko— *(chodzi, do siebie)* Hm,
(sprzyja,
Ale jak będzie, gdy rolę odmienię?—
Jak? kiedy zacząć?

Jan

(nie mogąc w chodzie zawiązać ręki dla różnych giestów Gustawa).

Niech się pan zatrzyma.

(Gustaw wyrywa rękę, którą Jan chwyta i dalej chodząc wiąże)

Gustaw *(do siebie).*

Zatrzymać— pewnie— Węzeł jest—

Jan *(puszczając).*

Jest panie.

Gustaw *(do siebie).*

Lecz jak rozwiązać?

Jan.

Za koniuszek.

Gustaw *(stając, w gniewie).*

Janie!

Jan.

Słucham.

Gustaw.

Głupiś.

Jan.

Tak?

Gustaw *(zrzucając chustkę).*

I nie tę zawija!

Lewą nie piszę.

Jan.

Któraż ręka boli?

Gustaw.

Co ci do tego — na, masz: zawiąż prawą.

(podaje lewą rękę i zaczyna chodzić)

(do siebie)

Pierwszy raz kocham.

Jan.

Ależ panie...

Gustaw *(wciąż chodząc).*

No, a żwawo!

(do siebie)

Innato miłość.

Jan.

To ta sama.

Gustaw.

Kłamiesz.

Jan.

Lewa.

Gustaw *(podając prawą rękę).*

A, ręka — no — jakże powoli.

(zaczyna chodzić i ciągnie za sobą opierającego się gwałtem Jana) (do siebie)

Będę kochany... Aj, rękę mi złamiesz!

Jan.

A którą, panie?

Gustaw.

Puść już, do kaduka!

Jan.

Wiązać nie sztuka.

Gustaw.

Ale milczeć sztuka.

SCENA II.

Gustaw, Albin.

(Jan na znak Gustawa odchodzi)

Gustaw *(na stronie).*

Już czuję wilgoć, zbliża się fontanna!

(od Albina)

Albinie smętny! jak rosa poranna,
Tak mgła z łez twoich napełnia dom cały.

Albin.

A jednak mojej nie zmiękczyły skały!

Gustaw.

Nim się więc staną saletrzanym kwasem,
Inny ci sposób poradzę tymczasem.

Albin.

Poradź mi, poradź, a lepiej niż rano.

Gustaw.

Źleżem poradził?

Albin.

Bóg to będzie sądzić.

Gustaw.

Cóż ci się stało?

Albin.

Drzwi mi pokazano.
Radź mi więc, radź, tylko nie każ rządzić.

Gustaw.

Pierwiej pocieszę.

Albin.

Mnie?! pocieszyć?! Nieba!

Gustaw.

Klara cię kocha.

Albin.

Zbyt bolesne żarty.

Gustaw.

Ręczę.

Albin.

Nie wierzę.

Gustaw.

Przysięgać ci trzeba?

Albin.

Jak wiesz?

Gustaw *(udając urażonego).*

Cóż to jest? Chcesz, nie wierz uparty,
Ale nie żądaj, bym zdradzał zwierzenie.

Albin *(rzucając mu się na szyję).*

Ach, ach! Gustawie! słów nie mam... łzy moje...

Gustaw *(głaszcząc).*
Cyt, cyt Albinie.

Albin.
Kocha mnie?

Gustaw.
Szalenie!

Albin.
Cóż teraz będzie?

Gustaw.
Albina ożenię.

Albin.
Mnie, mnie? z nią?— z Klarą?

Gustaw.
Ale jak nastroję,
Tak ty grać będziesz— przyrzekasz mi święcie?

Albin.
Dobrze, cóż robić?

Gustaw.
Zwalić przedsiewzięcie,
Które twych nieszczęść przyczyną się stało,
A potém zmusić by prawdę wyrzekła.

Albin.
Szczęścia za wiele!

Gustaw.
Trzebaż ci tak mało?

Albin.
Z nią?! wielkie nieba!

Gustaw.
Nudnyś, wielkie piekła!

Albin.
Cóż chcesz?

Gustaw.
Słuchaj mnie.

Albin.

Słucham.

Gustaw.

Daj jej uczuć,
Że inną kochasz.

Albin.

Przebóg! nie kończ, ginę.

Gustaw *(namawiając).*

Czas jakiś!

Albin.

Nigdy!

Gustaw.

Dzień.

Albin.

Nie chcę.

Gustaw.

Godzinę.

Albin.

Wprzód umrę.

Gustaw *(zniecierpliwiony).*

Mrzyj więc.

Albin.

Nie zmienię mych uczuć.

Gustaw.

No, to udawaj, żeś je zgasił w sobie.

Albin.

Nie mogę.

Gustaw.

Nareszcie że kochasz nie tyle.

Albin.

Udawać?

Gustaw *(prosząc).*

Trochę.

Albin *(po krótkiém milczeniu).*

Nie ufam mej sile.

Gustaw *(na stronie).*

A bogdajżeś pękł! *(do Albina)* No, to milcz.

Albin.

Jak długo?

Gustaw.

Dzień jeden.

Albin.

Milczeć?

Gustaw.

Nie mdleć.

Albin.

Dzień?

Gustaw.

Nie wzdychać.

Albin.

Nie wzdychać? *(po krótkiém milczeniu)* Ciężko na mnie.

Gustaw *(z zapałem).*

Razą drugą

Wszystko odzyskasz; i po całej dobie
Będziesz mógł jęczeć, płakać, wzdychać, kichać,
Tylko nie teraz, nie teraz, u licha!

Albin.

A gdy nareszcie, jak ty każesz, zrobię,
Gdy pozna Klara, że Albin nie wzdycha?

Gustaw *(zniecierpliwiony).*

Wtedy Albina ożenię, ożenię.

Albin *(po krótkiém milczeniu).*

Do jutra?

Gustaw.

Ale zupełne milczenie.

Albin.

Dobrze.

Gustaw.

Daj słowo.

Albin.

Ale.....

Gustaw.

Dajesz?

Albin.

Daję.

Gustaw.

A teraz bądź zdrów, *(ściskając go)* kochaj mnie. *(obracając ku drzwiom)*
Idź sobie.
(Albin odchodzi)
(sam)
Tak zatrudnienie dla Klary sposobię.
Kocha go, czy nie— pewnie jest ciekawa:
Zajmie ją zatém ta odmienna sprawa,
A nim jej dojdzie po zakrętach wielu,
Ja krok po kroku zbliżę się do celu.

SCENA III.

Gustaw, Aniela.

Aniela *(wchodząc ostrożnie).*

Słyszał Radost?

Gustaw.

Nie słyszał.

Aniela

Ach, oddycham przecie!

Gustaw.

Wszystkom naprawił.

Aniela.

Ginęłam z bojaźni.

Gustaw *(biorąc za rękę).*

Tyle dobroci tak rzadkiej w tym świecie,
Tyle dowodów troskliwej przyjaźni,
Ileż wdzięczności nie obudza we mnie?

Aniela.

Cóż uczyniłam wdzięczności godnego?

Gustaw.

Chcesz dobrze czynić.

Aniela.

Wszakto tak przyjemnie.

Gustaw.

Masz dziś sposobność.

Aniela.

Proszę wskazać drogę.

Gustaw.

Rękęm skaleczył.

Aniela.

I bardzo?

Gustaw.

Nic złego,
Lecz pióra całkiem utrzymać nie mogę.
(nieśmiało)
Gdybyś w tym razie zastąpić mnie chciała.

Aniela.

Pisać? i co?

Gustaw.

List.

Aniela.

List! Ach nie!

Gustaw.

Dwa słowa.

Aniela.

Dwa— a do kogo?

Gustaw.

Do mojej Anieli.

Aniela.

Co? takie listy jabym pisać miała?

Gustaw.

I cóż w tém złego?

Aniela.

Daremna namowa.

Gustaw *(żałośnie).*

Rękęm skaleczył.

Aniela.

To może kto drugi...

Gustaw.

Ach, któż na świecie moje troski dzieli?
Komuż się zwierzyć? gdzie błagać usługi,
Kiedy przed tobą daremnie się żalę?

Aniela *(chodząc i pół z płaczem).*

Cóż ja mam robić? *(po krótkiém milczeniu)* To nie pisać wcale.

Gustaw.

Jeszcze, Anielo, w kwiat życia bogata,
Znasz tylko roskosz, a nie znasz cierpienia;
Jeszcze, szczęśliwa, nie znasz oddalenia!
Nie wiesz, że wtedy cały ogrom świata
Jeden punkt tylko dla nas w sobie mieści,
A tym jest chwila spodziewanej wieści.

Nie wiesz jak wtedy śledcze oko płonie,
Jak każdy szelest dech zapiera w łonie,
I jaka boleść gdy mija godzina—
Z nią wprzód spłacona pociecha jedyna.

Aniela.

Otóżto miłość! kochajże tu, proszę!

Gustaw.

Ach kochaj, kochaj; boskie to roskosze!

Aniela.

Ach nie!

Gustaw.

Dlaczego?

Aniela.

Nie wiem, lecz się trwożę.

Gustaw.

Trwożysz?

Aniela.

Lękam się...

Gustaw.

Jak dziecie lekarza,
Który mu jednak życie wrócić może.—
Ach, obojętność naturę znieważa:
Dusza niezdolna, wybrać, kochać inną,
Zimną rachubą każde czucie zaćmi;
Dla niej jest niczém dla drugich być czynną,
Dla niej łza niema— ludzie nie są braćmi.—
Lecz gdy miłością serce moje bije,
Gdy powiem: kocham— wtenczas tylko żyję,
Żyję szczęśliwy, i w lubym zamęcie
Świat do podziału pociągam w objęcie.

Aniela.

Tak, gdyby miłość mogła być prawdziwa.

Gustaw.

Miłość jest jedna...

Aniela.

Udawań tysiące.

Gustaw.

Wyrzec się światła, bo i ciemność bywa?

Aniela.

Wyrzec się każą pozory mylące.

Gustaw *(z uczuciem, biorąc ją za rękę).*

Ach, nie wierz zresztą tej pieszczocie wzroku,
Gdy zwolna sunąc, spocznie w twojém oku;
Tej drżącej dłoni, kiedy ciebie blizka;
Nie wierz głosowi, co się w serce wciska.
Lecz własne czucie niech się wiarą stanie:
Ta czułość tęskna, to błędne żądanie,
A zwłaszcza pociąg nieodmienny losem
Równego czucia jest tylko odgłosem.—

(na znak niedowierzający Anieli)

Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone:
Niech je w przeciwną los potrąci stronę,
One wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
Znajdą, przyciągną i złączą się przecie.
Tak jak dwóch kwiatów obce sobie wonie,
Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie.

(Aniela zamyślona; Gustaw po krótkiém milczeniu mówi dalej)

I cóżto, powiedz, zaraz w pierwszej chwili
Wzbudziło we mnie tę ufność ku tobie?
Co ośmieliło, że zwierzenie robię,
Jeśli nie serce, co nigdy nie myli?

Aniela.

Ach czyliż zdradzić jest kiedy kto w stanie?

Gustaw.

Klara najpierwsza.

Aniela.

Zbyt błędne mniemanie.

Gustaw.

Ile mnie złego, tyle jej korzyści.

Aniela.

Komu? co? Klarze?

Gustaw.

Radost ją zaślubi.

Aniela.

Radost?—

Gustaw.

Jak tylko zamiaru nie ziści,
Przez zemstę ku mnie z Klarą się ożeni,
Mnie wydziedziczy i na zawsze zgubi.

Aniela.

To być nie może.

Gustaw

To się nie odmieni.

Aniela.

Ona nie zechce.

Gustaw.

To już ułożono.

Aniela.

I wstręt jej szczery....

Gustaw.

Szczery czy nieszczery,
Radost majętny, ojciec Klary chciwy,
Niema co gadać— jak dwa a dwa cztery—
Nie dziś, to jutro będzie jego żoną.

Aniela.

Ale jej śluby?

Gustaw.

Śluby? — sen prawdziwy!
I ty, Anielo, rzuć tę ciemną drogę,
Póki czas tobie: a ja przestrzedz mogę.
Lecz powiedz szczerze: kiedy polot myśli,
Obraz nam szczęścia czasami zakréśli,
I zdobi błahe, lecz lube utwory
W kwiatów marzenia najczystsze kolory,—
Cóż ściąga światło, w całym blasku stawa,
Jeśli nie miłość i stała i prawa:
Miłość szlachetnej przewodząca parze
Z łona rodziców przed ślubów ołtarze.—
Ach, być kochanym wszyscy szczęściem głoszą,
Mém zdaniem kochać jest większą roskoszą.
Los kilku istot zrobić swoim losem,
Czuć i żyć tylko drogich dusz odgłosem,
Dla dobra innych cenić własne życie,
Dla nich poświęcić każde serca bicie,
Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
Tam mieć cel życia i życia nagrodę,
I kończąc cicho wytknięte koleje,
Za grób swój jeszcze przeciągnąć nadzieje,—
Otóżto szczęścia rzetelne zalety:
I ty, ty wyrzec chcesz się ich, niestety!?

Aniela *(z uniesieniem).*

Nigdy, przenigdy... *(miarkując się — z czułością)* Ach, ja nie wiem jeszcze...

(znowu z zapałem)

Ale chcę pisać, niech się moje zdanie
Jednej łzy w świecie przyczyną nie stanie;

(ocierając łzę)
Niech w szczęściu drugich własne dziś umieszczę.

Gustaw.

Chcesz pisać? będziesz? O drogi aniele!
Jak wiele czynisz, jakżem wdzięczen wiele!
(całuje ją w rękę)
O, gdybyś mogła w mojém sercu czytać!

Aniela.

Ależ Gustawie!

Gustaw.

Lecz nie chciej się pytać:
Więcejbym wyrzekł, niż wyrzec potrzeba...
Pióro i papier... *(z zachwyceniem patrząc na nią i trzymając rękę)*
Dlaczegoż, o Nieba!
Takim sposobem?... Lecz ty mnie zrozumiesz:
Umiałaś pojąć i przebaczyć umiesz.
(całuje w rękę i nagle odchodzi)

Aniela *(sama po krótkiém milczeniu).*

Nienawidzieć! tak!— każda plecie, baje,
Ale nie takto łatwo, jak się zdaje.—
Z gniewu w nienawiść droga bardzo blizka,
Kiedy dotknęła jaka czynność zdradna,
Lecz kiedy czule kto nam rękę ściska,
Jak mamę kocham, nie potrafi żadna.

SCENA IV.

Aniela, Klara.

Klara.

Kto tu był?

Aniela *(unikając odpowiedzi).*

Jakto – kto?

Klara.

Kto tu był z tobą?

Aniela.

Gustaw przechodził.

Klara.

Rozwodził swe żale?

Aniela.

Trochę.

Klara.

Tak długo mówiliście z sobą.

Aniela.

O, jak cię kocham, tak nie długo wcale.

Klara.

I cóż nowego?

Aniela.

Nie dasz temu wiary:
Wszak jedném słowem, chcę się żenić z tobą.

Klara.

Ze mną? *(skacząc i klaszcząc w ręce)* Ototo! ototo mi radość!
Toż będę dręczyć i męczyć bez miary.
O panie Guciu, będziesz ty miał zadość!

Aniela *(urażona).*

Ale nie Gustaw — Radost.

Klara.

Radost stary?

Aniela *(jak wyżej).*

Radost.— Hm! Gustaw!

Klara.

Ja nie chcę.

Aniela.

Ja wierzę.

Klara.

Ja nienawidzę.

Aniela.

Wbrew twej nienawiści,
Jak Gustaw jego zamiarów nie ziści,
Przez zemstę tylko z tobą się ożeni.

Klara.

I któż mnie może przymusić w tej mierze?

Aniela.

Ojciec twój, ojciec, co tak złoto ceni;
A Radost bogacz— rzeczą dowiedzioną:
Niema co gadać— będziesz jego żoną.

Klara *(ukrywając pomieszanie coraz wzrastające).*

Otóż nie będę!— Otóż się nie boję—
Ma ojciec wolę, ja mam także moję—
Nie boję się... nie... *(w płacz)* cóż ja teraz zrobię!—
Jak raz mój ojciec co ułoży sobie,
To wszystko za nic,— to ratunku niema.

Aniela.

Jakoś to będzie.

Klara *(po długiém milczeniu).*

Idź ty za Gustawa.

Aniela.

A nasze śluby?

Klara.

Niechże je dotrzyma
Jedna przynajmniej, gdy nie możem obie.

Aniela.

Lecz Gustaw kocha.

Klara.

O nieszczęsna sprawa!
Pójdę do Cioci.

Aniela *(oglądając się niespokojnie).*

Powiedz, a w sekrecie;
Idź, nie trać czasu.

Klara.

Poradzi mi przecie;
Nie da mi umrzeć przy tym starym gracie.

Aniela *(oglądając się).*

Idź, idź, zbyt droga każda nam godzina.

Klara.

Wolę już klasztor, albo i Albina.
(odchodzi)

Aniela *(wołając cicho).*

Słuchajno Klaro! Klaro! — otóż macie!
Odeszła. — Chciałam zasięgnąć jej zdania
Względem owego dziwnego pisania;
Krzyczałam, — ale kiedy nie słyszała,
To cóż mam robić: — już będę pisała.

SCENA V.

Aniela, Gustaw.

Gustaw *(kałamarz, pióro, papier i t. d. w ręku).*

Otóż jest wszystko, bierzmy się do dzieła.

Aniela.

Przestrzegłam Klarę.

Gustaw *(na stronie).*

Przednio! *(głośno)* A jak powie?

Aniela.

Komu, i naco?

Gustaw.

Mojemu stryjowi.

Aniela.

Ja ręczę za nią.

Gustaw.

Jakże to przyjęła?

Aniela.

Rzewnie płakała.

Gustaw.

Ja tym łzom nie wierzę.
I któż jej winien? Albin kochał szczerze.

Aniela.

I dotąd kocha.

Gustaw.

O, nie kocha wcale.

Aniela.

Ja to wiem lepiej.

Gustaw.

Kocha, lecz nie Klarę.

Aniela.

Kogoż?

Gustaw.

Hm! kogo?
(po krótkiém milczeniu)
Zamilczę w tej mierze.

Aniela.

Bajkę ktoś zrobił, proszę mi dać wiarę.
Albin nasz sąsiad, bawi tutaj stale,
Wiemy gdzie bywa, jego związki znamy.

Gustaw *(zmuszony).*

Kiedy więc szczerze z sobą mówić mamy:
Albin się kocha — lecz się kocha w tobie.

Aniela.

We mnie?

Gustaw.

Tak, w tobie; — ledwie że nie skona,
Niema co gadać,— to rzecz dowiedziona.

Aniela.

Ależ dla Boga, tak nagle, w tej dobie....

Gustaw.

Zmienił się zwolna, bo możnaż lat tyle
Wzgardę odbierać w tak przykrym sposobie,
A miłość w jednej zachowywać sile?
Możnaż przy tobie lube spędzać chwile,
Twą dobroć, wdzięki.... a jednym wyrazem,
Możnaż cię poznać i nie kochać razem?
Powiedzże sama.

Aniela.

Zabawne pytanie!
(po krótkiém milczeniu)
Mnie zatém kocha?

Gustaw *(z pośpiechem).*

Ale ja ci radzę,
Nie wierz mu wcale — zmienne to kochanie,
Które w odporze czerpa swoję władzę.

Aniela.

Klarze przysięga.

Gustaw.

Ze snu jeszcze drzémie.

Aniela.

Wzdycha.

Gustaw.

Przez grzeczność.

Aniela.

Płacze.

Gustaw.

Nałóg.

Aniela.

Ale....

Gustaw.

Pewnie.

Aniela *(biorąc pióro).*

Piszmy więc.

Gustaw *(z uczuciem).*

Anielo kochana!

(po krótkiém milczeniu, gdy Aniela okazuje zadziwienie)

Pisz z łaski swojej.

Aniela.

Myli mnie to imie.

(napisawszy, do siebie)

Mnie? kocha?

Gustaw *(z zazdrością).*

Czyliż Albinowskie żale,
Dary wzgardzone, niegodna odmiana,
Zająć potrafią, pochlebiać ci mogą?

Aniela.

Czym zasłużyła na takie pytanie?

Gustaw.

Przebacz, zbłądziłem uniesiony trwogą,
Bo ja wiem, jakiej duszy twojej trzeba;
Ukocha więcej, niż wyrazić zdoła,
Choć każdy wyraz miłością się stanie.

Aniela.

Piszmy więc.

Gustaw.

Piszmy — „Dobroci Anioła
W naszém nieszczęściu zsyłają nam nieba:
Wziął pióro w rękę nieść ulgę tęsknocie“....

Aniela.

Alež mnie tego pisać nie wypada.

Gustaw.

Wszakto ja piszę — a potém, w istocie,
Jakież ci imie moje serce nada,
Za twoję dobroć, za dobrodziejstw krocie?

Aniela.

Piszmy więc.

Gustaw.

Piszmy — „Nie bądź już w obawie;
Osoba, z którą stryj chciał mnie ożenić,
Nienawidzi mnie“....

Aniela.

Nie, panie Gustawie.

Gustaw.

Jakże napisać?

Aniela.

Potrzeba odmienić.

Gustaw.

Popraw, jeśli chcesz.

Aniela.

O, chętnie poprawię.

Gustaw *(czyta przez ramię).*

„Sprzyja.“ *(biorąc za rękę)* Czy pewnie?

Aniela *(wyciągając rękę zwolna).*

Trzebaż słów koniecznie?

Gustaw.

Znasz mnie więc teraz.

Aniela.

I jak!

Gustaw.

To poznanie
Czy kiedyś, z czasem, przyjaźnią zostanie?

Aniela.

Jest i zostanie.

Gustaw *(ze wzrastającym zapałem).*

Zawsze? wiecznie?

Aniela.

Wiecznie.

Gustaw.

Dosyć już tego, precz wszelkie ukrycie!
Kocham Anielo, kocham cię nad życie.

Aniela *(odsuwając się zdziwiona).*

Jakto?

Gustaw *(pomiarkowawszy się, spokojnie).*

Pisz z łaski swojej.

Aniela *(nachylona nad papier)*
(po krótkiém milczeniu przypominając sobie).

Jak tam było?
Kocham.....

Gustaw.

Ach powtórz!

Aniela.

Kocham cię nad życie;
Wszak tak? a dalej?

Gustaw.

Dalej? — Wierzyć miło.

Aniela.

Piszmy więc.

Gustaw.

Piszmy — lecz błądzisz w wymowie.
Niech głos czuć daje myśl zamkniętą w słowie,
A wyraz: kocham, obowiązki człeka
Ku sobie, ludziom i stwórcy wyrzeka;
Możnaż oziębłe wymówić go kiedy?
Ty kochasz matkę, brata, przyjaciela,
Ja ciebie, ty mnie; dla próby więc tedy
Całą mu wartość niech twój głos udziela,
I ku mnie zwróci.

Aniela *(patrząc na niego).*

Kocham.

Gustaw.

Czucia mało:
(ucząc ją; z uczuciem)
Ja ciebie kocham.

Aniela *(czulej).*

Kocham.

Gustaw.

Zbyt nieśmiało.

Aniela.

Ach kocham, kocham.

Gustaw.

Coraz lepiej, brawo!
Powtarzaj często, douczysz się wprawą.

Aniela.

Piszmy więc.

Gustaw.

Piszmy.

Aniela.

Ktoś idzie.

Gustaw.

Nie.

Aniela *(wstając).*

Słyszę.

Gustaw *(całując w rękę).*

Na potém.

(odbiega)

Aniela *(za nim).*

List! list! *(wracając)* Jak on dobrze pisze!

SCENA VI.

P. Dobrójska, Aniela.

Aniela *(kryjąc list za siebie, na stronie).*

Cudzy sekret rzecz święta!

P. Dobrójska.

Nie, nie, mówcie sobie
Co chcecie, moje panny, ja najlepiej zrobię,
Jak się spytam Radosta; to najkrótsza droga,
To nam wszystko wyjaśni.

Aniela.

A Gustaw? dla Boga!

P. Dobrójska.

Gustaw bajek narobił — że się kocha, wierzę,
Lecz żeby Radost miał być wiadomym w tej mierze,
I wiedząc, tu wprowadzał, temu nie dam wiary.
Gustaw pewnie, jak każdy, ma swoje przywary,
Ale młody, przystojny.

Aniela *(naiwnie).*

Myślałam toż samo.

P. Dobrójska.

I podobać się może.

Aniela.

Może, moja mamo.

P. Dobrójska.

I wiem, że jego serce lepsze niźli głowa.

Aniela.

Ach, lepsze, moja Mamo.

P. Dobrójska.

I przykrość gotowa,
Gdyby ci się był Gustaw podobał choć trochę?

(Aniela wzdycha)

Nie i nie; na Radosta sprawki to za płoche.

Aniela.

Ale ja u nóg jego widziałam Gustawa.

P. Dobrójska.

I to prawda.

Aniela.

Ich słowa.

P. Dobrójska.

Ich sprzeczka.

Aniela.

Dość żwawa.

P. Dobrójska.

Ktoby się był spodziewał po takim człowieku!
No proszę! — mścić się jemu! — żenić się w tym wieku!

Aniela.

Moja Mamo kochana! nie dawaj mu Klary.

P. Dobrójska.

Wprzód wiedzieć muszę jakie są ojca zamiary,

I ojcu, a nie córce radzić mi wypada.
Niech ją teraz przynajmniej wesprze twoja rada.

(Podczas pierwszych słów Klary z panią Dobrójską, Aniela zbiera skrycie kałamarz i pióro i cicho wychodzi.)

SCENA VII.

P. Dobrójska, Klara.

Klara.

Ach, cóż ja teraz pocznę w tej ciężkiej niedoli?

P. Dobrójska.

Może ojciec nie zechce iść wbrew twojej woli.

Klara.

A jak zechce, jak zechce?

P. Dobrójska.

Słuchać trzeba będzie.

Klara.

To pociecha! to ojciec!

P. Dobrójska.

Nie gań go w tym względzie;
Chce twego szczęścia.

Klara.

Piękne szczęście, proszę Cioci,
Stary mąż.

P. Dobrójska.

Ale dobry.

Klara.

Co mi z tej dobroci!

P. Dobrójska.

Zapomniałaś, żeś jeszcze pod ojcowską władzą,
Że nie wszyscy jak Albin uwodzić się dadzą;

A znając twego ojca, łatwo zgadnąć było,
Że ta wzgarda Albina nie będzie mu miłą;
I chociaż od zamęścia uwolni tym razem,
Wkrótce może przykrzejszym zmusi cię rozkazem.

Klara.

Ten Radost tak się zdawał niepragnący żony!
Młody Albin przynajmniej miłością wiedziony;
I mam iść za mąż gwałtem, to wolę Albina.

(Radosta słychać chrząkanie za drzwiami)

P. Dobrójska.

Otóż i Radost właśnie.

Klara.

Już wzdychać zaczyna.

P. Dobrójska *(na stronie).*

Nie mogę z nim rozmawiać po takiej usłudze.

(do Radosta)

Zaraz mu służyć będę.

(odchodzi)

Radost *(do Klary się zbliżając).*

Ja się tu nie znudzę.

SCENA VIII.

Klara, Radost.

Radost *(po krótkiém milczeniu).*

Cóż tam tak myślisz? o mężczyzn zagubie?

Klara.

Myślałam właśnie, co wyjawić lubię:
Że, gdybym kiedy była przymuszoną,

Mimo mej woli zostać czyją żoną,
Świat biedniejszego nie miałby człowieka!

Radost.

Ej, do kaduka! I cóżto go czeka?

Klara.

Same zabawy, gry uczty i bale.

Radost.

No, to nic złego, będziesz się bawiła;
Owszem, wesołość ja sam zawsze chwalę.

Klara.

To nie chcę zabaw.

Radost.

I spokojność miła.

Klara.

Strwonię majątek.

Radost.

Jak mąż nim obdarzy.

Klara.

Wydrę, a stracę.

Radost.

Zwycięży mocniejszy.

Klara.

Stroić się będę.

Radost.

Strój zawsze do twarzy.

Klara.

To nie chcę strojów.

Radost.

To wydatek mniejszy.

Klara *(z zapałem szybko).*

Ależ ja zawsze na przekor mu zrobię;
On tak, a ja siak — on sobie, ja sobie —

Mąż śpi, ja gadam — mąż gada, ja ziewam —
Wzdycham gdy wesół, kiedy smutny śpiewam,
Trącam, gdy pisze, a krzyczę gdy czyta;
Mąż tak a ja siak — ząb za ząb — i kwita!
(przypominając sobie)
A ma podagrę, depcę mu po nodze.

Radost *(usuwając nogę).*

Ej do kaduka! nie stanę na drodze.
Lecz taką rzeczą grzesznik to nielada,
Co dla pokuty zechce cię za żonę.
Chybaby znowu, jak tamten powiada,
To szczęście dla mnie było przeznaczone.
(śmieje się)

Klara.

Otóż go macie.

Radost.

Gdyż ja się nie boję;
Słowom nie wierzę, a znam serce twoje.
(chce wziąść ją za rękę, którą Klara wyrywa)

Klara.

Ja nie chcę, nie chcę. *(w płacz)* Cóż będę robiła!

Radost.

Nie bądźże dzieckiem.

Klara.

Obym jeszcze była!

Radost.

Patrz na mnie....

Klara *(odwracając się).*

Znam, znam....

Radost *(obracając się wkoło).*

Na pana młodego
Czy się przydaję? co? *(podskakując)* hulać po ślubie!
(śmieje się)

(serio)
Wszakci to żarty.

Klara.
Ja żartów nie lubię.

Radost.
No, nie płacz, nie płacz, nic nie będzie z tego,
Nic, a na dowód przyszlę ci Albina.
(odchodząc, ze śmiechem)
To śmieszna sprawa i dziwna dziewczyna!

Klara *(sama).*
Tak, żarty, żarty, niema ich w tym względzie;
Jak się ożeni, to żartów nie będzie.

SCENA IX.

Klara, Aniela.

Aniela *(zamyślona).*
Klaro!

Klara *(po krótkiem milczeniu).*
Anielo!

Aniela.
Wiesz ty?

Klara.
Co?

Aniela.
Ja mniemam,
Że ta Aniela jest bardzo szczęśliwa.

Klara.
Daj mi tam pokój! teraz czasu nie mam;
Niech sobie szczęścia ile chce, używa.

Aniela.

Tak być kochaną!

Klara *(ironicznie).*

Jak Gustaw powiada.

Aniela.

Cóżby mu z kłamstwa?

Klara.

Co? pochlebia dumie.

Aniela.

Ach, kto być wdzięcznym, ten i kochać umie!

Klara.

Ty go nie słuchaj, taka moja rada.

Aniela.

Nie wiesz jak miło, gdy czucia pieszczące
Z godnym zapałem męzka pierś wygłosi:
To w uszach łechce, to coś w oczach parzy,
To biegnie, biegnie, jakby dreszcz po twarzy,
To z twarzy w serce, to jak krople wrzące,
Z serca się w górę, w górę, w górę wznosi,
(pokazując na piersi)
I tak tu ściśnie, tak w gardle zadusi,
Że koniec końców westchnąć cię przymusi.

Klara.

Jakie ty dziecko! Tobie to nowina,
Lecz nie mnie, duszko — wszakci mam Albina.

Aniela.

Oho! już po nim.

Klara.

Co?

Aniela.

Ciesz się.

Klara.

Czém?

Aniela.

Zmianą.

Klara.

Jego?

Aniela.

Nie kocha.

Klara.

Mnie?

Aniela.

Ciebie.

Klara.

Zkąd to wiesz?

Aniela.

Wiem od Gustawa.

Klara.

Wszak jeszcze dziś rano
Wzdychał.

Aniela.

Przez grzeczność.

Klara.

Błagał.

Aniela.

Nałóg.

Klara.

Pewnie?

Aniela.

Nawet ci powiem...

Klara *(zniecierpliwiona).*

Cóż mi jeszcze powiesz?

Aniela.

Że mnie nieszczęsnej ten ciężar przypada.

Klara.

Tobie?

Aniela.

Mnie.

Klara.

Ciebie kocha?

Aniela.

Tak powiada.

Klara.

Wierz tu mężczyznie! — Jak bóbr płakał rzewnie,
Błagał, przysięgał, od miłości ginął,
A koniec końców, chorągiewkę zwinął.
Widzisz, jak dobrze, że my nie kochamy —
Prawda, Anielo?

Aniela.

Chodźmy już do Mamy.

Klara.

Prawda, Anielo?

Aniela *(odchodząc).*

Dali do obiadu.

Klara *(sama).*

Nie kocha. *(śmieje się z przymusu, potém w gniewie)* To wąż, i wąż pełen jadu.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

SCENA I.

Radost, Gustaw.

Radost.

Guciu! na miłość Boga! jedynego Boga!
Przyznaj się, tyś coś zbroił?

Gustaw.

Zkądże taka trwoga?
Ja się teraz już kocham, szaleństwa nie zrobię,
Ja widząc mój rozsądek, dziwię się sam sobie.

Radost.

Obym ja się mógł dziwić choć na pół godziny!
Cóż więc znaczą te wszystkich powarzone miny,
Zacząwszy od Dobrójskiej? — na ciebie ladaco
Że się krzywi, to dobrze; ale na mnie za co?
Siedzieliśmy u stołu jakby w trzynaścioro,
I wszystkim czas dość krótki szedł diable niesporo.
Aniela jakaś drżąca, to blednie to płonie;
Matka oka nie spuszcza, wzrok jej w córce tonie;
Klara śmieje się, trzepie, lecz w ciągłym przymusie;
Albin wszystkie już kwiatki przeliczył w obrusie;

Ty także nie swój, piłeś tylko po swojemu;
Ja zaś nic nie pojmując, dziwiąc się wszystkiemu,
Jeden ponoś rozsądny przy całym obiedzie,
Siedziałem między wami jakby Piłat w Credzie.

Gustaw *(ciszej).*

Miłość, stryjaszku, miłość, to cała zagadka.

Radost.

Aniela, Klara, dobrze; ale matka, matka!

Gustaw.

Matka kochać nie może?

Radost *(kiwając ręką).*

Szalał i szaleje!

Gustaw *(odprowadzając na stronę).*

Jakto mówią, stryjaszku? cośto nie rdzewieje....

Radost.

Ej Guciu, tyś coś zbroił — ja czuję przez skórę.

Gustaw.

Jabym zbroił!

Radost.

Najłacniej rozpędzę tę chmurę,
Gdy pójdę do Dobrójskiej i pogadam o tém.

Gustaw.

Ona nie wie.

Radost.

Co nie wie?

Gustaw.

Nic nie wie.

Radost.

Trzpiot trzpiotem!
Proś, głaszcz, błagaj, zaklinaj; on jak wilk do lasu.
(odchodząc)
I co mam z nim rozmawiać! szkoda tylko czasu.
(odchodzi w prawe drzwi boczne)

Gustaw *(sam).*

Dobry stryjaszku, radość ciebie czeka,
Lecz mego planu jeszcze ci nie zwierzę,
Bo kto się kocha, rozsądnego człeka
Za powiernika niech nigdy nie bierze.
Radzi się — przyzna, że najświętsza rada,
Ale tak zrobi, jak jemu wypada.

SCENA II.

Gustaw, Albin.

Gustaw.

Co? dobrym radca i przyjaciel szczery?

Albin.

Dzięki, Gustawie, za twoje rozkazy,
Spojrzała na mnie już dwanaście razy.

Gustaw.

A westchnęła sześć.

Albin.

O, nie, tylko cztery.

Gustaw.

I to dość na tę, co nigdy nie wzdycha.

Albin *(z westchnieniem).*

Prawda, nie wzdycha—ale któż bez skazy!

Gustaw.

A ty westchnąłeś?

Albin.

Raz tylko zdaleka,
I to przypadkiem, ale bardzo zcicha.

Gustaw.

Jak cię przynagli, wyjdź za drzwi u licha!

Albin.

Coto za szczęście! za Niebios opieka!
Tak rozsądnego że mam przyjaciela,
Że mi tak dobrych, świętych rad udziela.
(ściska go)

Gustaw.

Tylko ich słuchaj.

Albin.

Co każesz, to zrobię.

Gustaw.

I słowa do niej — to pamiętaj sobie,
Choćby płakała.

Albin *(boleśnie).*

Ach! choćby płakała!

Gustaw.

Ach? — no, kiedy: ach! za nic czynność cała.

Albin *(heroicznie).*

Choć wielem cierpiał, choć z potem na czole,
Wszakże widziałeś, jakim był przy stole:
Spojrzała na mnie?—mój wzrok na suficie;
Zwróciła oko?—ja zérk na nią skrycie;

Gustaw.

W tém cała sztuka.

Albin.

Prosiła mnie wody —
Ja nic. Prosiła soli — ja nic. — Chleba—
Ja nic.—

Gustaw.

W tém sztuka. — Nalała ci wina—

Albin.

(z pośpiechem)
A ja... *(ciszej)* wypiłem.

Gustaw.

Bo pić zawsze trzeba.
Lecz ja ci ręczę, zmiękczać się zaczyna.
Wszakże tysiączne daje ci dowody:
Patrzy za tobą, sama ciebie szuka,
Tylko wytrzymaj — na tém cała sztuka.
Choćby tu przyszła, chciała szczerej zgody,
Choćby najczulsza była jej rozmowa,
Ty: tak, albo: nie,— więcej ani słowa.

Albin.

Choćbym miał zginąć, wszystko jak chcesz, zrobię,
Boś już przekonał o dobrym sposobie.
Ach, twoje rady szczerem dla mnie złotem.
(ściska go)

Gustaw *(udając płaczliwy ton stryja).*

Tylko zmiłuj się, przestań też być trzpiotem,
Bądź raz rozsądny — patrz, bierz przykład ze mnie.

Albin.

Ach, tobie zrównać chciałbym nadaremnie!
(Klara wbiega, a zobaczywszy Gustawa nagle się wstrzymuje)

SCENA III.

Klara, Gustaw, Albin.

Klara.

Niema Anieli?

Gustaw *(oglądając się).*

W samej rzeczy, niema.

(do Albina na stronie)

A co— jest;— myślisz że Anieli szuka?
Ale się trzymaj.

Albin *(na stronie do Gustawa).*

Ba! w tém cała sztuka.

Gustaw *(na stronie do Albina, rozkazując).*

Siądź sobie w kącie, nie strzelaj oczyma;
Ja wprzód nastroję, rzecz całą ułożę.

(Albin siada w głębi, tak że nie słyszy dalszej rozmowy)
(do Klary)

Czy mam winszować?

Klara *(ironicznie).*

Właśnie w dobrej porze;
I czego?— proszę.

Gustaw.

Nowego kochanka.

Klara.

Nie wiem o żadnym.

Gustaw.

Żartuje stryjanka.

Klara.

Panie Gustawie!

Gustaw.

Cóż to gniewać może?

Klara.

Żart zbyt bolesny.

(zaczyna płakać)

Gustaw.

Jakto? łzy? A zatém
Moją stryjanką szczerze nie chcesz zostać?

Klara.

Wolę sto razy rozstać się z tym światem.

Gustaw.

Hm! hm! kiedy tak, inna rzeczy postać.

Klara.

Inna?

Gustaw.

Los w jednym grozi nam sposobie;
Trzeba więc stłumić wszelkie dawne waśnie,
Radzić wzajemnie i pomagać sobie.

Klara.

Lecz jak?

Gustaw.

Jak? *(po długim namyśle)* Otóż tego nie wiem właśnie.

Klara.

Gdyby pan Gustaw chciał słuchać mej rady,
I niby stryja chciał ziścić układy;
Zwłoki nam trzeba.

Gustaw.

Ach, wszakże tak chciałem,
Ale Aniela z niewczesnym zapałem,
Widzę, przed matką była u spowiedzi;
Matka się krzywi; stryj się dziwi, śledzi,
Dochodzi, pyta i oto w tej chwili
Może już sobie wszystko wyjawili.

Klara.

Toż teraz będzie! Ach panie Gustawie,
Czyby to jakoś nie można odmienić?
Nie bierz mi za złe natrętność w tej sprawie,
Ale czas nagli — Radost chce się żenić;
Powiedz mi:— tamtę czy kochasz tak bardzo?

Gustaw.

Kocham, nie kocham, ale tu mną gardzą.

Klara.

Ach, nie wierz temu.

Gustaw.

Choćbym słuchał stryja,
Aniela nie chce.

Klara.

Aniela ci sprzyja.

Gustaw.

Sprzyja!— i komuż nie sprzyja jej dusza?
Ależ to tylko do wdzięczności zmusza.

Klara *(zniecierpliwiona).*

Domyśl się reszty.

Gustaw.

Chyba się domyślę;
Bo nadto świeżo mam jeszcze w pamięci,
Jak panna Klara wypełniła ściśle
Te, które teraz chce obudzić chęci.

Klara.

Okoliczności niechaj mnie tłómaczą.

Gustaw.

Okoliczności naglą pannę Klarę,
Lecz dla Anieli czyż to samo znaczą?
Z jakichże względów mam dać teraz wiarę
Temu, co może pociąga mnie skrycie.

Klara *(coraz porywczej).*

Zatém Aniela?....

Gustaw *(sens kończąc).*

Godna przywiązania.

Klara.

I chciałbyś szczerze?...

Gustaw *(jak wyżej).*

Poświęcić jej życie.

Klara.

Czegoż się wahasz, cóż ci jeszcze wzbrania?

Gustaw.

Niepewność....

Klara.

Znikła.

Gustaw.

A wzajemność....

Klara.

Czeka.

Gustaw.

I to Aniela...

Klara *(kończąc sens, porywczo).*

Mym głosem wyrzeka!

Gustaw *(na stronie).*

Ha! tegom czekał— mam więc pewność przecie;
Jestem u celu, wy róbcie co chcecie!

(chce odejść i wraca)

Nie bierz mi za złe, że spytam zbyt śmiele,
Ale czas nagli, ale Radost czynny,

(z przyciskiem)

A jeszcze mógłby ubiedz go kto inny;
Powiedz mi zatém, słów nie tracąc wiele:

(ciszej, pokazując przez ramie na Albina)

I w tamtę stronę lękasz się zamęścia?
Milczysz— mam zgadnąć?— życzę zatém szczęścia.
Ale Albin —... wiesz?

Klara *(z coraz większą niecierpliwością).*
Wiem, wiem.

Gustaw.
Lecz jest droga...

Klara.
Rozumiem.

Gustaw.
Daj mu pewność...

Klara.
Ach dla Boga,
Wiem już, wiem.

Gustaw.
Odejść? *(po krótkiém milczeniu)* Z nim?

Klara *(wstrzymując się).*
Któż to powiada?

Gustaw.
Więc zostać?

Klara.
Męki!

Gustaw.
A więc moja rada
Będzie przyjętą?

Klara.
Będzie, będzie.

Gustaw.
Szczerze?

Klara.
Ach, szczerze, szczerze.

Gustaw *(zmieniając ton).*
A ja bardzo wierzę —
Brać przedsiewzięcie, co wieczném nazwano,
A zmieniać w dobie — nienawidzieć rano,
A kochać w wieczór — szkodzić niewinnemu,

A za godzinę chcieć pomagać temu;
Że to jest płochość, kto nie chce, to przyzna —
I któż jej zdolny? — pewnie nie mężczyzna. —
Co wyraziwszy szeroko i długo,
Mam zaszczyt zostać uniżonym sługą.

(kłania się bardzo nizko i wychodzi do swego pokoju)

SCENA IV.

Klara, Albin.

Klara *(po krótkiém milczeniu).*

Jakto? — coto jest? — wszystko na raz ginie!
To żarty — zemsta!

Albin *(na stronie).*

Trzymaj się, Albinie!

Klara.

Jam mu wierzyła! zdradziłam Anielę!

Albin *(na stronie).*

Aj, płacze.

Klara.

Winnam, winnam z każdej strony.

Albin *(na stronie).*

W tém sztuka.

Klara.

Ależ.... O jak cierpię wiele!

Albin *(na stronie).*

Aj, strach!

Klara.

Albinie! już jesteś zemszczony.

Albin *(zrywa się i siada znowu).*

(na stronie)

W tém sztuka!

Klara.

Jakto! więc prawa już nie mam

I do litości?

Albin *(zrywając się).*

A, już nie wytrzymam!

(do Klary)

Wzywasz litości prośbą nadaremną?

Klara.

Możnaż się pytać, wiedząc, co się dzieje.

Albin.

Cóż?

Klara.

Radost, Radost chce się żenić ze mną.

Albin.

A ty?

Klara.

Wprzód umrę.

Albin.

I on ma nadzieję

Ciebie przymusić?

Klara.

Za ojca rozkazem.

Albin.

Co? Radost? z tobą? Tego nie dożyje!

Idę, uwolnię i pomszczę cię razem.

(odchodzi prędko we drzwi środkowe)

Klara *(biegnąc za nim).*

Ach, Albinie! stój— *(we drzwiach)* stój!— On go zabije!

SCENA V.

P. Dobrójska, Radost, Aniela.

(Radost prędko wchodzi, za nim P. Dobrójska, za nią Aniela)

Radost.

Gdzież jest? gdzież on jest?

P. Dobrójska.

Bez gniewu, bez złości.

Aniela *(na stronie).*

Trzymaj go, mamo!

Radost.

Miałbym wiedzieć o tém?

P. Dobrójska.

Ja nie wierzyłam.

Radost.

Ściągać takich gości?

P. Dobrójska.

Nic się nie stało.

Radost.

Przestał już być trzpiotem,
A został kłamcą.

P. Dobrójska.

Przebacz....

Radost.

O to, właśnie!

Aniela *(na stronie).*

Trzymaj go, mamo!

Radost *(chcąc iść ku drzwiom Gustawa).*

Zaraz rzecz wyjaśnię.

P. Dobrójska.

Czekaj.

Radost.

Puść pani!

Aniela *(na stronie).*

Nie puszczaj.

Radost *(ku drzwiom).*

Gustawie!

(wyciągając rękę — do p. Dobrójskiej)

Za pozwoleniem!

(idzie do drzwi)

Aniela.

Dla Boga!

Radost.

No proszę!

Jeszcze gdzieś poszedł.

(patrzy przez dziurkę)

P. Dobrójska.

Słuchaj mnie łaskawie,

Trzeba się trochę porozumieć wprzódy.

Radost.

Co porozumieć?— tu jasne dowody.

P. Dobrójska.

Zbyt się unosisz.

Radost.

Ja się nie unoszę.

Aniela *(na stronie).*

Nie wierz mu, mamo.

P. Dobrójska.

Któż jest ta Aniela?

Radost.

Ach, żadnej w świecie nie znam i nie znałem,
Oprócz tej jednej.

P. Dobrójska.

Któż ojciec Anieli?

Radost.

Mogęż ja wiedzieć, czy w życiu mém całém
Widziałem kogo, co tak córkę zowie?

P. Dobrójska.

Z którym cię sprawa odwieczna rozdziela.

Radost.

Ja nie mam sprawy, z nikim mnie nie dzieli.

Aniela *(na stronie do matki).*

Nie chce się przyznać.

Radost.

Coto w tamtej głowie!

P. Dobrójska.

Swój pojedynek wspomnisz sobie przecie?

Radost.

Mój poje... *(biorąc się za głowę)* gwałtu! co ten hultaj plecie!

P. Dobrójska.

Tylko spokojnie.

Radost.

Moja mościa pani!
Z oczu widziałem, przeczułem przez skórę,
Że coś napłatał, nabroił bez miary.
(żałośnie)
I co najbardziej serce moje rani,
Iż nikt zapewnie nie da temu wiary,
Że mu dziś burę sypałem na burę.
(płaczliwie)
I cóż mam robić?... ale wiem co zrobię:
Jeszcze ostatnią chcę mu dać przestrogę.
(wychodzi prędko)

Aniela.

Ach biegaj, mamo, trzymaj go przy sobie.

P. Dobrójska.

Biegnę.

Aniela.

Ach prędzej.

P. Dobrójska *(biegnąc).*

Już prędzej nie mogę.

SCENA VI.

Aniela, Gustaw *(w głębi).*

Aniela *(nie widząc Gustawa).*

Radost porywczy, ale dobry w duszy,
Prośbami, łzami na końcu się wzruszy—
Przebaczy— Gustaw odjedzie— a dalej?—
Ja płakać będę, on się nie użali,
Zapomni.

Gustaw.

Nigdy.

Aniela.

Ach!

Gustaw.

Nie, nie zapomnę;
Naszego związku ogniwa niezłomne.

Aniela.

Uchodź.

Gustaw.

Uchodzić?

Aniela.

Stryj grozi, złorzeczy.

Gustaw.

Da się przeprosić.

Aniela.

Lecz wszystkiemu przeczy.

Gustaw.

Bo trzpiot.

Aniela.

Trzpiot?

Gustaw *(kiwając głową).*

Oho!

Aniela *(z westchnieniem).*

Jam mu już wierzyła!

Gustaw.

Ze strachem pewnie.

Aniela *(naiwnie).*

Owszem.

Gustaw.

Pomyśl o tém,
Jakim dla ciebie byłoby kłopotem,
Gdyby wróciła dawna postać rzeczy.
(po krótkiém milczeniu)
A z nią i miłość, tobie tak nie miła.
(po krótkiém milczeniu)
Matka by może także za mną była.

Aniela.

Ach, tak mnie kocha!

Gustaw.

Cóż wtedy się stanie?

Aniela *(prosząc się).*

Cóż ja mam mówić? — na cóż to pytanie?

Gustaw *(biorąc ją za rękę).*

Nie wierz, Anielo, tej pieszczocie wzroku,
Gdy zwolna sunąć spocznie w twojém oku,
Tej drżącej dłoni, kiedy ciebie blizka,
Nie wierz głosowi, co się w duszę wciska,
Lecz własne serce niechaj cię oświeci;
Ach, tylko miłość równą miłość nieci!
Serce— milczy?

Aniela *(spojrzawszy mu w oczy).*

Nie.

Gustaw *(pociągając w objęcie).*

Anielo!

Aniela *(w jego objęciu).*

Gustawie!

(wyrywając się z objęcia)

A tamta?

Gustaw.

Tyś jest, tyś nią była zawsze.

Aniela.

Jakto, Aniela?

Gustaw.

Żadnej nie znam innej.

Aniela.

Ale nie zwodzisz?

Gustaw.

O, nie bądź w obawie:
Użyłem zdrady, lecz zdrady niewinnej.
Byłżebym wzniecił uczucia łaskawsze,
Gdy się przybliżyć starałem daremnie,
Gdy uprzedzona stroniłaś ode mnie?

Aniela.

Więc nie kochałeś? — To nie jest odmianą?
I jedna jestem....

Gustaw *(sens kończąc).*

Jedynie kochaną.

Aniela.

Zatém i Klarze....

Gustaw *(sens kończąc).*

Odpuszczona wina,
Albin ją kocha, a ona Albina.

SCENA VII.

Ciż sami, Radost, p. Dobrójska.

(Radost śpiesznie wchodzi, za nim Dobrójska—Radost staje tuż przed Gustawem, zadychany równie jak Dobrójska, mówić nie może.— Po krótkiej chwili milczenia, Gustaw parska śmiechem)

Radost *(obracając się do stojącej za nim Dobrójskiej).*

Śmieje się— widzi pani?

P. Dobrójska *(ocierając czoło).*

Widzę.

Radost *(biorąc się pod boki, do Gustawa).*

Mości panie!

Gustaw.

Oho!

Radost *(zbity z mowy).*

I: Oho! — słyszy pani?— Oho, jeszcze.
Powiedz, więc słuszne były moje troski wieszcze?
Nabroiłeś, naplotłeś!... Lecz zrób tu wyznanie:
W jakiej, gdzie, kiedy, w której kochasz się Anieli?

Gustaw *(biorąc za rękę Anielę).*
W której?— w tej.

Radost.
A! *(obracając się do Dobrójskiej)* A!...

Gustaw *(do Anieli).*
Wszak tak?

Aniela.
O, tak.

Radost.
Otóż macie!
I któż go tu zrozumie? wszakżeście słyszeli?...
A! a ów pojedynek? mówno, panie bracie.

Gustaw *(odprowadzając na stronę).*
Wszak wiesz stryjaszku?...

Radost *(głośniej).*
Co? jak?

Gustaw *(jeszcze głośniej).*
Na reducie.

Radost.
Pst, pst!

Gustaw.
Poszło wam...

Radost *(chce mu usta zamknąć).*
Milczże bałamucie....

Gustaw *(usuwając głowę).*
Podobno...

Radost *(jak wyżej).*
Cicho!

Gustaw *(jak wyżej).*
O to...

Radost *(jak wyżej).*
Ale cicho!
Miejże też rozum!

SCENA VIII.

Ciż sami, Albin, *(wbiega za nim)* **Klara.**

(Albin zachodząc z przeciwnej strony, kiedy jeszcze Radost stara się zamknąć usta Gustawowi, krzyczy mu w ucho)

Albin.

Nim zaślubisz Klarę,
Mnie zabić musisz.

Radost *(przestraszony cofając się).*

A to co za licho!

Klara *(odciągając).*

Albinie!

Radost *(przecierając ucho).*

Ja chcę Klarę?

P. Dobrójska.

Co się dzieje!

Radost.

Wszak tu zaraza! ten znowu szaleje!
(do Albina)
Któż mówił?

Albin.

Ty sam.

Radost.

Żartom dałeś wiarę?

Klara.

Ojca prosiłeś.

Radost.

Ja? kiedy? kto mówi?

Klara.

Gustaw.

Radost.

Gustawie, zkąd ta nowa łaska?

Gustaw.

Chciałem ją straszyć.

Radost.

A cóż to u diaska!
Czy ja straszydło na młode dziewczęta?
(do Albina)
Ale zkąd twoja zemsta tak zawzięta?
Kochasz Anielę.

Albin.

Ja? kto mi to powie?

Radost.

Gustaw.

Klara.

Tak, Gustaw.

Gustaw.

Gustaw, Gustaw trzpiotem,
Naplótł, nabroił— ale czy szczęśliwie,
(biorąc za rękę Anielę i klękając przed Dobrójską)
Tu się, Anielo, przekonamy o tém.

P. Dobrójska *(podnosząc ich, do Gustawa).*

Ja cię rozumiem.

Radost.

Ja się tylko dziwię.

P. Dobrójska *(łącząc ich).*

I szczęście córki powierzam ci śmiało.

Gustaw.

A teraz drugą zajmijmy się parą:
(rozkazując)
Albinie! zbliż się.

P. Dobrójska.

Cóż ty na to, Klaro?

Gustaw.

Chce, chce, ja ręczę.

Klara.

Ale...

Gustaw.

Już się stało.

Klara.

Ach, gdybym mogła, na złość bym nie chciała!

Albin.

Ale nie możesz?

Klara.

I kochać cię muszę.

Gustaw.

Niech was ten złączy, komu za to chwała.

(łącząc ich, poważnie)

Bądźcie szczęśliwi tak, jak się kochacie!

(do Klary ciszej)

Cóż śluby? poszły!

(podobnie do Albina, na stronie)

Każ się podkuć, bracie.

(głośno)

Wszystko więc dobrze.

Radost.

Ale na mą duszę,

Nic nie rozumiem,— powiedz Guciu drogi.

Gustaw *(ściskając go).*

Dzięki, stryjaszku, za twoje przestrogi!

NOTA AUTORA

DO

CZWARTEGO WYDANIA KOMEDYI:

ŚLUBY PANIEŃSKIE.

Komedya moja Śluby Panieńskie, czyli Magnetyzm serca była przedstawioną w teatrze Lwowskim w roku 1832, a drukiem ogłoszoną w IV tomie moich komedyi w roku 1834. — W kilka lat później została bardzo źle przetłómaczoną prozą na język francuzki. 17-go sierpnia 1840 r. przedstawiono po raz pierwszy w teatrze du Gymnase Dramatique w Paryżu sztukę: „**Bocquet père et fils, ou le chemin le plus long, comédie - vaudeville en deux actes par M. M. Laurencin, Marc-Michel et E. Labiche**". W tej sztuce główny węzeł i kilka scen ledwie nie co do słowa są wzięte z mojej komedyi Śluby Panieńskie.

Piszę tę notę dla tych, którzy mnie oskarżają o naśladowanie powyższej sztuki francuzkiej.

PAN JOWIALSKI.

KOMEDYA

WE CZTERECH AKTACH,

PROZĄ.

Głodnego żołądka bajką nie
zabawić, racyą nie odbyć.
And. Max. Fredro.

OSOBY.

PAN JOWIALSKI.
PANI JOWIALSKA, jego żona.
SZAMBELAN JOWIALSKI, ich syn.
SZAMBELANOWA, jego żona.
HELENA, córka Szambelana z pierwszego małżeństwa.
JANUSZ.
LUDMIR.
WIKTOR.
LOKAJ.
Rzecz dzieje się na wsi w domu P. JOWIALSKIEGO.

AKT I.

(OGRÓD)

SCENA I.

Ludmir, Wiktor.

(Obydwaj w dreliszkowych szpencerach, słomianych kapeluszach, tłómoczki na plecach— Ludmir wchodzi na scenę, oglądając się na wszystkie strony)

Wiktor *(za sceną).*

Dokąd! dokąd! ja dalej nie idę.

Ludmir.

Jeszcze tylko kilka kroków, panie kolego— dwadzieścia nie więcej. Tu, pod to drzewo.— Patrz co za boskie miejsce do spoczynku: chłód, trawnik, strumyk szemrzący....

Wiktor *(wchodząc kulejąc z tłómoczkiem w ręku).*

Chmury! góry! księżyc! gwiazdy! wszystko razem w twojej głowie. *(rzucając tłómoczek i kapelusz pod drzewo)* Dobrze mi tak!— Bardzo, bardzo dobrze.— Po kiego diabła mnie było wdawać się z poetą! Z tym szalonym człowiekiem! *(kładzie się na ziemi koło tłómoczka, Ludmir chodzi nucąc)* Kto dobrze wiersze pisze, myślałem że i dobrze w głowie mieć musi— ale gdzie tam!

co inszego papier, co inszego świat. *(po krótkiém milczeniu)* Śpiewaj sobie, śpiewaj!

Ludmir.

Cóż mam robić?

Wiktor.

Nie słyszałeś com mówił?

Ludmir.

Słyszałem.

Wiktor.

Ja to do ciebie mówiłem.

Ludmir.

Wiem.

Wiktor.

Przeklęta flegma!

Ludmir.

Nie flegma, ale cierpliwość— Spocony napiłeś się nieostrożnie zimnej wody i paraliż tknął twój rozum, ale ja zaczekam: mam nadzieję że wróci do zdrowia.

Wiktor *(zrywając się, siada).*

Ja rozum straciłem? ja?— A to mi się podoba.

Ludmir.

Chwała Bogu, że ci się coś przecie podoba.

Wiktor.

Ale pewnie nie to, że ubrany jak na redutę, włóczę się od wsi do wsi—,, (*) Ale na rozum nigdy zapóźno, rób więc sobie co chcesz, a ja wiem co zrobię.

Ludmir.

Naprzykład?

Wiktor.

Pójdę, najmę wózek...

(*) Miejsca zamknięte podwójnemi przecinkami, mogą być w grze wypuszczone.

Ludmir.

Z końmi, czy bez koni?

Wiktor.

Z końmi, czy osłami— najmę do pierwszej poczty, a ztamtąd pocztą wracam do domu.

Ludmir.

A potém?

Wiktor *(coraz niecierpliwiej).*

A potém wielkiemi literami napiszę...

Ludmir.

Wyrysuj lepiej, bo piszesz nie tęgo, a rysujesz ładnie.

Wiktor.

Więc wyrysuję, wyrysuję łokciowemi literami...

Ludmir.

Gotyckiemi zapewne, z różnemi....

Wiktor.

Jakiemibądź, nieznośny i przeklęty poeto— ale jak najwyraźniejszemi: że szalony i jeszcze raz szalony, kto się wdaje ze stworzeniami nazwanemi poety.

Ludmir.

A ten łokciowy.... wszak łokciowy?

Wiktor.

Sążniowy.

Ludmir.

Sążniowy, wyrysowany napis?

Wiktor.

Zostanie dla dzieci, wnuków, prawnuków.

Ludmir.

Więc chcesz się żenić?

Wiktor.

Być może.

Ludmir.

Bo przecie nie zechcesz mieć wnuków, prawnuków...

Wiktor.

Koniec końców, wracam do mojego cichego pokoiku, do moich obrazów, do moich ołówków.

Ludmir *(śpiewa).*

Niemądry, kto śród drogi
Z przestrachu traci męztwo...

Wiktor.

Powiedz mi: poco ja się włóczę za tobą?

Ludmir.

Twoja teka napełniona rysunkami za mnie odpowie".

Wiktor *(z przesadą).*

Chodź ze mną Wiktorze — udamy się w odłogiem leżącą krainę — tam pierwotną naturę śledzić będziemy. — Zamki na śnieżnych szczytach Karpatów, nieme świadki przeszłości — skały zwieszone, co chwila od wieków grożące upadkiem — potoki rwące, czarne świerki i kwieciste róże razem — do nowych dzieł natchną nas obu. Tam dalecy od świata... Ale gdzie ja mogę sobie przypomnieć te wszystkie słowa, któremi dnie całe jak Syrena...

Ludmir.

Tylko nie z Dniestru, bardzo proszę.

Wiktor.

Jak Syrena więc z Pełtewy, nęciłeś mnie do tej nieszczęsnej podróży. — I zamiast zamków, skał, potoków, jakiejś dzikiej, okropnej i zachwycającej razem natury, której nawet wyobrażenia mieć nie mogłem — włóczymy się od karczmy do karczmy. Tam podparty na ręku, słuchasz godzinami całemi rozmowy chłopów, żydów, furmanów i każesz mi rysować jakiegoś pija-

nego mularza, rachującego żyda, rozprawiającego organistę.

Ludmir.

Ach, organista, organista! ten wart miliona, ten cię unieśmiertelni— udał ci się doskonale— tylko trzeba abyś go trochę poprawił— podbródek za duży. Wyborny, wyborny organista! pokażno go.

Wiktor.

Daj mi święty pokój!— Wolisz ty pokazać salceson i wino.

Ludmir.

Aha! otóż i słowo zagadki— pan głodny— pan złego humoru. Zaraz panu służyć będę! *(dostając)* Ale to jednak zakała dla sztuk pięknych, że wy, penzlikowi i ołówkowi panowie tak jesteście chciwi tego materyalnego pokarmu.

Wiktor.

A wy, kałamarzowi i piórowi tylko powietrzem żyjecie! tylko natchnieniem Muzy! Uderz więc w złoty bardon— wznieś pieśni wieszcze— niech kamyki tańcują— drzewa płaczą— a ja tymczasem jeść będę. *(czas jakiś milczenie)* Powiedz mi, mój kochany Ludmirze...

Ludmir.

Oho! kochany Ludmirze— salceson skutkował.

Wiktor.

Żart na stronę— powiedz mi, czego ty się dobrego spodziewasz w twoich brudnych karczmach? czego ty szukasz między prostym ludem?

Ludmir.

Prostego rozumu.

Wiktor.

Piękny rozum! piją i po pijanemu bają.

Ludmir.

Jedz jeszcze, jedz, kochany Wiktorze, bo z twojej uwagi miarkuję, żeś jeszcze diable głodny.— Każdy nasz spoczynek, każdy nocleg w karczmie, niebyłże godnym opisania?

Wiktor.

Szkoda pióra.

Ludmir.

„Ach, kiedy też już zejdziemy z tych woskowanych posadzek, na których ciągle kręcimy się i kręcimy aż do nudzącego zawrotu głowy.—Znajdziesz, bądź pewny, między prostym ludem: rozsądek, dowcip, przenikliwość, przebiegłość, lecz inaczej wyrażone; może za ostro, ale zato i lepiej. Tam wszystko właściwe nosi nazwisko: kmotr zowie się kmotrem, a łotr łotrem — tam w każdym wyrazie jest myśl, dobra czy zła, ale jest. Nie tak jak w naszych salonach: kwiaty na kwiaty sypią, a dmuchnij, niema nic, zupełnie nic. Dlatego też i my autorowie wolimy trzymać się kwiecistych nicości— łatwiej stroić niż tworzyć“.— Ty wina pić nie będziesz?

Wiktor.

Dla czego nie będę pić?

Ludmir *(wypiwszy).*

Myślałem że nie będziesz, dla złego humoru; nic tak nie szkodzi, jak wino na żółć wzburzoną.

Wiktor.

Dolejże,

Ludmir.

Jak te Van-Dyki piją!— Oddajże mi szklaneczkę.

Wiktor.

Dopiéroś wypił.

Ludmir.

Otóż... coś miałem mówić... *(pije)* Razem wydamy opis naszej podróży; do każdego rozdziału ty dołączysz rycinę.

Wiktor *(zrywając się).*

Otóżto! to rzecz cała!— Chciał rycin do swoich baśni i pokazał mi gruszki na wierzbie. A ja, ja głupi dałem się uwieść jakiemiś zamkami.

Ludmir.

Po części prawda.., ale i w Karpatach będziemy.

Wiktor.

Jakbym tam już był.

Ludmir.

Przekonasz się, że jest mnóstwo najpiękniejszych widoków, godnych twojego penzla.

Wiktor.

I mnie było być tak ślepym! mnie było jemu wierzyć! mnie o głodzie i chłodzie włóczyć się dla jego rycin.

Ludmir *(z udaném zachwyceniem).*

Patrz, i tu, nie boskiże to widok? ten dom w kwiatach – ta rzeka— drzewa— dalej, wioska – w głębi, sine Karpaty.

Wiktor.

W samej rzeczy— piękny widok— i światło jak ładnie pada na te świerki.

Ludmir *(klękając).*

Mam ci służyć za stolik. Połóż tekę na mojej głowie.

Wiktor *(chwyta tłómoczek, potem rzuca).*

Nie, nie — znowu mnie chcesz zbałamucić.

Ludmir *(z udaném zachwyceniem).*

To światło! to światło! A ten cień! ach, jestem w zachwyceniu!

Wiktor.

A ja nie. I rób co chcesz, ja wracam do domu.

Ludmir *(prosząc).*

Wiktorze, zostań!

Wiktor.

Nie mogę.

Ludmir.

Wiktorku!

Wiktor.

Ledwie postąpić zdołam.

Ludmir.

Wiktoreczku! Van-Dyku! Rubensie!

Wiktor.

Daremne gadanie.

Ludmir *(wstając).*

Niechże cię kaci porwą, przeklęty bazgraczu! Ale przynajmniej przyrzekasz, że zastanę rysunki wykończone?

Wiktor.

Ja bazgracz.

Ludmir.

Nie, nie. Ty wiesz, że jesteś mój Van-Dyk, Salvator Rosa.

Wiktor.

Van-Dyk i Salvator Rosa — co ten plecie!

Ludmir.

Będą rysunki?

Wiktor.

Będą, będą.— Adieu!

Ludmir.

Bywajże zdrów, najupartszy człowieku, jakiego kiedy Bogowie na ten padół płaczu w nieprzebłaganym gniewie wyrzucili.

Wiktor *(odchodząc).*

Dobrze, dobrze.

Ludmir *(wołając za nim).*

A organiście popraw podbródek. Pamiętaj.

Wiktor *(za sceną).*

Pamiętam, pamiętam.

SCENA II.

Ludmir *(sam).*

Poszedł— szkoda— za ostro z miejsca go zażyłem; wielka dla mnie strata. *(siadając)* Tak, od dziś dnia porzucam złocone komnaty, przenoszę się pod skromne strzechy; tam jeszcze człowiek jest przejrzystym. Ukształcenie za gęstym już werniksem przeciągnęło wyższe towarzystwa. Wszystkie charaktery jednę powierzchowność wzięły; niema wydatnych zarysów. Co świat powie, to jest teraz duszą powszechną. Skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni. Teraz sknera sknerą tylko w kącie: troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota; i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tém wiedział. Zazdrośny gryzie wargi i milczy. Tchórz mundur

przywdziewa. Tyran się pieści; słowem wszystko zlewa się w kształty przyzwoitości. W każdym człowieku dwie osoby; sceny musiałyby być zawsze podwójne jak medale, mieć dwie strony. Komedya Moliera koniec wzięła... Ale jakaś para tu się zbliża — wybaczcie, podsłuchywać muszę; jeszcze mi kilka rozdziałów trzeba. Udam śpiącego.

SCENA III.

Szambelanowa, Janusz, Ludmir.

Janusz.

Helena kocha mnie, niema wątpienia. I dlaczegożby nie miała kochać?— Jestem dobrze urodzony, jestem młody, przystojny, rozumny i mam wieś, jakiej daleko poszukać.

Ludmir *(na stronie).*

Ten, widzę, chce zbijać moje rozumowanie.

Janusz.

Nie rozumiem zatém tej zwłoki, której żąda i to już po raz trzeci.

Szambelanowa *(mówi powoli, ale decydująco zawsze).*

Ja bardzo dobrze rozumiem; ale te wszystkie wykręty na nic się nie przydadzą. Pójdzie za waćpana, ja za to ręczę. I już dawno byłaby panią Januszową, gdyby nie przeciwności, które ja tylko jedna zwalczyć jestem zdolną i które zwalczę. *(zażywa tabaczkę czasami)*

Janusz.

W ręku pani Szambelanowej szczęście moje.

Szambelanowa.

W całej rodzinie Jowialskich za grosz rozsądku, to jest rzeczą dowiedzioną i lubo mi nie chcą wierzyć, ja im zawsze powtarzam. Bo ja każdemu prawdę lubię powiedzieć powoli, grzecznie i wyraźnie.— Stary Jowialski nie pyta się co się dzieje, jak się dzieje w domu, byle tylko miał kogo, coby słuchał jego przysłowiów, bajek i dytkteryjek. W jego ręku jednak majątek.— C'est la chose.—

Janusz.

Bardzo mnie lubi.

Szambelanowa.

Co on lubi! jesteś wesoły, siadaj; jesteś smutny, idź za drzwi.— Stara zaś Jowialska, jestto tylko cień swojego najukochańszego małżonka; na nic nie ma już czucia i myśli, tylko na dowcipne słowa swojego bożyszcza, z których śmieje się od lat pięćdziesięciu po dziesięć godzin na dzień.— C'est une misère!

Ludmir *(na stronie).*

Ho ho! tu są charaktery.

Szambelanowa.

Mój mąż dobre stworzenie, ciele, głupkowaty— bez żadnego zdania i dla tego poszłam za niego po nieszczęśliwym przypadku mojego pierwszego męża ś. p. Jenerał-Majora Tuza. Nie wiem czy słyszałeś o przypadku, jakim utonął? Vous savez?

Janusz.

Słyszałem, słyszałem, mościa dobrodziejko.

Szambelanowa.

Mój mąż więc teraźniejszy, którego paniczem w domu zowią, lubo ma lat pięćdziesiąt, nie ma żadnego zdania. U niego wszystko: dobrze, bardzo dobrze— byle nie trudnił się niczém jak tylko swojemi ptaszkami, byle jadł dobrze, spał jeszcze lepiej. To jest człowiek nie do obudzenia, jak worek grysu. Hélas!

Janusz.

Powiedział mi wczoraj, że bardzo będzie szczęśliwy mieć za zięcia tak rozumnego człowieka.

Szambelanowa.

Trzy razy w godzinie powie czarno, biało i znowu czarno, a nawet nie wie, że zmienił zdanie. Mon Dieu!

Janusz.

Zatém robi co waćpani dobrodziejka rozkaże.

Szambelanowa.

Robi co każę, niema wątpienia, bo robić musi; ale za chwilę zrobi także co mu jego strzelec każe.— Szczerze waćpanu powiadam, że na wotywę dam, jak się z tego domu wydobędę. Co jednak prędzej nastąpić nie może, aż Helena za mąż pójdzie — gdyż stary Jowialski, który bez licznego towarzystwa obejść się nie może, przy naszym ślubie wieś nam wypuszczając położył warunek, iż póty przy nim mieszkać będziemy, póki Helena za mąż nie pójdzie.— Vous figurez-vous.

Janusz.

A natenczas.

Szambelanowa.

Ona z mężem tu bawić będzie. Ale trzeba powiedzieć: ni do dziada, ni do ojca nie podobna. Dobre dziecko

moja pasierbica, lecz ma swoję wolę i uporek, a ja tego nie lubię— przytém główka trochę romansami i poezyami zawrócona. I do tego, panie Januszu, należałoby się trochę stosować.— Je vous prie.

Janusz.

Mając dobrą wieś, mam być romansowym?

Szambelanowa.

Zdałoby się.

Ludomir *(na stronie).*

Romansowa! co za pole!

Szambelanowa.

Helena chciałaby jakiegoś smętnego wielbiciela, trawiącego noce śród grobowców.— Là!

Janusz.

Na to się nie piszę.

Szambelanowa.

Jakaś tajemna tęsknota, skargi na niesprawiedliwość ludzi, a nawet może i lekka zgryzota sumienia— jak to się dowiedziałam przypadkiem z jej dziennika — nie szkodziłyby wcale.

Ludmir *(na stronie).*

Jaromir, Alp, Lara. Rozumiem.

Janusz.

To być nie może— ja jestem uczciwym dziedzicem i honorowym Deputatem.— Ale zdaje mi się, że już czas będzie na śniadanie.

Szambelanowa.

W samej rzeczy, chodźmy.

Janusz.

Służę pani, *(postrzegając Ludmira)* A!...

Szambelanowa *(przestraszona).*

A! — Co? Żaba?

Janusz.

Nie, jakiś pan Sans-façon śpi sobie pod drzewem.

Szambelanowa.

Komuż ma spać, jeżeli nie sobie? Voyons!

Janusz.

Ale tu, w ogrodzie.

Szambelanowa.

Jakiś wędrownik.

Janusz.

I butelka próżna w krzaku. — Spił się więc obywatel.

Szambelanowa.

Niechże się wyśpi.

Janusz.

Trzebaby mu jaką sztuczkę spłatać.

Szambelanowa.

Ach, znowu! — Allons!

Janusz.

Trzeba się bawić -- pan Jowialski cieszyć się będzie.

Szambelanowa.

Tém się Helenie nie podobasz.

Janusz.

Dlaczego, dlaczego? byle co rozumnego — zaraz — co mu tu zrobić — żebym miał kłaki i papier.... Albo wodą go obleję.

Szambelanowa.

Na to nie pozwolę. — C'est malhonnete.

Janusz.

Albo... hm, hm... już wiem: każę go przenieść do pałacu.

Szambelanowa.

A to po co?

Janusz.

Widziałem podobną komedyą... wybornie!... śmiać się będziemy dzień cały.

Szambelanowa.

Mnie się to nie podoba. — C'est ordinaire.

Janusz.

Bądź pani dobrodziejka łaskawa, nie wzbraniać niewinnej zabawy — wszakże sama mówiłaś, że muszę starać się o łaskę pana Jowialskiego?

Szambelanowa.

Nareszcie rób co chcesz — Ale, ce n'est rień.

Janusz.

Wszystko dobrze będzie, ja ręczę. Każę go przenieść, przebrać w nasze teatralne suknie, wmówimy w niego, że jest.. że jest.. No, o tém naradzimy się wszyscy, tylko najpierwiej przenieść go trzeba. Zaraz z ludźmi wrócę po niego — służę pani. Wyborna myśl! — I Helenę to zabawi. *(odchodząc)* Rozumny człowiek ze wszystkiego korzystać umie.

SCENA IV.

Ludmir *(sam, kładzie się pod drzewem).*

O Boże! czémże zasłużyłem na dobrodziejstw tyle! między jakichże ludzi wiedziesz mnie łaskawie! Jakiś pan Jowialski, coto za nieoszacowana figura być musi,

i jego żona także dobra, i jego syn, i ten pan Janusz co ma rozum i wieś, także niezły. Macocha Jenerałowa i pasierbica romansowa. Skarby! Ach, skarby! I ja? ja mam zostać celem ich zabawy? Ach, dobrze, dobrze, będę, z duszy, serca.— I pod stół wlazę jeżeli każecie, bylem z wami dzień jeden przepędził. Niech mnie niosą— niech przebierają, spać będę jak zabity.

(Odmiana sceny – pokój z dwojgiem drzwi w głębi: jedne do pokoju pana Jowialskiego, drugie od wchodu— dwoje drzwi bocznych. Okno po lewej stronie od aktorów)

SCENA V.

Helena *(sama).*

Trzy dni do namyślenia— trzy dni do namyślenia! Biada, biada tej co tego czasu potrzebuje, której serce nie uderza radośnie do chwili, gdzie będzie mogło powiedzieć duszą ukochanemu: jestem twoją, twoją na zawsze.— Janusza mam zostać żoną, on moim mężem, on połową duszy mojej! On, on, którego umysł nigdy się nad poziom wznieść nie zdoła! któremu zamknięty świat ideałów! który znieważa czystą miłość, ściągając ją ze stref górnych w zmysłowości objęcie!— Ach Heleno! takieżto przeznaczenie twoje? Nie znajdąż twe uczucia oddźwięku nigdzie? Wszędzież zimny tylko rozsądek odwzajemniać będzie gorące uściski wyobraźni twojej? (p. k. m.) Nie, nie świetnego nadobnością kształtu, nie świetnego urodzeniem i majątkiem, nie, nie takiego pragnę. Duszy

dusza moja szuka. Im bardziej świat go odtrąci, tém porywczej wyciągnę ku niemu zbawienną rękę, tém czulej do serca przycisnę. Ach, światem natenczas, całym światem ja mu się stanę! (p. k. m.) Ale wszystko to marzenie – zimni ludzi szaleństwem je zowią. – We wszystkiém szala rozsądnej rozwagi być musi. Wszędzie wytarte koleje; temi postępuj niewolniczo, albo samą zostaniesz, samą na ogromnej świata przestrzeni.

SCENA VI.

Helena, Szambelan.

Szambelan *(wychodzi nucąc i podskakując; samotrzask w ręku).*

Patrz Helusiu! to mi samotrzask– po dwa ptaszki naraz łapać będzie.

Helena *(całując go w rękę).*

Kochany ojcze, chciałabym z tobą pomówić, zasięgnąć twojej rady względem pana Janusza.

Szambelan.

Dobrze moje dziecie, bardzo dobrze.

Helena.

Sama nie wiem, co mam robić. Chciałabym stosować się ile możności do świata, w którym żyjemy, a z drugiej strony tam, gdzie idzie o szczęście całego mojego życia...

Szambelan *(spuszczając samotrzask, na hałas wzdrygnęła się Helena).*

Trzask! już w klatce, jak iskra!

Helena.

Słuchaj mnie ojcze: ja nie mogę, jak tylko...

Szambelan.

Zaraz, zaraz, tylko samotrzask zastawię; zaraz wrócę, na jednej nodze – interessa przed wszystkiém. *(wybiega nucąc)*

Helena *(sama).*

O Nieba! jakże jestem sama! jednak z nim tylko jednym mogę mówić – przynajmniej czasem mnie słucha i pojmuje; przyznaje, że słuszne moje żądania. Macocha od niejakiegoś czasu prawdziwą stała się macochą – bylem się jej tylko z domu umknęła! Ach, biedna Heleno!

Szambelan *(do Heleny).*

Jestem, słucham. *(do siebie nawiasem)* Pełno szczygłów i dzwoniec się odzywa. *(do Heleny)* Ale cóż to znaczy, że jesteś sama? gdzież niewolnik twoich wdzięków?

Helena.

Ach, niewolnik moich wdzięków!

Szambelan.

Jakieś bardzo kwaśne: Ach!

Helena.

Nienajsłodsze, kochany ojcze.

Szambelan.

Nie kochasz go, to nie idź za niego i kwita. Ja ojciec, ja ci to powiadam; rób co chcesz.

Helena.

Wszakże wczoraj inaczej mówiłeś.

Szambelan.

Inaczej?

Helena.

Kiedy matka wzbraniała i tych trzech dni mizernych zwłoki, o które błagałam.

Szambelan.

Prawda, moja żona życzy sobie, abyś poszła za Janusza.

Helena.

A więc?

Szambelan.

A więc?

Helena.

Cóż będzie?

Szambelan.

Czegoż ty chcesz?

Helena.

Rady, rady, kochany ojcze.

Szambelan.

Mojej rady? dobrze, bardzo dobrze; niech pierwiej słyszę, co ty myślisz.

Helena.

Ja myślę, że mam lat dwadzieścia.

Szambelan.

Za to ręczyć mogę.

Helena.

Że stosując się do poziomych ustaw społeczeństwa, czas iść za mąż.

Szambelan.

Zgadzam się z tobą zupełnie w tej mierze.

Helena.

Im starszą będę, tém mniej będę miała w czém wybierać. Tak gruby, ciężki rozsądek do mnie przemawia.

Szambelan.

Więc rada moja: idź za Janusza.

Helena.

Ale z drugiej strony, iść za mąż nie kochając, rzecz okropna.

Szambelan.

Zapewne, dobra uwaga.

Helena.

Janusza kochać nie mogę.

Szambelan.

Ani trochę?

Helena.

Ani trochę.

Szambelan.

Cóż masz przeciw niemu?

Helena.

Nic za nim.

Szambelan.

Przecie?

Helena.

Nie kocham go, więcej nic.

Szambelan.

Człowiek wesoły.

Helena.

Aż nadto.

Szambelan.

Nadto?

Helena.

Przynajmniej jego wesołość jest tak pozioma, tak plastyczna, że nie może wlać w duszę zdroju cichego zadowolnienia.

Szambelan.

Tego niekoniecznie rozumiem.

Helena.

Jest często płaskim trefnisiem.

Szambelan.

Płaskim? No, ale przez to może być dobrym mężem.

Helena.

Jak dla której.

Szambelan.

Ma piękny majątek.

Helena.

Tyle też wszystkiego.

Szambelan.

Rozum.

Helena.

Żadnego.

Szambelan.

On sam powiada.

Helena.

Żadnego, za to ręczę.

Szambelan.

Jednak zawsze uśmiejemy się do rozpuku. Ale jak tylko ci się nie podoba, nie idź za niego. Niema co gadać; odpraw go, ja ci radzę.

Helena.

Ach, więc piekło domowe ciągle trwać będzie, bo matka nie tak łatwo odstąpi swojego zamiaru. Dziadunia, ciebie i mnie nieustannie dręczyć będzie.

Szambelan.

Wiesz co Helusiu, idź za Janusza, taka moja rada.

Helena.

Mnie się zdaje, że najlepiej będzie zwlekać ile możności. Nie uczynię mu żadnej nadziei, ale też i wzbraniać jej nie myślę. A tymczasem, kto wie — może nastąpi jaka zbawienna odmiana.

Szambelan.

Otóż tak będzie najlepiej. Będziemy zwlekać, a potém zobaczymy; taka moja rada.

SCENA VII.

Pan Jowialski. Pani Jowialska. Helena. Szambelan.

(Pan Jowialski siwy staruszek, ale rumiany i żwawy, równie jak i Pani Jowialska, która bardzo wyprostowana drepci chodząc. — Oboje ze staroświecka trochę ubrani, zwłaszcza Pani Jowialska.)

Pan Jowialski *(we drzwiach do żony).*

Co się odwlecze, to nie uciecze.

Pani Jowialska.

U jegomości zawsze jeszcze figle w głowie.

P. Jowialski.

O, nie uciecze, ręczę jejmości. I stary odmłodnieje, jak sobie podleje.

P. Jowialska.

Co też to jegomość wygaduje! mój miły Boże, gdzie też to myśleć o tém.

P. Jowialski.

W starym piecu diabeł pali. Jak mówi przysłowie...

P. Jowialska *(siadając).*

Oj figle, figle! — *(dobywa z torbeczki pończoszkę, wkłada okulary i zaczyna robotę. — Zawsze bardzo wyprostowana.)*

P. Jowialski.

(Szambelan i Helena całują w ręce Jowialskich.)

Dzień dobry panie Janie; jak się masz Helusiu.— Co tam słychać?

Helena.

Nic, kochany dziaduniu.

P. Jowialski.

Nic, to zbytku niema.

Szambelan.

Radziliśmy trochę.

P. Jowialski.

Gdy szukasz rady, strzeż się zdrady.

Helena.

Między mną a ojcem tego lękać się nie można.

P. Jowialski.

Zapewne, zapewne, ale przezto przysłowie dobre. I o czémże była rada.

Szambelan.

O tém, czy ma iść za Janusza, czy nie iść.

P. Jowialski.

Na czémże stanęło? bo: koniec dzieło chwali.

Szambelan.

Jeszcze na niczém, podobno, wszak prawda?

Helena.

Na niczém

Szambelan.

Nie dość jeszcze zna, jak powiada — swojego czeciela.

P. Jowialski.

Zjesz beczkę soli, nim poznasz dowoli.

Helena.

Właśnie dla tego waham się jeszcze, i prosiłam o trzy dni do namyślenia się; a jeżeli dziadunio dobrodziej będzie łaskaw, to mi jeszcze na tydzień zezwoli.

P. Jowialski.

Ja nie mam nic przeciwko temu, ale nadto długo nie przewlekaj, moja panno, bo to: Czas płaci, czas traci.

Helena.

Wiem ja to dobrze.

P. Jowialski.

A jeżeli się oglądasz na to, że jaki może lepszy trafi się zalotnik — rzecz niepewna. Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na powietrzu.

Helena.

Ja też zupełnie pana Janusza nie odprawiam — o zwłokę tylko proszę.

P. Jowialski.

Jak czasem przebieranie na złe wychodzi, nauczy mała bajeczka o Osiołku — znacie ją?

Wszyscy.

Znamy.

P. Jowialski.

Więc słuchajcie:

Osiołkowi w żłoby dano
W jeden owies, w drugi siano.
Uchem strzyże, głową kręci,
I to pachnie i to nęci;
Od któregoż teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora;
Aż nareszcie przyszła pora,

Że Oślina pośród jadła
Z głodu padła.

(Pani Jowialska zdjąwszy okulary, słuchała z wielką uwagą, jakto za każdą bajką – i śmieje się zawsze mocno, ale cicho)

P. Jowialska.

Bodaj jegomości! co też to zawsze uśmiać się trzeba! O dla Boga! *(kładąc okulary)* figle! figle! — *(Pani Jowialskiej wykrzykniki i pochwały nic nie przerywają, albo bardzo mało, toczącą się rozmowę)*

Helena.

Jednak, kochany dziaduniu dobrodzieju, lepiej nie mieć męża, jak mieć niedobrego.

P. Jowialski.

To niedowiedzione — Lepszy rydz, niż nic.

Helena.

Nie chciałabym matki obrażać, a i o moję spokojność, o moje szczęście idzie mi także niemało.

P. Jowialski.

Między młotem a kowadłem.

Helena.

Może też i matka....

P. Jowialski *(sens kończąc).*

Nie będzie tak uparta. — O, tak! Im kot starszy, tém ogon twardszy.

Helena *(całując w rękę).*

Mogę zatém mieć nadzieję, że dziadunio dobrodziej będziesz mnie bronił przeciw niecierpliwej natarczywości pana Janusza.

SCENA VIII.

Pan Jowialski, Pani Jowialska, Szambelan, Helena, Szambelanowa.

Szambelanowa *(zatrzymawszy się we drzwiach).*

O, tak najlepiej, słuchaj tylko jegomość panny Heleny, a dobrze wyjdziemy.— Rozsądne szczęście w domowém zaciszu przy szlachetnym, gospodarnym mężu, za mało dla jejmość panny, która pod nieba lata, kiedy po ziemi chodzić trzeba.— Bronić przeciwko panu Januszowi? Vous figurez vous? — Dziękować, dziękować Bogu powinnaś, że on chce ciebie zaślubić. Bo cóż mu zarzucić? młody, przystojny, ma wieś o trzech folwarkach....

P. Jowialski *(który kilka razy starał się przyjść do słowa).*

Ależ pani synowo, tylko słuchaj. Mądrej głowie dość na słowie....

Szambelanowa *(do męża).*

I ty, ty zamiast córce prawdę powiedzieć, zamiast rzecz wystawić jak jest w istocie, potakujesz tylko wszystkiemu. C'est mal.—

Szambelan.

Moja Basiu, wszak jegomość był świadkiem...

Szambelanowa.

O, ja wiem co się święci, wiem bardzo dobrze....

P. Jowialski.

Czy nie mogę....

Szambelanowa.

Byłem powiedziała biało, cały dom krzyczy jak wrony: *(udając)* czarno! czarno!

P. Jowialski *(biorąc za rękę syna i synowę).*

Za pozwoleniem, jedno słówko, parę wierszyków:
Kłódkę mąż żonie przywiózł na wiązanie.
Kłódka! co za myśl! na cóż to, kochanie?
Użyj jej jak chcesz, w jakimbądź sposobie,
Byleś użyła, ja zawsze zarobię.

P. Jowialska.

Dla Boga najsłodszego! co też ten jegomość nie wygaduje!

Szambelanowa.

Dobrze, pięknie. rozumiem — kłódkę dla mnie — c'est bien. — *(do męża)* I ty cierpisz aby mnie znieważano do tego stopnia? — Ale daremna praca, ust mi nie zamkniecie i na dziesięć kłódek. — *(do męża)* Waćpan jesteś pantofel. *(do Jowialskiego)* A jegomości o nic w świecie nie idzie, tylko o sposobność umieszczenia swoich przysłowiów, które mi już kołkiem w gardle....

P. Jowialski.

Kością w gardle, mówi Knapiusz, nie kołkiem.

Helena.

Ja tylko proszę matki, aby tak lekce nie ważyła szczęścia mojego. Pan Janusz młody — prawda — ależ młodość nie jest rękojmią szczęścia dla żony.

P. Jowialski.

Stary ale jary, lepszy czasem od młokosa.

Helena.

Przystojny? to do gustu.

P. Jowialski.

De gustibus non disputandum.

Helena.

Ma majątek — nie przeczę. Ale ja nie dbam o złoto; czystą tylko miłość, niezawisłą od podłej rachuby szacować mogę.

P. Jowialski.

Miłość bez pieniędzy, wrota do nędzy.

Szambelanowa.

Otóż to jegomość dobrze powiedział.— Très bien.

P. Jowialski.

Jeśli moje zdanie, dobrze mówisz, Janie.

Helena.

Nareszcie ja się nie sprzeciwiam — ale dla czego tak śpieszyć?

P. Jowialski.

Co nagle, to po diable.

Szambelanowa.

Nagle, moja panno? Wieleż jeszcze miesięcy, wiele lat jeszcze wzdychać ma u nóg srogiej wiejskiej Dulcynei człowiek rozumny, który bywał w świecie...

P. Jowialski.

Bywał Janek u dworu, wie jak w piecu palą.

Helena.

Ależ, kochana matko, to jest krok stanowczy; łatwo słowo wymówić, ale co potém?

P. Jowialski.

Dobrze mówisz Helusiu. — Słówko wyleci wróblem, a wróci się wołem. Jak uczy przysłowie.

Szambelanowa.

Przy największej cierpliwości trudno wytrzymać i na szaleństwie trzeba będzie skończyć. *(do męża)* Odezwij że się waćpan przecie — czego stoisz?

P. Jowialski.

Jak na niemieckiém kazaniu, jak mówi...

Szambelanowa.

A dajże też mi jegomość święty pokój z temi przysłowiami bez końca.

P. Jowialski *(uradowany).*

Prawda, że ich umiem bez końca?

Szambelanowa.

Prawdziwie, trzeba wierzyć, że Pan Bóg spuścił jakiś szał na całą familią Jowialskich.

P. Jowialska.

Oho! Pani synowo.

Szambelanowa.

I ojciec i matka i syn i wnuczka za grosz rozsądku. — Bo lubię prawdę powiedzieć powoli, grzecznie i wyraźnie: za grosz, za grosz rozsądku.

P. Jowialski.

Powiem ci bajeczkę...

Szambelanowa *(odsuwając rękę).*

A ja powiem przysłowie. — Nie siej... wiecie co?— sami schodzą.

(odchodzi)

SCENA IX.

Pan Jowialski, Pani Jowialska, Helena, Szambelan.

P. Jowialski *(wołając za Szambelanową).*

Pewnie że wiem Adagium Knapiusza: Nie siej głupich, sami schodzą.

P. Jowialska *(zdejmując okulary).*

O, o, co też to gada! — wszyscyśmy niby głupi —

proszę jegomości! co to za niedobra niewiasta! Wszyscy! hm! —Ja, jak ja.— Nasz pan syn—no, niema co mówić; ale Helusia i jegomość! i jegomość! Co to za niewstrzemięźliwy język!

P. Jowialski.

A zawsze: Powoli, a dowoli. Zupełnie takiego miałem szłapaka — często brał na kieł i jezdzca unosił, ale zawsze stępią, zawsze stępią, noga za nogą.

Szambelan.

Basia jest niegrzeczna.

P. Jowialski.

Gniewa się baba na targ, a targ o tém nie wie.

Szambelan.

Ja wiem trochę.

P. Jowialski.

Dzięcioł w drzewo kuje, a nos sobie psuje.

Szambelan *(z westchnieniem).*

Kuje! kuje!

P. Jowialski.

Wszystkie rozumy pojadła.—Głupi ten, kto nie tak rzeczy widzi jak ona. Szkoda że nie będzie słyszała bajeczki o Sowie, którą wam powiem; ale ja jej dziś jeszcze powtórzę.—Pewnie nie znacie tej bajeczki?

Helena i Szambelan.

Znamy.

P. Jowialski.

Słuchajcie więc:

Głupie wszystkie ptaki!
Rzekła sowa.
Na te słowa
Jaki taki
Dalej w krzaki:

Miłość własną ma i ptak.
Ale śmielszy stary szpak
Gwiźnie, skoczy
Jej przed oczy,
I zapyta jejmość pani,
Z jakich przyczyn wszystkich gani? —
— Boście ślepi. — Bośmy ślepi?
A któż widzi lepiej?
— Ja, bo bez słońca pomocy
Widzę w nocy.
Na to odrzekł stary szpak:
— Widzieć zawsze wszystkim wspak,
To nie chluba,
Sowo luba.
Możeś mądra — niech tak będzie,
Lecz twą mądrość kryje cień,
A tymczasem słychać wszędzie:
Każda sowa głupia w dzień.

P. Jowialska.

O, dla Boga! Co też jegomość dalej nie wymyśli. *(kładąc okulary)* figle! figle!

Szambelan.

Ja nic u niej nie znaczę — wszystkiém rządzi.

P. Jowialski.

Gdzie ogon rządzi, tam głowa błądzi.

Szambelan.

Powiada, że ja i miotła, obojeśmy sprzęty domowe.

P. Jowialski.

Biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi, — dawne uczy przysłowie.

Helena.

Zatém, kochany dziaduniu, mam twoję obietnicę, że mnie naglić nie będą?

P. Jowialski.

Krótko a węzłowato: nie chcesz Janusza?

Helena.

Tego nie wyrzekłam.

P. Jowialski.

Ale moja Helusiu, przysłowie mówi: Prędka odmowa, datku połowa.

Szambelan.

Prawda, i ja tak mówię.

Helena.

Jestże to w mojej mocy? zawisłamże tylko od siebie?

Szambelan.

Dobrze mówisz Helusiu, od ciebie nie od siebie, jak mówi przysłowie.

P. Jowialski.

Jakie przysłowie? gdzieś je czytał?

Szambelan.

Tak jakoś od śliny.

P. Jowialski.

Co waćpan bałamucisz — mówi się: Plecie co mu ślina na język przyniesie; ale nie: jakoś od śliny. I co waćpanu myśleć o przysłowiach! Ho, ho! także: kuchta do patyny. *(do Heleny)* A ty ani tak, ani siak. Oj dziewczęta, dziewczęta! wszystkieście szpakami karmione. Chcę, nie chcę — a ty kochanku stój na smyczy: trafi się jaki smuklejszy modniś, z loczkiem na czole, z zakręconym wąsikiem, z szlufowanym pazurkiem—a do budy, ty ze smyczy! — Ale jak się nic lepszego nie nadarzy,

chodź i waszeć do ołtarza — Dobry chleb, kiedy niema kołacza.

P. Jowialska.

Figle! figle!

P. Jowialski.

Róbcie sobie nareszcie jak chcecie. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Ale Janusz wesoły, ja lubię Janusza; z nim bawię się i śmieję, a śmiać się bardzo zdrowo.—Jednak niema co mówić.— Każdy ma swoje wady, przymioty, widzimisię — słowem: Każdy Dudek ma swój czubek.

SCENA X.

Pan Jowialski, Pani Jowialska, Helena, Szambelan, Janusz, *za nim* **Lokaj.**

Wszyscy *(do wchodzącego Janusza w kaftanie tureckim).*

A to co?

Janusz.

Czy pani Szambelanowa nic nie mówiła?

Szambelan.

Aj, gdzież tam nie mówiła!

P. Jowialski.

Ona i przez sen gada.

Szambelan *(śmiejąc się).*

Już widzę, że z czegoś śmiać się trzeba.

P. Jowialski.

Cóż znaczy to przebranie? Nasze stroje teatralne— czy grać będziecie dziś komedyą? Beze mnie?

Janusz.

I owszem, wszyscy razem grać będziemy i śmiać się do upadłego.

Szambelan *(śmiejąc się głośno).*

Wszakże mówiłem!

Janusz.

Sporządziłem naprędce arcy ucieszną komedyjkę.

Szambelan.

Mówże, jestem niecierpliwy.

P. Jowialski.

Ile kto ma cierpliwości, tyle ma mądrości, mówi przysłowie.

Janusz.

Wracałem z przechadzki przez ogród z panią Szambelanową, wtém patrzę, pod drzewem śpi jakiś chłopek czy wędrownik; zaraz mi na myśl przysło sztuczkę mu jaką wypłatać.

Helena.

Najlepsza byłaby, mojém zdaniem, obudzić i dać wsparcie: może głodny, spragniony, we śnie nieborak szukał wypocznienia na dalsze trudy.

Janusz.

Wcale niespragniony, bo opodal w krzaku próżna leżała butelka.

P. Jowialski.

Corpus delicti.

Szambelan.

Hic, haec, hoc.

P. Jowialski.

A to co?

Szambelan.

Po łacinie. *(Jowialski wzrusza ramionami)*

Janusz.

I właśnie ta butelka naprowadziła mnie na myśl arcy szczęśliwą: kazać go tu przenieść i przebrać po turecku—co się najlepiej udało—śpi jak zabity.

Szambelan.

Wybornie! cóż dalej?

Janusz.

Przebierzemy się także wszyscy i wmówimy w niego, że jest Sułtanem albo Baszą w jakim nieznanym kraju.—Teraz proszę sobie wystawić jego zadziwienie przy obudzeniu.

P. Jowialski.

Dobry żart, tynfa wart.

Szambelan.

Czémże ja będę?

Janusz.

Przebierzemy się pierwiej, potém urzędy porozdajemy.—Damy zechcą przychylić się do tej arcy dowcipnej zabawy.

P. Jowialski.

A, niema gadania. — Wszystkie. *(do Lokaja)* Dajże kaftan. *(ubiera się)*

P. Jowialska.

Co też jegomość nie wyrabia! Boże mój najsłodszy!

P. Jowialski.

No, pani Jowialska, dalej w szarawary.

P. Jowialska.

Fe, fe panie Jowialski! zaczynasz trzpiotować.—Nieprzystojności wspominasz.

P. Jowialski.

Ale jejmość musisz być Turczynką.

P. Jowialska *(żegnając się).*

O dla Boga!

P. Jowialski.

Musisz się zbisurmanić, nic nie pomoże.

P. Jowialska.

Panie Jowialski, zaniechajże te psoty.

P. Jowialski *(prosząc).*

Moja Małgosiu.

P. Jowialska.

Mój Józieczku, nie nacieraj.

P. Jowialski.

Żwawo do niej, choć się broni. Jejmość zapomniała moje przysłowie?

P. Jowialska.

Oj figlarzu, figlarzu!

P. Jowialski.

Będziesz Sułtanką?

P. Jowialska.

Broń Boże.

P. Jowialski.

Tylko na dzisiaj.

P. Jowialska.

Ani na godzinę.

P. Jowialski *(całując ją).*

Małgosiu, jak mnie kochasz.

P. Jowialska.

Józieczku, Józieczku, nadużywasz mojego affektu. Chodź Helusiu, przebierzemy się.

Janusz *(do Heleny).*

I pani raczysz....

Helena.

Widzę, widzę że muszę.

Szambelan.

Dobrze, bardzo dobrze Helusiu, trzeba zawsze tak jak wszyscy.

P. Jowialski.

Wleziesz między wrony, krakaj jak i ony; ale pani Janowa?

Janusz.

Przyrzekła dzielić naszę zabawę.

P. Jowialski.

Pani Jowialska, pani Janowa, i Helusia wszystkie wdzięczyć się będą do niego.

P. Jowialska.

Co też jegomość dalej nie wymyśli, ja stara.

P. Jowialski.

O, Turek o to nie pyta!

Helena.

Nie wiedzieć co to za człowiek.

Janusz.

Wszyscy przecie razem będziemy.

P. Jowialski.

Kiedy pan Janusz sam chce i prosi....

Janusz.

Sam chcę i proszę, bo to powiększy śmieszność mojego wynalazku.

P. Jowialski.

Nie masz się co namyślać, rób jak twój wielbiciel żąda.

Szambelan.

Chodźmy go obudzić.

Janusz.

Hola! Niech panie przebiorą się pierwiej, a potém tu go przeniosą i tu w milczeniu wszyscy czekać będziemy, aż się sam obudzi.

Szambelan.

Aż się sułtanem obudzi.

Janusz.

Chodźmy, chodźmy.

Helena.

Ach, chodźmy!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

Pan Jowialski, Janusz, Szambelan,

(po prawej stronie w rzędzie)

Pani Jowialska, Szambelanowa,

(po lewej siedzą)

Helena,

(za nimi przy stoliku, z książką w ręku)

Ludmir.

(w środku w głębi śpi, nawznak leżąc na kanapie. Wszyscy w kaftanach tureckich. Czas jakiś milczenie—na migi rozmawiają i poprawiają swoje ubiory)

Ludmir *(ziewa głośno i przeciągając się).*

Tom się wyspał, jaż mi w nosie wierci — oczów otworzyć nie mogę — musi już być het z południa. *(ziewa)* Austerya, jak się patrzy, niema co mówić, dobrze em sy dzien przepędziuł. — Wypiułem coś grubo; ba, nie bardzo, na trzech. — Dwie kwarty wódki, *(zadziwienie wszystkich wzrastające)* garniec miodu, dwa garnce piwa, i więcej nic... ba, prawda, kwartę krupniczku. *(ziewa)*

P. Jowialski *(na stronie).*

Niechże go Bóg ma w swojej opiece!

Ludmir.

Grześku! Jaśku! a co? Wy śpicie jeszcze, basałyki! *(tu spogląda na bok, a postrzegłszy siedzących, siada. Wszyscy wstają i kłaniają się nizko, Ludmir przeciera oczy wstając i patrząc wkoło i na siebie)* Ja bo taki nie śpię, patrzam się oczami. *(zdejmując turban)* Moi państwo wielmożni... Czy ja... czy wy państwo?... bo... niech mnie siarczyste pioruny... ja bo nic nie wiem co to jest. *(śmiech ciągły ale tajony, mężczyzn czasem i kobiet, w ciągu sceny)*

Mężczyzni *(kłaniając się).*

Najjaśniejszy Panie!

Ludmir.

A państwo sy drwicie ze mnie.

Janusz.

Jesteśmy twoi najuniżeńsi słudzy i podnóżki.

Szambelan.

Najniższe podnóżki, dobrze mówi pan...

P. Jowialski.

Pst!... Cóż raczysz rozkazać, Najjaśniejszy Panie?

Ludmir.

Ta bójcie się Boga, ja nie pan.

Janusz.

Zapewne sen jakiś trapiący odurzył Waszę Sułtańską Mość.

Ludmir.

Przepraszam pana, ja nie miałem żadnego trapiącego snu, mnie się śniło tylko — z respektem mówiąc, dużo osłów — całe stado — a jeden z figlów na mnie wyskoczył, a ja go kijem sparzyłem — a więcej nic. *(śmieje się)*

P. Jowialski.

Sen mara, Bóg wiara, Najjaśniejszy Panie.

Ludmir.

Ale bo nie jestem żadny pan, proszę ta suplikuję jegomościów i jejmościanek. A ja jestem Ignac Kurek, szwiec. A byłem sy we Lwowie w terminie, u majstra... ba, nie u majstra bo pomarł, tylko taki terminowałem u majstrowy na Horoszczyznie, pod numerem sto jeden i trzy, kole szynku pana Mikołaja. *(do starej Jowialskiej)* Jejmoscunia znają?

P. Jowialska *(przestraszona).*

Co? co? *(przechodząc do męża)* Panie Jowialski...

P. Jowialski.

Cichoże!

Janusz.

Wszystko to sen, Najjaśniejszy Panie.—

Ludmir.

A teraz szedłem na wędrówkę, w dalekie drogie, na Węgry.— A mój pas w tłómoczek em sy schował, jak się patrzy— i jak sy teraz przypominam byłem gdzieś, hej w ogrodzie, w gienstwinie położyłem mój tłómoczek. *(do Szambelanowej)* Jejmoscunia nie widzieli?

Szambelanowa.

Nie widziałam— Rień du tout.

P. Jowialski.

Najjaśniejszy Panie, pozwól abym powiedział bajkę.

Ludmir.

Powiedzcie mi lepiej prawdę jak bajkę, mój stary jegomościuniu, bo ja nie wiem co się ze mną dzieje.— A mnie się wszystko widzi, że ja zwaryował, i że *(oglądając się)* jestem u Pijarów na górze, w szpitalu waryatów.

Szambelan.

Tam do kata!

Janusz.

Jesteś, panie, między swemi.

Ludmir.

A to ja waryat?

P. Jowialski *(na stronie).*

Niedźwiedź acz głaśnie, to w krzyżach trzaśnie.

Ludmir.

A, moi państwo, powiedzcieże mi, gdzie jestem.

Janusz.

Kiedy taka wola Najjaśniejszego Sułtana żarty sobie stroić z wiernych swoich sług i poddanych, i pytać się o to, co mu aż nadto dobrze jest wiadomo, więc odpowiadać muszę. Jesteś panie w swojém królestwie.

Ludmir.

W mojém? a są w niém ludzie?

Szambelan *(urażony).*

Jegomość i ja, przecie nie jakowe zwierzęta...

P. Jowialski.

Ciszej, ciszej.

Ludmir.

A jak się zowie to królestwo?

Janusz.

Tambambuktuhan.

Ludmir.

Tambamban... to żaden uczciwy człowiek tego nie wymówi. — A mnie się widzi, że wy państwo drwicie sy ze mnie nieboraka.

Helena *(na stronie).*

Biedny.

Ludmir.

A ja panom nie zawadził w drodze.

Janusz.

Któżby się na to odważył— drwić!

Szambelan.

Z takiego człowieka!

P. Jowialski.

Nie pchaj rzeki, sama płynie; jak mówi przysłowie.

Helena *(do Szambelanowej).*

Dopókiż tego będzie?

Szambelanowa.

Dopóki się starszym podoba.— Vous comprenez.

Ludmir.

A więc nie jestem Ignac Kurek?

Janusz.

Jesteś Mirza Ali Mustafa.

Ludmir.

Mustafa i pan?

Mężczyzni *(kłaniając się).*

Pan, Pan Najjaśniejszy, Największy Sułtan.

Ludmir.

I mogę rozkazywać?

Janusz.

Możesz, Mirzo Ali Mustafo.

Ludmir.

I wszyćko co chcę?

Janusz.

Wszystko.

Szambelan.

Wszystko, wszystko.

P. Jowialski.

Ale kto źle rozkazuje, niedługo panuje; uczy przysłowie.

Ludmir.

A wy słuchać będziecie?

Janusz.

Jako najniżsi słudzy i podnóżki.

Ludmir *(kładąc turban).*

Ha, niechże i tak będzie.

Janusz *(do Szambelana).*

Dopiéro będzie zabawa.

Szambelan.

I tak ledwo żyję z radości.

Ludmir *(stawia krzesło na środku i siadając).*

Jestem pan, Sułtan, słuchajcie co każę.— Jeść, pić i pieniędzy—

P. Jowialski *(na stronie).*

Jakby się panem urodził!

Janusz.

Jeszcze nie czas obiadu, Najjaśniejszy Panie.

Ludmir.

Coto, nie czas? Ja, pan, mówię że czas— któż z poddanych powie: nie?

Janusz.

Zastanów się...

Ludmir.

Ani słowa, bo oberwiesz.— Jeść prędko i wina kwartę na ryńskiego— kiedym pan, tom pan.

P. Jowialski *(kontent).*

Wypełnij rozkazy Najjaśniejszego pana.

(Janusz wychodzi)

Ludmir.

Stolik tu przede mnie! No! nie słyszycie? Ty *(do Szambelana)* w peruce, z czerwonym baranim nosem! stolik tu postawić.

Szambelan *(do Jowialskiego).*

A to...

P. Jowialski.

Kiedyś grzyb, leź w kosz— służ panu.

Ludmir.

Prędzej. *(Szambelan stawia stolik)* W samej rzeczy, mnie się śnić musiało, że byłem szewczykiem... Że byłem ubogi.— Chcę o tém zapomnieć.— Słyszycie, chcę zapomnieć.— A kto kiedykolwiek mi przypomni, każę mu łeb uciąć. — Rozumiesz jeden z drugim? co było, nie jest, nie pisać w regestr.

P. Jowialski *(na stronie, jakby się obudził).*

Co, co! przysłowie— czy diabeł przemówił przez niego. *(wnoszą śniadanie, Janusz wraca)*

P. Jowialska *(na stronie do męża).*

Niechże się jegomość niebardzo przysuwa, bo to jakiś zawedya.

P. Jowialski.

Tém większa zabawa.

Szambelanowa.

Nie wiem czy te żarty na dobrém się skończą.

Janusz.

Ja za to ręczę. Jest trochę zuchwały, ale tém śmieszniejszy.

Szambelanowa.

Jak to wino wypije!

Janusz.

Kazałem dać z wodą.

Ludmir *(skosztowawszy).*

Co to za wino? słyszycie! słyszysz, ty stary Chińczyku!

P. Jowialski *(do p. Jowialskiej serio).*

Chińczyku!

P. Jowialska.

Widzisz jegomość, że to burda.

P. Jowialski.

To jest krajowe.

Ludmir.

Dajcieże niekrajowego. *(do Szambelanowej)* Słyszysz klucznico, weź to wino, a przynieś innego.

Szambelanowa.

C'est impertinence.

P. Jowialski.

Weź, weź.

Szambelanowa.

Na takie żarty dłużej wystawiać się nie myślę.

Ludmir.

A to co? Czy i tu kobiéty mają swoje widzimisię? *(Szambelanowa odbiera butelkę i wkrótce inną przynosi)*

P. Jowialski.

Muchy w nosie, jak mówi przysłowie— mają, mają Najjaśniejszy Panie.

Ludmir.

Zaraz temu poradzę.

Szambelanowa.

Cóż poradzisz szalony chłopcze? — Usuwam się od prostackiej zabawy, wylęgłej w głowie godnego aspiranta na członka familii Jowialskich. Żałuję tylko, że tego od razu nie uczyniłam! Très humble servante!

P. Jowialski.

Lepiej późno, niż nigdy.

Szambelanowa *(ze drzwi).*

Dla jegomości już zawsze zapóźno.

(odchodzi)

SCENA II.

Ciż sami, *bez* **Szambelanowej.**

Ludmir.

Cóż to wszystko znaczy? — Ale szynki więcej! *(szturchają się łokciami, nareszcie Szambelan idzie i przynosi)*

P. Jowialski.

Pozwolisz sobie, Najjaśniejszy Panie, zrobić uwagę, czyli raczej powtórzyć przysłowie: Kto doje, dopije, ten w rozum nie tyje.—

Ludmir.

Bajka! Kto pije, długo żyje. Ale przybliżno się, staruszku.

P. Jowialska.

Ostrożnie panie Jowialski.

P. Jowialski.

Nie psujcieże nam zabawy, kobiéty.

Ludmir.

Cóż wy wszyscy jesteście?

P. Jowialski.

Twój dwór.

Ludmir.

Któż ty jesteś?

P. Jowialski.

Wielki Kanclerz koronny.

Ludmir.

Kanclerz? cóż to jest?

P. Jowialski.

Jest to Effendi od pieczęci i stróż praw krajowych.

Ludmir.

Czy prawami wpiecu palisz, że się stróżem zowiesz?

P. Jowialski.

Nie, u nas to, Najjaśniejszy panie... *(na stronie)* Wyborny szewczyk!

Ludmir.

A pieczęcią co pieczętujesz?

P. Jowialski.

Rozkazy twoje.

Ludmir.

Chcę abyś wszystkim głowy popieczętował.

P. Jowialski.

A to na co?

Ludmir.

Aby wszystkie głowy były pod jedną cechą, moją własną; bez cechy pańskiej ścinać się będą. *(do Janusza)* A ty? co małpę udajesz, jaką raz widziałem w budzie na Krakowskiém.

Janusz.

Grzeczność jest tu prawem.

Ludmir.

Dla ciebie, sługo; nie dla mnie pana. Czém ty jesteś?

Janusz *(do Jowialskiego).*

To jest bardzo niegrzecznie.

P. Jowialski.

Trzeba trochę znosić dla ogólnej zabawy. Kto chce wygrać gąsiora, trzeba ważyć kaczora. Zresztą pamiętaj, że to szewczyk Kurek.

Janusz.

Jestem wielki Ochmistrz.

Ludmir.

Co to Och i Mistrz?—Dla czego? Ach, czy dla tego, że ty Mistrzem?

P. Jowialski.

Jest to urząd, Najjaśniejszy Panie.

Ludmir.

Cóż on robi?

P. Jowialski.

Strzeże, aby wszystko u dworu działo się przyzwoicie.

Ludmir.

I ty to potrafisz?

Janusz.

Tak jest.

Ludmir.

To jesteś wielki człowiek! cóż jeszcze robisz?

Janusz.

Przedstawiam wszystkich, którzy chcą być u dworu.

Ludmir.

Jakto przedstawiasz?

Janusz.

Powiadam ci, Najjaśniejszy Panie, kto jest ten lub ów, i jak się zowie.

Ludmir.

I powiadasz: dobry czy zły, mądry czy głupi, łotr czy poczciwy?

Janusz.

Nie, tego nie powiadam.

Ludmir.

To jesteś bardzo mały człowiek. — Czémże jeszcze jesteś?

Janusz.

Jeszcze? *(po krótkiém milczeniu)* Jestem Effendi finansów.

Ludmir.

Finansów? Ha! to ty oderznąłeś mój tłómoczek. — Zdaleka ode mnie, bo jeszcze mam parę srebrników w kieszeni. — Ale prawda, on się teraz ze mną dzielić będzie. — *(do Szambelana)* A ty co się śmiejesz, a nic nie gadasz, masz także dwa rzemiosła?

Szambelan.

Jestem wielki Kuchmistrz koronny i Effendi wojny.

Ludmir.

A! do kuchni i do wojny — do siekaninki więc, do siekaninki. - Wojny nie chcę.

P. Jowialski.

Bardzo pięknie, Najjaśniejszy Panie; bo przysłowie mówi: Gdy panowie za łby chodzą, poddanemu włosy trzeszczą.

Ludmir.

Doprawdy?

P. Jowialski.

Czego panowie nawarzą, tém się poddani poparzą.

Ludmir.

Ale kuchnię lubię — siadaj kucharzu. — A dobrze ty gotujesz?

Szambelan.

Ja nie gotuję, to jest tylko tytuł.

Ludmir.

Musisz gotować. — Ale słuchajcie, gdzież jest Rozumnik koronny?

P. Jowialski.

Tego urzędu niema.

Ludmir.

Któż za nas rozum mieć będzie?

P. Jowialski.

Ten, komu ty każesz.

Ludmir.

Lubię być chwalonym, jest, więc Chwalca koronny?

P. Jowialski.

Ten urząd, jest samo przez się, przy każdym innym...

Ludmir.

Któż są te panie? i tamta co się znarowiła?

P. Jowialski.

Sułtanki.

P. Jowialska.

Przecie jegomość nie zechcesz...

Ludmir.

Moje żony?

P. Jowialski.

Tak jest.

Ludmir.

Jaż trzy!

Janusz.

Trzy zawsze nierozłączone.

Ludmir.

Chcę tylko jednę.

Janusz.

To być nie może, takie prawo.

P. Jowialski.

Co kraj, to obyczaj.

Ludmir.

Trzy! bagatela! Mój majster miał jednę, a Boże zmiłuj się... *(surowo, wstając)* Kto wspomniał o majstrze?

P. Jowialski.

Żaden dworak tego nie uczyni.

Ludmir *(siadając znowu).*

Nalejże wina. *(wypiwszy)* A teraz idźcie sy het— zostanę z żoną; *(wskazuje na Helenę)* z tą.

Janusz *(do Jowialskiego).*

Na to pozwalać nie można.

P. Jowialski.

Ale dlaczego, dlaczego?

(Rozmawiają przy stronie, Jowialski zdaje się być przeciwnego zdania, kiedy Ludmir przy drugiej stronie mówi z Heleną)

Ludmir *(na stronie, do Heleny).*

Chciej pani zostać, nie lękaj się, znam granicę żartu i winne uszanowanie. Słowa nie mówiliśmy z sobą, a dusze nasze już się rozumieją.

Helena.

Cóż to jest? Co za mowa?

Ludmir.

O chwilę rozmowy śmiem błagać. Niech błogosławię Nieba za sposobność poznania pięknej Heleny.

Helena.

Tak jestem zdziwiona, że słów brakuje....

Ludmir.

Słowo, dźwięk próżny; tajniejszy język dusza posiada, i tym z tobą, pani, dawno już mówiłem.

Helena.

Czego pan żądasz?

Ludmir.

Nie trwoż się moją przybraną rolą i zostań. — *(głośno)* No! jeszcze tu? *(rozskakują się)*

Janusz.

Odejść nie możemy.

P. Jowialski.

Ale chodźcie.

Szambelan.

Zostaniemy, podobno.

Ludmir.

A do stu piorunów! Precz! precz mówię.

P. Jowialska.

Panie Jowialski! Panie Jowialski, strzeż się jegomość!

P. Jowialski *(ku swoim drzwiom).*

Coś brzękła kosa, pewnie kamień. Panie Ochmistrzu.

Janusz.

Pozwól waćpan dobrodziej.

P. Jowialski.

Powiedziałem że nie.

Ludmir.

Precz, bo basy! *(chwyta za krzesło.)*

P. Jowialski *(przy swoich drzwiach).*

Kto niema zbroje, mijaj boje.

Janusz *(cofając się).*

To szaleństwo! to nadto! to strach!

(Ludmir z krzesłem w ręku postępuje. — Janusz cofa się za Szambelana, a Szambelan za Janusza, i tak aż za drzwi. Szambelan w cofaniu powtarza każde słowo Janusza.— Jowialski śmieje się.)

P. Jowialski.

Chodźmy i my teraz, a miejmy oko przy szparze.— Dawnom się tak nie śmiał.—

(odchodzi)

SCENA III.

Ludmir, Helena.

Ludmir.

Pojmuję bardzo zadziwienie pani, ale łatwo koniec mu położę, gdy powiem, że udawałem tylko śpiącego

w ogrodzie, kiedy pan Janusz wpadł na myśl arcy szczęśliwą, biednego wędrownika uczynić celem igraszki i szyderstwa.

Helena.

Takie to są zawsze prawie jego pomysły, taka wesołość zawsze: zawsze ją ktoś opłacić musi. Nieszczęściem dziadunio, aby miał tylko rozrywkę, niebardzo jest przebierający w sposobach do tejże.

Ludmir.

Pani zapewne będziesz mojego zdania: iż w oczach duszy szukającej upragnionej estetycznej piękności, każde uderzenie w ogniwo łączące ekscentrycznego uczucia zarzewie z kołem toczącém się zmysłowo w obrębie materyalizmu, wyrywa nas z mgły lubej tęsknoty, owej jutrzenki boskości.

Helena.

W samej rzeczy. Ileżto razy chroniłam się, uciekałam sama ze siebie przed zimnemi zarysami marmurowych kolei, w których mnie towarzyskość ołowianym więziła łańcuchem.

Ludmir.

Zdaje mi się, iż to: J e s t, które działa w materyalnej bryle pana Janusza, pokryte zostało w pierwotném wyrobieniu pojętliwości, jakoby niejakim pyłkiem poziomych oddźwięków dotkliwego świata.

Helena.

Jest tylko tlejącym kagańca zarzewiem, nieoczyszczonym promieniem ognia, źródła niezgłębionej wieczności.— Zdaje się, iż jedynie dla plastyki został postawiony ręką natury w prądzie czasu.

Ludmir.

Na mnie teraz kolej nurzać się w mętném morzu podziwienia.

Helena.

Jakichże przyczyn kołowrot mógł wyrzucić kostkę takiego skutku.

Ludmir.

To odlanie cieniów duszy w giętkie brzmienie mowy, którém raczysz pieścić ucho moje, odkrywa mi, pani, w tobie istotę wyższych pojęć skarbem udarowaną. Jakże się dzieje, że pan Janusz, którego odrętwiałość umysłowa młyńskim kamieniem do ziemi przyciska, mógł wznieść oko żądania ku twojej wysokości?—A jeszcze więcej, jak mógł otrzymać z ust twoich różany promyk nadziei?

Helena.

Nie z moich ust, niestety! Mam macochę — więcej mówić nie potrzebuję — jestem sama — od kolebki bez matki, idę w świat bez światła i rady. Pierwszy zaś rzut oka przekonał pana zapewne, jak zresztą jestem otoczona dobremi ludźmi; ale tylko dobremi, dobremi i dla złych.

Ludmir *(z prawdziwą czułością).*

Bez troskliwych nauk matki zaczęłaś drogę życia, biedna Heleno.— Któż ci za złe mieć może mylne wyobrażenie rzeczy....

Helena.

W czémże mylne?

Ludmir.

Gdyby mylne były.— Sierota więc — między krewnemi, a całkiem obcemi.

Helena.

Niestety!

Ludmir.

I moje usta nigdy nie wyrzekły: ojcze ani matko. Także sierota, od niemowlęcia sam w życie postępuję.

Heleno! wybacz tę poufałość, ale szczerze teraz, szczerze serce moje przemawia za tobą.—Heleno, przyjmij mnie za brata— rady moje zdać się mogą— więcej świata widziałem, więcej go doznałem.

Helena.

Któż jesteś dziwny człowieku? z jakiejże ciemnej nocy przemawia do mnie głos mi znany tylko przeczuciem?

Ludmir *(na stronie).*

Żal mi jej.— Widać że matkę zawcześnie straciła. O panny, panny! wolicie nie czytać, niż złe czytać.

Helena *(na stronie).*

Tajemnica jakaś cięży mu na sercu, usta głazem przyciska.

Ludmir.

Kto jestem, pytasz się pani.—Ach, gdybym to sam mógł wiedzieć!

Helena.

Słowa kształtem proste, splątane stają się zagadką.

Ludmir.

Cóż nie jest zagadką na tym świecie.

Helena,

Jednak pan nie w swoim właściwym stroju podróżowałeś.

Ludmir.

Nie w zwyczajnym, ale może w najwłaściwszym, bo to był ubiór biednego.

Helena.

I jestżeś nim?

Ludmir.

Nie, źle się wyraziłem; biédnym nie jestem, tylko ubogim.

Helena.

Może potrzebny wsparcia?— *(porywczo ku stołowi)* nie śmiem.... nie wiele.... ale chciej. *(daje mu pieniądze)*

Ludmir.

Dobrą więc jesteś, Heleno. — Jakżeś piękna teraz! Ale pieniędzy nie potrzebuję — dziękuję ci, stokroć dziękuję. —

Helena *(prosząc).*

Sierota sierocie.

Ludmir.

Nie, nie, ale ta czynność twoja w mojej pamięci nigdy nie zgaśnie — nigdy. *(całuje ją w rękę)*

SCENA IV.

Helena, Ludmir, Janusz.

Janusz.

Panno Heleno, co to znaczy?

Ludmir.

Ja się pytam, co to znaczy panu Sułtanowi przerywać rozmowę z panią Sułtanową.

Helena.

Wielki Ochmistrzu, znasz wolę moich rodziców.

Janusz.

Czy tak bardzo się podobało?

Helena.

Proszę pamiętać, że wszystko czynię na rozkaz dziadunia, a na prośbę pana Janusza.

Janusz *(przymuszając się).*

Jestem Ochmistrzem; do mnie należy przestrzegać wszelkich uchybień przeciw przyzwoitości.

Ludmir.

Ja ci radzę, nakryj głowę i idź za drzwi.

Janusz.

Ja za drzwi?

Ludmir.

I okno otwarte.

Janusz *(hamując złość).*

Racz, Najjaśniejszy Panie, pozwolić jedno słowo do tej pani.

Ludmir.

Mów — a prędko. *(odchodzi wgłąb sceny)*

Janusz.

Panno Heleno, co pani robisz? czemu ztąd nie odejdziesz?

Helena.

Nie chce mnie puścić.

Janusz.

Ależ to nieprzyzwoicie.

Helena.

Sam pan tego żądałeś.

Janusz.

Ale teraz już nie żądam i dawno już byłbym skończył ten żart za daleko posunięty, gdyby nie pan Jowialski, którego mój kłopot jeszcze więcej bawi, niż ten z głupia-frant.

Helena.

I który bardzoby źle przyjął zerwanie tej niewinnej zabawy bez jego wyraźnego rozkazu.

Janusz.

Niewinnej! ależ ona staje się wcale winną.

Helena.

Ja tego nie widzę.

Janusz.

Tém gorzej dla waćpanny.

Helena.

Raczej dla waćpana.

Ludmir.

Prędko koniec będzie?

Janusz.

Panno Heleno, ja od siebie odchodzę— ja się stałem celem pośmiewiska.

Helena.

Cóż ja mogę poradzić?

Janusz.

Nie pozwalać tyle poufałości temu prostakowi.

Helena.

Wcale nie prostak.

Janusz.

Coraz lepiej; i ja jeszcze grać muszę komedyą.

Helena.

Jeżeli cenisz przyjaźń dziadunia.

Janusz.

Podoba się więc szewczyk Kurek?

Helena.

Panie Januszu.

Janusz.

Podoba się?

Helena.

I jakiém prawem to pytanie?

Janusz.

Prawem, prawem, że waćpannę kocham, że chcę żenić się z nią, że z kimkolwiek tak długie rozmowy

sam na sam, żadnym sposobem podobać mi się nie mogą.

Helena.

Wszak sam pan chciałeś.

Janusz.

Chciałem, chciałem... Bodajbym był nigdy nie chciał.

Ludmir.

Wynoś się Och i Mistrzu!

Janusz.

Zaraz, zaraz.

Ludmir.

A do stu piorunów siarczystych! *(dobywa pałasza)*

Janusz *(cofając się szybko).*

Poczekaj hultaju!

Ludmir.

Precz!

Janusz *(wracając z za drzwi).*

Panno Heleno!

Ludmir.

Jeszcze!

(Janusz wychodzi)

SCENA V.

Helena, Ludmir.

Helena.

Nie mogę prawdziwie utrzymać się teraz od śmiechu. Sam zaplątał się w swoje sidła.— Niech w nich siedzi, przynajmniej tém zemszczę się za tysiączne nie-

przyjemności doznane z jego powodu, a które gorzko zatruwają jasne dnie wiosny mojego życia.

Ludmir.

I ja bardzobym żałował, gdyby pan Jowialski już położył koniec temu żartowi.

Helena.

O! tą trwogą serca kołatać nie można.— Dziadunio nie tak łatwo zmienia przedmioty swoich zabaw. Nie raz to już pierwszy, że ledwie nie na klęczkach wszyscy błagać musimy, aby jakibądź żart zaprzestał.

Ludmir.

Mogę więc wpuścić do duszy nadzieję, iż jeszcze dzień cały ze mną bawić się będą?

Helena.

Wychodzi to z wszelkiego obrębu niepewności,

Ludmir.

Nie widzę zatém potrzeby odkrycia, iż nie jestem szewczykiem, coby popsuło zabawę dziadunia dobrodzieja.

Helena.

I mnie się zdaje, że niema potrzeby. Przytém i my, odwetem wzbudziwszy wesołość, jej rosą odświeżymy duszy spiekotę— Ale mogęż spytać o nazwisko?

Ludmir.

Ludmir.

Helena *(na stronie).*

Wdzięczne imie!

Ludmir.

Co się tyczy zkąd jestem, kto jestem, długiego potrzebowałbym czasu na opowiedzenie dla mnie tylko ważnych zdarzeń. A wkrótce nadejdzie Janusz, ktorego brać na męki zazdrość zaczyna.

Helena.

Zazdrość? być może— tém lepiej.

Ludmir.

Nie moglibyśmy wejść do ogrodu, odpocząć trochę.

Helena.

Dlaczegoż nie — ogród przed oknami — temi drzwiami.

Ludmir *(podając rękę).*

Służę pani!

Helena.

Zazdrość! mnie to bawi.

(odchodzą w drzwi lewe od aktorów)

SCENA VI.

Janusz *(sam; zagląda, potém wchodzi).*

Niema— gdzież się podzieli?— rzecz dziwna!... *(otwiera drzwi prawe)* Niema... *(patrzy przez okno)* A! otóż są w ogrodzie. Rękę jej podaje... brat za brat... nie trzeba tu oszaleć! *(chodzi)* Panna Helena niech mi wybaczy, ale kaducznie nieostrożna... zadaleko posuwa chęć zabaw... jeżeli tylko zabaw. *(przy oknie)* I chodzą sobie— chodzą— a ja głupi tu stoję, głupi mimo mego rozumu. *(chodzi)* Wszakże sam pan chciałeś— prawda, że chciałem, ale... *(przy oknie)* O! o! nachylają się ku sobie... śmieją się! *(chodzi coraz prędzej)* śmieją się... Jak Boga kocham śmieją się... i wszyscy spokojni... i wszyscy...

SCENA VII.

Janusz, Szambelanowa.

Janusz.

Ach pani, pani dobrodziejko łaskawa zmiłuj się, radź, ratuj— co się tu dzieje, to nie do wytrzymania!

Szambelanowa.

Sam pan tego chciałeś.

Janusz.

Wszyscy dali sobie słowo jedno mi powtarzać.

Szambelanowa.

Mój pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz byłto człowiek charakteru...

Janusz.

Cóż byłby zrobił, co mościa dobrodziejko, w takim przypadku?

Szambelanowa.

Nie byłby nic zrobił, bo będąc charakteru przezornego, dziesięć razy się cofnął, nim raz naprzód ruszył. Nie byłby rozpoczynał.— C'est cela.

Janusz.

Mościa dobrodziejko, łaskawa mościa dobrodziejko, ja źle zrobiłem, bardzo źle, ja głupi jestem, dam na piśmie; ale już się stało i o to idzie, jak przerwać ten kłopot. Oto patrz pani: panna Helena, panna Helena, którą kocham, przechadza się po ogrodzie sam na sam z tym hultajem, jak gdyby nic... jak gdyby nic.

Szambelanowa.

Proszę, proszę, romansowa panna Helena, której wszystko było za poziome, znajduje przyjemność w rozmowie z tym nieokrzesanym parobkiem.— C'est extraordinaire!

Janusz.

Wziął panią Szambelanowę za klucznicę.

Szambelanowa.

Idź waćpan i zawołaj tu Helenę.— Nous verrons!

Janusz.

Tak, zawołaj, kiedy ma pałasz i już raz dobył go na mnie; ledwie że uciekłem, powoli.

Szambelanowa.

Mój pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz byłby powiedział: ne fait rień.

Janusz *(przy oknie).*

O! o! patrz pani, w rękę pocałował.

Szambelanowa.

Nic nie znaczy, może ją o co prosi.

Janusz.

Diabła tam prosi! dziękuje, dziękuje, mościa dobrodziejko, ja ztąd widzę.

Szambelanowa.

Jednak Helena będzie żoną waćpana, wcześniej, później trochę.

Janusz.

Jakto później? tego sobie nie życzę.

SCENA VIII.

Szambelanowa, Janusz, Szambelan.

Szambelan *(nucąc podskakuje jak zawsze).*

Cóż, wielki Ochmistrzu, gdzie jest nasz Sułtan?

Szambelanowa.

Powiedz, czego się śmiejesz?

Szambelan.

O! przepraszam, nie postrzegłem cię, Basiu.

Szambelanowa.

Nie wiesz; prawda?

Szambelan.

Tak dalece...

Szambelanowa.

Śmiechu tu niema, wkradł się w dom jakiś człowiek.

Szambelan.

Wkradł?— Pan Janusz kazał go przynieść, to ty nie wiesz, że to on sprawił nam...

Szambelanowa.

Słuchać proszę. Człowiek ten, prostak w najwyższym stopniu, znalazł jednak sposób, nie mówię podobania się, ale zajęcia Heleny.

Szambelan.

Ale wszakże ona pełni tylko wolę Janusza.

Janusz.

Jest! znowu moję wolę pełni!

Szambelan.

Wszakże sam chciałeś?

Janusz.

Chciałem, chciałem do stu czartów! chciałem i głupio chciałem, ale teraz nie chcę.

Szambelan.

A więc dobrze, jak się podoba.

(chce odejść)

Janusz.

Przez Boga żywego, panie Szambelanie, jesteś przecie ojcem.

Szambelan.

Wszyscy tak mówią.

Janusz.

Użyjże swojej powagi.

Szambelan.

Dobrze, bardzo dobrze.

Janusz.

Zakaż córce, by sam na sam z tym człowiekiem nie rozmawiała.

Szambelan.

Oho! sam na sam.

Janusz *(prowadząc do okna).*

Przypatrz się— przypatrz!

Szambelan.

Ha!

Janusz.

Prawda?

Szambelan.

Dwa szczygły w samotrzasku.

(wybiega)

SCENA IX.

Janusz, Szambelanowa.

Janusz.

Szczygły! oszaleję, oszaleję... szczygły! żebym przynajmniej nie był mu pałasza przypasać kazał—szczygły! Pani dobrodziejko — pani łaskawa — zmiłuj się nade mną, radź.

Szambelanowa.

Mój pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz nauczył mnie postępować zawsze roztropnie i gdyby nie był,

niestety, zawcześnie utonął.... słyszałeś waćpan kiedy o tym okropnym przypadku?

Janusz *(patrząc w okno).*

Słyszałem, słyszałem już dwa razy, trzy razy słyszałem...

Szambelanowa.

Ale pewnie nie ze wszystkiemi szczegółami. Roku 1807 nocowaliśmy w karczmie nad samym brzegiem Wisły, gdyż kry idące przewozu na żaden sposób nie dozwalały.— Wtém, koło północy — hałas — łoskot, szum nadzwyczajny budzi nas i trwoży.—Woda! woda! krzyczą... Zrywamy się... woda już w sieni — noc najciemniejsza. — Służąca porywa kołyskę z naszym synkiem. — Wybiega — krzyczy. — Pierwszy mój mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz, który komenderował francuzką brygadą, złożoną du douxième et quinzième de Chasseurs cheval, biegnie, morbleu! zkąd krzyk.— Ja mdleję! — Przyszłam do siebie na blizkiém wzgórzu, dzień już był—karczmy ani znaku— zaparte kry....

Janusz.

Weszli do altany!

SCENA X.

Pan Jowialski, pani Jowialska, Janusz, Szambelan.

Janusz *(do Jowialskiego).*

Weszli do altany, mości dobrodzieju! Zmiłuj się, pozwól, niech się to wszystko już skończy—dłużej wytrzymać nie mogę.

P. Jowialski.

Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Janusz *(prosząc).*

Panie dobrodzieju. *(do Pani Jowialskiej)* Pani dobrodziejko. *(do Szambelanowej)* Pani Szambelanowo.

P. Jowialski.

Ale wszakże sam chciałeś.

Janusz.

A! już zginę, umrę, skonam z tém wieczném: sam chciałeś.

P. Jowialski *(śmiejąc się).*

Jakiegoś piwka nawarzył, takie wypij.—I to wszystko, nie stosując jednak do osób, przywodzi mi stosowną jednę bajeczkę na pamięć.

Janusz.

Jeżeli mnie jutro nie pochowają, wiecznie żyć będę.

P. Jowialski.

Słuchajże panie Januszu.

Janusz.

Słucham, słucham. *(na stronie)* Ach, gdyby kto do mnie w ten moment z armaty wypalił, w rękę bym go pocałował.

P. Jowialski.

Powtarzam jeszcze, że nie stosuję do osób— zaczynam:

Rada małpa, że się śmieli,
Kiedy mogła udać człeka,
Widząc panią raz w kąpieli,
Wlazła pod stół— cicho czeka.
Pani wyszła, drzwi zamknęła,
Małpa figlarz nuż do dzieła!

Wziąwszy pański czépek ranny,
Prześcieradło
I zwierciadło,
Szust do wanny!—
Dalej kurki kręcić żwawo
W lewo, w prawo,
Z dołu, z góry,
Aż się ukrop puścił z rury.
Ciepło— miło— niebo— raj!
Małpa myśli: w to mi graj;
Hajże kozły, nurki, zwroty,
Figle, psoty,
Aż się wody pod nią mącą.
Ale ciepła coś za wiele....
Trochę nadto... Ba, gorąco!..
Fraszka! małpa nie ciele,
Sobie poradzi:
Zkąd ukrop ciecze,
Tam palec wsadzi.
Aj gwałtu! piecze!
Niema co czekać,
Trzeba uciekać:
Małpa wnogi—
Ukrop za nią— tuż, tuż w tropy,
Aż pod progi.
Tu nie żarty, parzy stopy...
Dalej w okno... brzęk!— uciekła.
Że tylko palce popiekła,
Nader szczęśliwa.—
Takto zwykle małpom bywa,

P. Jowialska.

O dla Boga! Co też to w głowie!

Janusz.

Do kogoż to ma być zastosowane?

P. Jowialski.

Uderz w stół, nożyce się odezwą.

Janusz.

Widzę, że do mnie zmierza.

P. Jowialski.

Na złodzieju czapka gore.

Janusz.

Takażto wdzięczność za moje usiłowania, aby zabawić waćpana dobrodzieja?

P. Jowialski.

Nie gniewaj się, nie gniewaj; wiesz, że lubię pożartować; a potém: Co bardziej dokuczy, to rychlej nauczy.

Szambelanowa.

Aż nadto lubisz jegomość żartować, powiem szczerze, bo lubię prawdę powiedzieć powoli, grzecznie i wyraźnie. Żartowi poświęcasz przyzwoitość, a może i co więcej, cierpiąc, aby Helena w takiém znajdowała się towarzystwie.— C'est mal.

P. Jowialski *(na stronie).*

Woda jest, będziemy pytlować.

Janusz.

To jest prostak bez najmniejszej grzeczności.

P. Jowialski.

Zkądże chcecie aby ją miał? To tylko u Francuzów trafiają się przykłady nadzwyczajnej grzeczności, jakto nas uwiadamia następująca dykteryjka.

Janusz.

Ach!

P. Jowialski.

Przebacz waćpan niezgrabność, mówił kat łotrowi,
Pierwszy raz dzisiaj wieszam, jestem nowym katem.
—Proszę się nie żenować, łotr grzecznie odpowie,
Pierwszy raz mnie wieszają, nie poznam się na tém.

P. Jowialska.

Bodajże jegomości! figle, figle!

Janusz.

Waćpan dobrodziej może nie wiesz, że już od godziny ów pan Kurek z panną Heleną sam na sam rozmawia.

P. Jowialski.

Pewnie ją to bawi, albo raczej stosuje się do twojego żądania. Wszakże sam chciałeś.

Janusz.

Znowu! panie Jowialski! łaskawy panie! królu! nie powtarzaj tych słów: sam chciałeś, bo zmysły utracę.

P. Jowialski.

Zatém będę mówił: sam nie chciałeś, aby Helusia odsunęła się od tego żartu. Tak, dobrze?

Janusz.

Niema ratunku, muszę cierpieć. Ale proszę się zastanowić, że tu coraz gorzej...

P. Jowialski.

Im dalej wlas, tém więcej drew.

Janusz.

Porwał się na mnie do pałasza.

P. Jowialski.

Doprawdy?

P. Jowialska.

Nie chodźże tam, panie Jowialski.

P. Jowialski.

Któż dał pałasz?

Janusz.

Ja kazałem.

P. Jowialski.

A więc sam chcia... nie, nie, sam nie chciałeś aby nie miał pałasza. Ale co to za dziecinna trwoga! co w moim domu, śród tylu ludzi może zrobić biedny szewczyk? Rozumie on dobrze teraz co się z nim dzieje, ale zawsze mnie bawi. *(na stronie)* A więcej Janusz.— *(głośno)* Helusia zaś nie dziecko, wie co robi.

Szambelanowa.

Mój pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz zwykł był mawiać: dowód dobrego wychowania, umiarkowanie w żartach.— Vous comprenez?

P. Jowialski.

Z żartem jak z solą, nie przesadź bo bolą. Zatém obiecuję wam, że tylko do obiadu trwać będzie. Ale za to wy przyrzeknijcie, zwłaszcza Janusz, że swój plan własny...

Janusz.

Ach mój!...

P. Jowialski.

Troskliwie utrzymywać będzie. Przyrzekasz? inaczej aż do jutra.

Janusz *(patrząc na zegarek).*

Pół do pierwszej— godzina jeszcze— niech i tak będzie. *(na stronie)* Ale potém każę przeciągnąć hultaja za jego niewidzianą bezczelność.

P. Jowialski.

No, wypogódź czoło i pomagaj do zabawy, bo ja bawić się lubię— każde zaś uchybienie z twojej strony

pociągnie za sobą jednę godzinę przedłużenia tej komedyi.

SCENA XI.

P. Jowialski, p. Jowialska, Szambelanowa, Janusz, Szambelan.

Janusz.

Gdzież są?

Szambelan.

Zamknąłem w moim pokoju.

Janusz.

Razem, razem?

Szambelan.

Razem.

Janusz.

Razem, panie Szambelanie! panie Jowialski, pani Szambelanowo, pani Jowialska, razem ich zamknął.

P. Jowialski.

To zanadto, panie Janie. Zbytek kazi pożytek; jak mówi przysłowie.

P. Jowialska.

Panie Janie! panie Janie.

Szambelan.

Cóż złego mamuniu?

Szambelanowa.

Mój pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz, r. 1807...

Janusz.

Może i tego chciałem— proszę państwa, proszę najpokorniej— czy i tego chciałem? Biegnę.

Szambelan.

Hola! poco?

Janusz.

Otworzyć.

Szambelan.

Może wypuścić?

Janusz.

Puść mnie pan.

Szambelan.

Co panu do moich szczygłów?

Janusz.

Tu nie o szczygłach mowa.

Szambelan.

O czémże?

P. Jowialski.

Jeden do Sasa, drugi do lasa. Hola, stójcie! Wielki Kuchmistrz koronny mówi o ptaszkach, które pewnie złowił, a wielki ochmistrz pyta się o swojego pana, Sułtana Mirzę...

SCENA XII.

Pan Jowialski, pani Jowialska, Janusz, Szambelan, Ludmir.

(Helena i Szambelanowa po kilku słowach wgłębi, wychodzą razem)

Ludmir.

Bardzom kontentny, że tu wszyscy jesteście. Kucharzu wielki — pan jeść chce — obiad gotów?

Szambelan.

Jeszcze nie, Najjaśniejszy Panie.

Ludmir.

Cóżeś robił dotychczas? każę cię połaskotać rzemieniem. *(do Jowialskiego)* Stróżu pieczętarzu, ckni mi się.

P. Jowialski.

Cóż rozkażesz?

Ludmir.

Baw mnie. *(wyciąga się na dwóch krzesłach)* Och i Mistrzu! fajki!

Szambelan.

Najjaśniejszy Pan woła.

Ludmir *(do Janusza)*.

Zapominasz się w usłudze— każę cię w śniegach zakopać, fajki przynieś!

Janusz.

Przeklęty...

P. Jowialski *(grożąc)*.

Godzina!

Janusz.

Zaraz przyniosę. *(na stronie)* Hultaj!

Ludmir.

A zatém, pieczętarzu, gadaj mi co uciesznego, ja sy będę drzémał.

P. Jowialski.

Dobrze, Najjaśniejszy Panie. *(na stronie)* Ucieszne stworzenie! *(do syna)* Panie Janie, słuchaj:

Najczęściej sprzeczka z niczego się wznieci,
Jak to między małżeństwem raz poszło o dzieci.
Mąż utrzymywał że lubo nadobne,
Jednak do niego całkiem niepodobne;
Żona zaś powtarzała: podobne z urody
Do swego ojca, jak dwie krople wody.
O cóż im chodzi? wszystkich sprzeczką zadziwili,
Bo żona prawdę mówi, a mąż się nie myli.

P. Jowialska.

O mój Boże! co też ten jegomość nie wygaduje! figle! figle!

Ludmir *(do podającego fajkę Janusza, z odwróconą twarzą).*

Hubka jest?

Janusz *(przez zęby).*

Jest.

Ludmir.

Podmuchaj!

Janusz *(na stronie).*

Ach, dmuchnąłżebym cię, dmuchnął!

Ludmir.

No, staruszku! więcej!— ładnie gadasz— gadaj dalej.

P. Jowialski *(do Janusza i Szambelana).*

Uważacie jakie wrażenie robi dowcipne słowo. Natura każe i prostakowi znajdować upodobanie w moim sposobie mówienia.

Szambelan.

Zamieniał stryjek za siekierkę kijek.

P. Jowialski.

Co to?

Szambelan.

Przysłowie.

P. Jowialski.

Ale do czego stosujesz?

Szambelan.

Do niczego.

(pan Jowialski wzrusza ramionami)

Ludmir.

Co wesołego, staruszku.

P. Jowialski *(po krótkiém milczeniu).*

Ażeby dostać kawałek kiełbasy,
Zgodnym sposobem wziął chłopiec trzy basy.

Ledwie się strzepnął i skarbem nabytym
Łzy ocierając, powąchał go przytém,
Biegnie ze szkoły wygłodniały żaczek:
„Stój! krzyczy— nie jedz, odkupię przysmaczek.“
Mądryś! odpowie właściciel kiełbasy,
Dopiéro za nią dostałem trzy basy.
—Dajże mi pięć, a daj ją zjeść.
Targ w targ, wyrzepił mu sześć,
I dał
Co miał.
Grosz na groszu— lichwa czysta,
Jednak kapitalista
Rozważywszy sobie,
Coś się w głowę skrobie.—
Nie tylko to szkolne żaki,
Biorą z handlów skutek taki
Często
Gęsto
Los szalony,
Gdy z rachubą pójdzie w tuzy,
Stratą— plony;
Zyskiem— guzy.

P. Jowialska.

O dla Boga! guzy! co też ten pan Jowialski dalej nie wymyśli.

Ludmir.

No, teraz kolej na ciebie, Och i Mistrzu! Co umiesz? tańczyć— śpiewać? co?— Pan zakazuje w swojém państwie smutku — kto dobrowolnie nie zechce być wesołym, będzie do tego przymuszony.

Janusz.

Ja nic nie umiem.

Ludmir.

Jesteś Hebes? Co? *(wstając)* Dosyć więc tego. *(innym tonem)* Usiłowania wasze, panowie moi, miłemi są sercu naszemu ojcowskiemu. Staraliście się zabawić mnie wszelkiemi sposobami i trzymając się rzetelnej średnicy, zaspokoiliście zupełnie moje obawy, wynikające z położenia rzeczy. Przyjmijcie, panowie moi, stokrotne podziękowanie i bądźcie przekonani o naszej niezmiennej ku wam łasce i życzliwości.

(zadziwienie powszechne)

Dziwicie się, iż innym językiem przemawiam niż dotąd. Dotknięcie tronu zmienia człowieka. Czém byłem, nie jestem.— Bo szanowny Kanclerzu, zapewne jest ci znane przysłowie: Przybądź szczęście, rozum będzie.

(pan Jowialski zadziwiony nie mogąc słowa wymówić, cofa się krok, Ludmir za nim — za każdém przysłowiem toż samo)

Jak szczęście dogrzeje i kapłon zapieje! Ale też i przeciwnie, mój Kanclerzu: I mądry głupi, gdy go nędza złupi. Bo lepszy funt szczęścia, niż cetnar rozumu.

P. Jowialski *(odurzony kłania się serio).*

Najjaśniejszy Panie. *(do żony)* Małgosiu, to jakiś wielki człowiek.

Szambelan *(na stronie).*

Panie Januszu, co to znaczy?

Janusz *(na stronie, do Szambelana).*

Źle znaczy— coraz gorzej— teraz rozumiem Helenę.

SCENA XIII.

Ciż sami, **Lokaj**.

Lokaj.

Wójt przyprowadził jakiegoś wędrownika.

P. Jowialski.

Poco? naco?

Lokaj.

Chciał we wsi konie najmować.

Ludmir *(na stronie).*

Co słyszę! Wiktor!

Lokaj.

Nie mając drobnych pieniędzy, chciał zmienić dukata.

Ludmir *(na stronie).*

Wybornie!

Lokaj.

Wójta to uderzyło w oczy— spytał się o pasport— pasportu nie było.

Ludmir *(na stronie).*

Wierzę, bo jest u mnie.

Lokaj.

Dla tego wójt pyta się, co pan każe z nim zrobić.

Ludmir.

Niech tu przyjdzie.

Lokaj.

Pan każe?

Ludmir.

Ja każę.

Szambelan *(do Janusza).*

Może każesz go przebrać.

Janusz.

Dajże mi pan pokój!

SCENA XIV.

Ciż sami, Wiktor.

(Wiktor cofa się z zadziwienia, potém po wszystkich spogląda — chwila milczenia)

Ludmir.

Bliżej!

Wiktor.

I ty tu! Ale cóż to jest?

Ludmir.

Tambambuktuhan.

Wiktor.

Właśnie mnie żarty w głowie — kto jest gospodarzem?

Ludmir.

Mirza Ali Mustafa.

Wiktor *(do drugich).*

Proszę panów...

Ludmir.

Kto jesteś?

Wiktor.

Szalony!

Ludmir.

Gdzie jest mój kassyer? Niech wyliczy temu młodzikowi dwieście bizunów w pięty.

Wiktor.

Oddaj mi mój pasport, potém szalej sobie dowoli.

P. Jowialski.

Któż jesteś, przyjacielu?

Wiktor.

Jestem niczém, ale zowię się Wiktor. Podróżowałem diabli wiedzą po co z łaski tego szaleńca, który spokojnie gra komedyą, kiedy mnie jak łotra ze wsi przyprowadzono. Za pozwoleniem siądę, bo ledwie stoję.

Szambelan *(do Janusza).*

Brawo! drugi taki sam.

Janusz *(do Szambelana).*

Niedobrze, niedobrze.

Ludmir.

Dość tych żartów.— Tak jest, panowie, to jest mój przyjaciel i towarzysz.

P. Jowialski.

Ale kto waćpan jesteś? bo nie urażając, przysłowie mówi: — Cygan świadczy się swojemi dziećmi.

Ludmir.

Ja jestem amator poezyi, on—malarstwa; ja zowię się Ludmir, on—Wiktor—resztę, jeżeli potrzeba, wyjaśnią nasze papiery. Teraz wypada mi przeprosić wszystkich panów po kolei, iż pozwoliłem sobie użyć prawa odwetu.

P. Jowialski.

Wet zawet, darmo nic— Byka za indyka.

Ludmir.

Nie spałem w ogrodzie, ale dałem się przenieść, aby nie psuć zabawy.

Szambelan.

Ja się cieszę.

P. Jowialski.

Nie taki diabeł czarny, jak go malują.

Janusz.

Oj czarny, czarny, mości dobrodzieju.

P. Jowialski.

Nadto dobrze bawiliśmy się nie znając się, abym poznawszy zezwolił na prędkie rozstanie. Dzisiaj nie puszczę.

Janusz *(na stronie).*

Otóż macie!

P. Jowialski.

Koła każę pozdejmować.

Ludmir.

To za trudno— bo pieszo podróżujemy— ale musu nie potrzeba— chętnie w tak miłém towarzystwie parę dni zabawimy.

Janusz *(na stronie).*

Parę dni! Drugi powie tydzień.

Wiktor.

Nic jeszcze nie rozumiem— ale bylem dalej nie szedł, wszystko dobrze.

P. Jowialski.

Cóż Januszu? jeszcześ ponury. *(do drugich)* Ma na sercu, że mu się nie powiodło. A mnie się zdaje, że się bardzo powiodło. Nareszcie, mój kochany, najczęściej plany ludzi, jak i twój, na śnie zbudowane. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Janusz.

Nim ta myśl przyszła, wolałbym żeby pioruny...

P. Jowialski.

Hola, hola! byś tak nie skończył, jak ów kłamca— słuchajcie:

Jeżeli kłamię, niech mnie piorun trzaśnie!
Tak zaczął kłamca— wtém zagrzmiało właśnie.
A on czém prędzej dokończając mowy:
Żem zawsze kłamał i kłamać gotowy.

P. Jowialska.

Figle, figle!

P. Jowialski.

Chodźmy rozbisurmanić się teraz. Panie Janie, pokaż panom gościnne pokoje.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

SCENA I.

Szambelan *(sam).*

(Szambelan siedzi przy stoliku, na którym leży kilka patyków i nucąc jeden struże – potém przymierza do już ustruganego.)

Jeszcze trzeba strugać. *(nuci i struże, po krótkiém milczeniu)* Gruby można zestrugać, ale cienki, zje kaduka, kto grubszym zrobi. *(po krótkiém milczeniu, rozśmiawszy się)* Pewnie że nikt nie potrafi. *(po krótkiém milczeniu)* Z tego by nawet można przysłowie wymyśleć— naprzykład: Łatwo grubemu kijkowi.... nie: Łatwiej cienki... źle: Gruby cienkiego kijka.... nie, nie: Łatwo kijek grubowego... Bodaj cię! z grubego na gruby... czy kaduk nadał! *(śmieje się)* Ani rusz! *(przymierza patyki)* Tymczasem dość będzie.

SCENA II.

Szambelan. Helena.

(Helena wchodzi zamyślona i rzuca okiem jakby kogo szukała, potém oparłszy się na poręczy krzesła, patrzy na robotę ojca.)

Helena *(po krótkiem milczeniu).*

Co to będzie mój ojcze?

Szambelan.

Klatka, moja córko.

Helena.

Byłabym nie zgadła.

Szambelan.

Tak będzie cztéry kijki jak słupki — rozumiesz? A tu dwa, rozumiesz? A tu pręciki — rozumiesz?

Helena.

Teraz rozumiem.

Szambelan.

To dla tych kanarków, coto jeden z czubkiem, drugi z ciemną łatką.—Wiesz?

Helena.

Wiem.

Szambelan.

Co teraz wiszą nad mojém łóżkiem.

Helena.

To będzie bardzo ładnie.

Szambelan *(zawsze strużąc i przymierzając).*

Zobaczysz jak skończę.

Helena *(po krótkiém milczeniu).*

Pan Janusz nie potrafiłby tego.

Szambelan.

Wierzę.

Helena.

Nie cierpi ptaszków.

Szambelan.

Gbur.

Helena.

On nawet nie rozpozna gila od szczygła.

Szambelan.

Cymbał.

Helena.

Prawda, kochany ojcze, że ja nie pójdę za niego?

Szambelan.

Nie pójdziesz, nie pójdziesz jak tylko nie zechcesz, już ci raz powiedziałem — a co powiem, tom powiedział. *(Helena chce go w rękę pocałować)* Czekajno! bo sobie popsuję.

Helena *(po krótkiém milczeniu).*

Czy długo tu zabawi pan Ludmir?

Szambelan.

Zapewne parę dni, albo parę tygodni.

Helena.

Parę tygodni.

Szambelan.

Cieszy cię to?

Helena.

Przynajmniej nie smuci.

Szambelan *(przypatrując się swojemu kijkowi).*

Jeszcze nieoskrobany.

Helena.

Nieoskrobany! nieokrzesany, chcesz mówić, to jest: zanurzony jeszcze w nocy nieukształcenia? Ach nie, drogi ojcze. Jego uczucia już przechodzą w idealizm, dźwięki jego duszy są tak czyste, tak lube, iż mimowolnie słuch zachwycony pociągają za sobą.

Szambelan.

Ty mówisz o Ludmirze?

Helena.

Tak jest.

Szambelan.

Bo ja mówiłem o kijku. *(po krótkiém milczeniu)* Podoba ci się więc?

Helena.

Kijek?

Szambelan.

Ludmir.

Helena.

Komuż, posiadającemu wyższe pojęcie dobrego, nie podobałby się taki człowiek?

Szambelan.

To idź za niego.

Helena.

Żartujesz, kochany ojcze.

Szambelan.

Dlaczego żartuję?

Helena.

Nie wiemy kto on jest.

Szambelan.

Prawda, nie wiemy.

Helena.

Ale możemy się dowiedzieć.

Szambelan.

Nic łatwiejszego.

Helena.

Starać się będę poznać go dokładnie.

Szambelan.

Staraj się, moja córko, dokładnie.

Helena.

Powierzchowność ma ujmującą.

Szambelan.

W samej rzeczy, ma powierzchowność.

Helena.

Gdyby chciał odjeżdżać, nie pozwolisz na to; prawda, ojcze?

Szambelan.

Nie pozwolę na żaden sposób.

Helena.

Będzie uciechą całego domu.

Szambelan.

Nic z niego nie będzie hm! hm!

Helena.

A to dlaczego?

Szambelan.

W jednym końcu nadpsuty — patrz. *(pokazuje strugany kijek)*

Helena.

Łatwo o inny.

Szambelan.

Łatwiej grubego kijka, który... tak, łatwiej gruby... gdzież idziesz?

Helena.

Przejdę się po ogrodzie.

Szambelan.

Idź moja Helusiu, przyszlę ci Ludmira jak go zobaczę.

(Helena odchodzi w lewe drzwi

Szambelan *(sam).*

Oho, ho!.. inaczej tu trzeba wziąść się do interesu.— Już dłużej wytrzymać nie mogę.— Myślisz, że ze mną można robić co ci się podoba?— nic z tego.— Pójdziesz mi, panie gilu, do osobnej klatki! — Zięba zostanie z dzwońcem — czyżyk przejdzie do czeczotki— kosa dam na pieczyste.

SCENA III.

Szambelan, Janusz.

Janusz.

Dobrze, że pana samego zastaję, właśnie chciałem z nim pomówić.

Szambelan.

Dobrze, bardzo dobrze, siadajże.

Janusz.

Nie może być dla mnie rzeczą przyjemną widzieć tę, którą za żonę sobie wybrałem, w towarzystwie ludzi z drogi zebranych.

Szambelan.

Bardzo dobrze mówisz.

Janusz.

Zwłaszcza gdy jeden z nich ośmiela się mnie, mnie pod nosem zalecać się do osoby, którą oddawna za narzeczoną uważałem.

Szambelan.

Zaleca się! pod nosem! proszę!

Janusz.

A co gorzej, że panna Helena uwłacza swojej godności, pozwalając na ogniste wejrzenia i rozmowy sam na sam.

Szambelan.

Doprawdy?

Janusz.

Wszak sam pan widziałeś.

Szambelan.

Prawda, widziałeś.

Janusz.

Chciej zatém pan przełożyć córce....

Szambelan.

Bardzo dobrze, wszystko jej przełożę.

Janusz.

Mogę więc spuścić się na jego obietnicę.

Szambelan.

Z wszelką pewnością.

Janusz *(zatrzymując go).*

Jeszcze jedno słowo.

Szambelan.

Nie mam czasu—muszę—muszę pójść po pręciki do ogrodu.

Janusz.

Po pręciki! Ależ tu o córkę idzie.

Szambelan.

Klatka córce nie przeszkadza.

Janusz.

Jedno tylko słowo.

Szambelan.

Chcesz, chodź ze mną — ja czasu tracić nie lubię— masz nóż przy sobie?

Janusz.

Idę więc, idę. *(na stronie)* Dobrze mówiła Szambelanowa.

(odchodzą w lewe drzwi)

SCENA VI.

Ludmir *(ze środkowych)*, **Wiktor** *(z lewych drzwi, później trochę)*.

Ludmir.

A to co? Włóczę się od kąta do kąta — nikogo spotkać nie mogę. Cóż oni myślą? że ja tu rok bawić będę dla ich opisania? *(do Wiktora)* Nie widziałeś jakiej gałązki ze szczepu Jowialskich?

Wiktor *(złego humoru)*.

Spotkałem Szambelana i Janusza, poszli do ogrodu

Ludmir.

Każda chwila spędzona bez kogokolwiek z tego domu, jest stratą dla mojego dzieła. Chodzę za niemi—

szukam, nikogo znaleźć nie mogę. - Cóż mówisz na nasze dzisiejsze wypadki?

Wiktor.

Bardzo ucieszne.

Ludmir.

Ty gniewasz się jeszcze, a wcale niesłusznie.

Wiktor.

Mów co chcesz, ja nadto znam ciebie, abym mógł przypisać jedynie przypadkowi zatrzymanie mojego pasportu.

Ludmir.

Na honor, że przypadkiem — ale wyznam szczerze, że byłbym pewnie to zrobił, gdyby mi przyszła była wtenczas myśl tak szczęśliwa. — *(po kr. mil.)* Miałem już rozdziałów jedenaście; teraz następuje rozdział XII: Przybycie do Pustakówki, i rozłączenie się z Wiktorem.

Wiktor.

Proszę mnie nie wymieniać.

Ludmir.

To się rozumie, to tylko tymczasem. – Dam ci inne, stosowne jakie nazwisko.

Wiktor.

Stosowne—jakieżto będzie?

Ludmir.

Naprzykład: —Płomieniec.

Wiktor *(śmiejąc się).*

Szalony!

Ludmir.

Rozdział XIII: Wniesienie Ludmira do domu Jowialskich.

Wiktor.

A Ludmir jak się zwać będzie? Ja go nazwę, albo rysunków nie dam.

Ludmir.

Dobrze, nazwij — tylko pamiętaj, że to bohater dzieła — śmiesznego nazwiska dać nie można.

Wiktor.

Wyszukam stosowne.

Ludmir.

Rozdział XIV. Maskarada i t. d. Rozdział XV. Helena... Wiesz ty, że Janusz zazdrośny— muszę dlatego do Heleny zalecać się trochę, to mi da Rozdział XVI.

Wiktor.

Godziż to się?

Ludmir.

Dlaczego nie?— ja zbieram kłosy na mojém polu, na polu śmieszności.

Wiktor.

Ale to nie śmieszność, różnić kochających się wzajemnie.

Ludmir.

Wcale nie wzajemnie. Helena Janusza nienawidzi, a ja ją za to więcej szanuję, bo cóż też nieznośniejszego jak ta figura, dubeltówka głupstwa— gdyż raz głupia, bo niema rozumu; a drugi raz, bo myśli, że ma rozum. Helena ładna, w głowie trochę przekręcona, ale zasoby są wielkie, możnaby je łatwo wykształcić.

Wiktor.

Podaj się za guwernera.

Ludmir.

Żeby mnie tylko przyjęto.

Wiktor.

Sprobuj, wszakże to dom waryatów.

Ludmir.

Helena romansowa, nawet kaducznie romansowa, ja także....

Wiktor.

Ty romansowy?...

Ludmir.

Udawać muszę.— Nigdy nie dasz skończyć.

Wiktor.

Ależ bo ty i udać romansowego nie potrafiisz. Ty miałbyś pojąć, coto jest uniesienie uczucia; ty, któryby ś groby otwierał, gdybyś wiedział, że tam ziarnko śmieszności znajdziesz.

Ludmir.

Oho! widać żeś jeszcze zły na mnie— bo tak nie myślisz.— Wesołość uczucia nie wyłącza. Autor za swoje myśli odpowiadać jako człowiek nie może. Bo taką rzeczą za każdą kartkę chłostałby go kto inny. A ty, kiedy naśladowałeś obraz sławnego Guido Reni: Rzeź niewiniątek, byłżeś złym człowiekiem— byłże twój mistrz zabójcą?

Wiktor.

O, wymowa jest, i dlatego że jest, ja tu dzisiaj siedzę z bolącemi nogami.—

Ludmir.

Ale Rozdział XVII będzie koroną dzieła: Powrót mimowolny Płomieńca.

Wiktor *(gniewnie).*

Znowu zaczynasz?

Ludmir.

„Utnij mi język albo mówić pozwól. Co za zdarzenie! nawet szkoda go na prozę., Jakże to było? powtórz. Ty chciałeś nająć ów wózek, który miał cię

przenieść do twojego cichego, lubego pokoiku, do twoich ołówków, penzlów, obrazów, gdzie miałeś ów napis sążniowy wyrysować— ręczę, że kształt jego cały miałeś w głowie... Aż tu pan wójt: Hola! Cóż ty nato?

Wiktor.

Ludmirze!"

Ludmir.

Znowu się gniewasz— No, już cicho, cicho.

Wiktor.

Ja ci tego nie daruję.

Ludmir.

Wiktorze! ty masz duszę z kamienia, kiedy tyle skarbów dotknąć jej nie może. Jowialski ów klejnot oryginałów; Jowialska cień jego— para doskonała, jak tych papug, które zowią: les inseparables;— Szambelanowa niegdy Jenerałowa, z przekręconą francuzczyzną, ale najrozsądniejsza; Szambelan ta nula, ten próżny pęcherz w peruce; Janusz z intrat rozumny; Helena w eterze krążąca. Wszystko to nie może wymazać z twojej pamięci małych przeciwności, których przypadkiem, na honor, przypadkiem doznałeś.

SCENA V.

Ludmir, Wiktor, Helena.

Ludmir *(na stronie, do Wiktora).*

Helena nadchodzi— zostaw nas samych— wiesz, że w troje jakoś nie idzie.—

Wiktor *(jakby nie słyszał).*

Pani wracasz z ogrodu— używasz pięknej pogody.

Helena.

Tak jest, byłam u moich kwiatów; wzniosłam skromny fijołek, którego dumna róża zaćmiła. — Rezedę złączyłam z tulipanem; tu woń, tam kształt, razem będą jedną doskonałą całością.— Lilią czystej białości zasłoniłam od blasku: w cieniu szczęśliwa, równie jak niewinność której obrazem.

Wiktor.

Lube zatrudnienie, pielęgnowanie kwiatów.

Ludmir *(na stronie).*

Odejdź, proszę cię, Wiktorze.

Wiktor *(jak wprzódy).*

I tém więcej użycza przyjemności, im więcej kto jest zdolny, nadając im duszę stosowną, nowy świat uczucia koło siebie tworzyć.

Ludmir *(na stronie).*

Odejdźże mój Wiktorku.

Helena.

Dobra uwaga — między temi nowo utworzonemi duszami wyobraźnią naszą, można znaleźć rzetelne szczęście — Tam niema zdrady, obłudy, niewdzięczności.

Wiktor.

Nie trzeba zanadto...

Ludmir *(na stronie).*

Idźże do diabła, proszę cię!...

Wiktor.

Nie trzeba za nadto oddawać się myślom zbyt bolesnym, jakoby świat był tylko złem napełniony; a pani do tego zdajesz się zmierzać.

Ludmir.

Przynieś pani kilka kwiatów.—Jako znawca będziesz umiał najlepiej dobrać ich kolory i malowny

nadać kształt wonnemu bukietowi. *(na stronie)* Idźże, idź do stu piorunów!—

Helena.

Ach nie, proszę kwiatów nie zrywać; i tak krótkie chwile ich życia — jeden tylko uśmiech wieczności — nacóż porywczą ręką przyśpieszać zniszczenie.—Kwiat, gdy raz opadnie, przyszłości już niema.

Wiktor.

Śmiejże się teraz Ludmirze.

Ludmir.

Z czegoż mam się śmiać?

Wiktor.

Wszak zawsze śmiałeś się, kiedy ja podobnie zachwycałem się pięknością natury.

Ludmir *(cicho do Wiktora).*

Zdrajco!

Wiktor.

Nazywałeś to szaloną romansowością.

Ludmir.

Ja? ja? *(do Wiktora, na stronie)* Co ty robisz? człowieku!

Wiktor.

Nie uwierzysz pani, jakie między nami zawsze kłótnie, lubo pewnie niema w świecie lepszych przyjaciół.—Ludmir wszystko bierze tak, jak zmysły podają. *(Ludmir trąca go łokciem)* Nie przypuszcza żadnego uniesienia władz duszy za krańce dotykalnego, a przynajmniej zaocznego świata.

Ludmir *(na stronie).*

Morderco!

Helena.

Zdziwiasz mnie pan niewymownie. Byłam wcale innego przekonania; i z rozmów, które miałam ukon-

tentowanie mieć z panem Ludmirem, wcale inny wróżyłam charakter.

Ludmir.

Ale i tak jest w istocie.

Wiktor.

On teraz dla przypodobania się pani gotów udawać.

Ludmir *(na stronie).*

Wiktorze, nadto tego.

Wiktor.

Gotów unosić się po najdalszym przestworze idealizmu, kiedy tymczasem po ziemi chodzi, aż w niej grząźnie.

Ludmir *(do Wiktora).*

Gubisz mnie.

Helena.

Pozwól pan, że to wezmę za żart tylko, prześladujący przyjaciela.— Udawanie od prawdziwego uczucia łatwo rozpoznać, i dosyć być z kim pół godziny, aby uchwycić wątek jego sposobu myślenia.—

Wiktor.

Ale nie autora.

Ludmir *(śmiejąc się głośno z przymuszeniem).*

Co to za głowa! Co za pustota! Nieprzebrane koncepta! Pani nigdybyś nie zgadła, widząc tę dziką i ponurą fizys, że to jest jeden z najweselszych, z najrozpustniejszych, powiem, ludzi.— On jeden posiada dar rozpędzać chmury żalu, kiedy czasem opadną na horyzont uczucia mego. Bo któż nie zna owej błędnej tęsknoty, ogarniającej całą istotę naszę, a której przyczyny odgadnąć trudno — owego pragnienia, żądania czegoś, czego nawet przeczucie w przyszłości ledwie dostrzedz może, tak jak oko w mgłę rzucone, kiedy ściga światełko, co gdzieś... *(oznaczając oddalenie)* gdzieś... gdzieś...

Wiktor.

Scenę pisze, ręczę pani.

Ludmir.

Wiktorze!

Wiktor.

I nie scenę, ale rozdział.—Który to XVIII czy XIX?

Ludmir *(na stronie).*

Czyś ty oszalał!

Wiktor.

Wie pani co mi ciągle szepce?

Ludmir.

To głośno powtórzę. Czyś ty oszalał tak daleko żart posuwać przed osobą, której być znanemi nie mamy zaszczytu, a której dobre mniemanie zawsze liczyć będę za jednę z najkosztowniejszych zdobyczy w mojém życiu.

Helena.

Prawdziwie — teraz nie wiem co myśleć.— Dzień dzisiejszy zdaje się przeznaczony na same zawiłości, które tylko...

Ludmir.

Oddźwięk uczucia rozplątać może.

SCENA VI.

Ciż sami, Szambelan.

(wbiega nucąc, z pękiem prętów w ręku)

Szambelan.

Patrz Helusiu.

Ludmir *(na stronie).*

Zabiłeś, morderco, najlepszą sposobność z nią mówienia.

Wiktor *na stronie).*

Doprawdy? czemuż nie powiedziałeś?

Ludmir *(na stronie).*

Dawnożeś ogłuchł?

Wiktor *(na stronie).*

Nie gniewaj się, to przypadkiem, prawdziwie przypadkiem.

Szambelan *(do Heleny, kończąc rozmowę cichą).*

Rozumiesz teraz? *(kładzie pręty)* Panowie wypoczęli sobie z podróży.

Ludmir.

Zupełnie.

Wiktor *(na stronie, ironicznie).*

Zapewne.

Szambelan.

Bardzo się cieszę, że jakiś czas zostaniecie z nami, bardzo mi miło będzie zabrać dalszą z nimi znajomość.—Pan Ludmir.... *(całuje go z obu stron)* Pan książki piszesz?

Wiktor.

O, pisze! i teraz nawet...

Szambelan *(niedając skończyć uściśnieniem).*

Pan Wiktor....

Ludmir.

Jeden z najsławniejszych malarzy.

Szambelan.

Hm!

Ludmir.

Skończył niedawno wielkie dzieło.— Zostanie zaszczytem narodu, a nawet i wieku w którym żyjemy.— Jego kompozycya, penzel i koloryt zachwycają wszystkich znawców.— Jeżeli pan dobrodziej masz jakie obrazy, racz mu pokazać—niczém go więcej nie uszczęśliwisz.

Szambelan.

Obrazów tak dalece nie mam.

Ludmir.

Może ryciny.

Szambelan.

Cztéry pory roku tylko i cztéry części świata.

Ludmir.

Ach, to jego ulubione! idź Wiktorze!— zobacz. — *(do Szambelana)* Ale pan Szambelan niech nie myśli, że to przyjaźń każe chwalić.— To jest nowy Rafael-Tycian-Guido-Korredżio-Salvator Rosa.

Wiktor.

Sama przesada pochwał dowodzi żartu mojego przyjaciela.

Szambelan.

Więc nie malujesz?

Wiktor.

Owszem, maluję — przesadną byłoby skromnością zapierać się talentu, który uszczęśliwia moje życie.— Ale daleki od wzorów, które podobało się dowcipnie panu Ludmirowi wymieniać, jestem dopiéro zaczynającym uczniem.

Szambelan.

No, ale przecie potrafisz pomalować klatki?—

Wiktor *(do Ludmira obracając się).*

A to co? czy to obelga?...

Ludmir.

Jakto, czy potrafi? On całe życie tylko to robił.—

Szambelan.

Doprawdy?

Wiktor.

Kto? Co? Ja?

Ludmir *(do Wiktora, na stronie).*

Chcesz się kłócić?

Szambelan *(całując z obu stron Wiktora).*

Bądźże pan łaskaw nie urażać się zbytnią moją śmiałością i pomalować...

Ludmir.

Będzie najszczęśliwszy...

Wiktor *(do Ludmira, na stronie).*

Milczże przeklęty człowieku!...

Szambelan *(prosząc).*

Parę klateczek; raczy pan dobrodziej?

Ludmir.

Parę?— Dziesięć pomaluje!— Jemu się już oczy śmieją na wspomnienie malowania.

Szambelan.

Zatém mogę się spodziewać tej wielkiej łaski.

Wiktor.

Ale penzlów nie mam. *(na stronie)* Nie chciałbym go urazić, a znowu...

Ludmir *(do Wiktora, na stronie).*

Zmiłuj się nie zrób jakiej niegrzeczności— tak nam są radzi!

Wiktor *(do Ludmira, na stronie).*

Przynajmniej ty nic nie mów.

Szambelan.

Penzle znajdziemy— niedawno posadzki woskowano.

Ludmir.

Niech pan będzie tylko łaskaw pokazać mu klatki. On i ptaszki namiętnie lubi.

Wiktor *(na stronie).*

Boże nie opuszczaj mnie! zachowaj przy cierpliwości!

Szambelan.

A, tém mogę cię zabawić— I kiedy ptaszki lubisz, to lubisz i klatki, a kiedy lubisz klatki, to je pomalujesz, niema wątpienia— *(całuje Wiktora)*

Ludmir.

On jest jeden z najzawołańszych ptaszników. Niechże mu pan pokaże swój zbiór ptaków; poradzi nawet, jeżeli któremu co brakuje— przekłuć umie, gdy tam co trzeba.

Wiktor *(na stronie, do Ludmira).*

Poczekaj! odpłacę ci! na Boga, odpłacę.

Szambelan *(bierze pręty i Wiktora pod rękę).*

Służę ci, służę.

Wiktor.

Zmiłuj się pan...

Szambelan *(pociągając za sobą).*

Zobaczysz krzywonosa rzadkiej piękności, jak mała papuga. Nie wiem także czy znasz ów gatunek wróblów z małemi czubkami. *(odchodzą na prawo)*

Ludmir.

Ha! przecie!

SCENA VII.

Helena, Ludmir.

Ludmir.

Cóż pani na to?

Helena.

Ja się pytam.

Ludmir.

To jest jeden z najdziwniejszych oryginałów, jakie się znajdują pod słońcem.— Do wszystkiego i od wszystkiego, jak mu przyjdzie do głowy.

Helena.

Prawda, że dziwny człowiek.

Ludmir.

Duch sprzeciwieństwa w najwyższym stopniu.

Helena.

Jakto nigdy z pierwszego wejrzenia sądzić nie można.

Ludmir.

Kto okiem poznaje, myli się często; kto sercem, rzadko błądzi.

Helena.

Jak to mam rozumieć?

Ludmir.

Mówię to do sympatyi i antypatyi.

Helena.

W nic tyle nie wierzę, ile w sympatyą.

Ludmir.

Mnie dziś podobne uczucie wiodło do ogrodu. Ale tą razą zawiedziony zostałem.

Helena.

A to w czém?

Ludmir.

Spodziewałem się zastać tam kogo, z którymby dusza moja rozmawiać mogła. Ach, to tak rzadko się wydarza, że powinnaś przebaczyć, piękna Heleno, jeżeli ci się natrętnym staję.

Helena.

Byłam w ogrodzie.

Ludmir.

Kiedy mnie już nie było. Janusz był szczęśliwszy.

Helena.

Ach Janusz; widziałam go zdaleka, rozmawiał z moim ojcem.

Ludmir.

Jak tłómaczyć to westchnienie?

Helena.

Nienajlepiej dla niego.

Ludmir.

Ma jednak nadzieję.

Helena.

Tylko też nadzieję.

Ludmir *(radośnie).*

Co słyszę!— skończy się tylko na nadziei.

Helena.

Pewnie— jego miłość jest mi nieznośną.

Ludmir.

Na pierwszy rzut oka, zoczywszy go obok ciebie, pani, głos tajemny przemówił we mnie: Nie, to być nie może— ona go nie kocha.

Helena.

Dawno już byłabym odmówiła jego rękę, gdyby nie macocha, która upiera się rzucić mnie koniecznie w jego poziome objęcie.

Ludmir.

A gdy cię lepiej trochę poznałem, poznałem razem jak czystej, wzniosłej, bez granic miłości trzeba, aby się twojej godną stała. Ale i jemu za złe mieć nie można; któżby się nie pokusił o tak wielkie szczęście, szczęście nad pojęcie.

Helena.

Pochlebstwo.

Ludmir.

Nie, Heleno, nie pochlebstwo. Pomny na lot i upadek Ikara, powinienbym uchodząc ztąd, jakby przed samym sobą, ujść od szalonej myśli. Ale nie mam już władzy. Kilka dni tu spędzonych, choćbym je potém miał wieczną wynagrodzić tęsknotą, będę uważał jak wykradzione z paszczy przeciwnego mi zawsze losu.

Helena.

Wesołe towarzystwo w domu moich rodziców ukoi zapewne smutek, którym pan zdajesz się mieć duszę zranioną.

Ludmir.

Nie chcesz mnie pani rozumieć.

Helena.

Może i nie wypada.

Ludmir.

Wszak niczego nie żądam, nie błagam, jak tylko przebaczenia, że nie mam władzy wyrwać się z miejsc uświetnionych przytomnością twoją.

Helena.

Na to przebaczenia nie trzeba— goście przyjemni rodzicom, dobrej córce przykremi być nie mogą.

Ludmir *(całując ją w rękę).*

Ach, gdyby mi wolno było wykryć głębią mojej duszy, gdybyś chciała odgadnąć zamęt jedném twém wejrzeniem sprawiony — pojęłabyś jak obok siebie mieścić się mogą i najsłodsza roskosz i najboleśniejsza męka.

Helena.

Panie Ludmirze, nadużywasz moich przyjaznych uczuć. Ja odejdę.

Ludmir.

Zasłużyłżem na tę karę?— Także zimna jest i ciężka żelazna ręka przyzwoitości tego poziomego świata, iż wzbrania wyjawienia najczystszego szacunku... przyjaźni... uwielbienia... Ach, nacóż próżnych słów szukać.. najgorętszej miłości!

SCENA VIII.

Helena, Ludmir, pan Jowialski, pani Jowialska.

P. Jowialski.

Dobre arcy staroświeckie polskie przysłowie: Gość w dom, Bóg w dom. Lepiej mi kawałek chleba smakuje, kiedy go z kim dzielę.

Ludmir.

Gdzie taki gospodarz, o gości nie trudno.

P. Jowialski.

Nie każdy też to gość, miłym gościem. O nie jednym można powiedzieć: Głaszcz ty kotowi skórę, a on ogon w górę. Ale jeszcze nie widziałeś mojego ogrodu.

Ludmir.

Owszem, dopiéro tam byłem.

P. Jowialski.

Chodź więc.— Nigdy nie zapomnę dnia dzisiejszego. Jak nas zręcznie w pole wyprowadziłeś. Co też ja się nie naśmiałem z kłopotów Janusza. Sam sobie biedy narobił. Bo kto w ul dmuchnie, temu

pysk spuchnie; jak mówi proste przysłowie. Gdyż zapewne miarkowałeś, że między nim a Helusią... Rozumiesz?

Ludmir.

A, tak, rozumiem.

P. Jowialski.

I zazdrośny trochę; ale to mój panie, chcieć dziewczynę na swoje kopyto przerobić, to jest: Sitem wodę czerpać.

Ludmir *(spoglądając na Helenę).*

Jednak kiedy jest szczera miłość.

P. Jowialski.

Miłość gorąca, sanna droga, krogulcze pole, niedługo trwają; jak mówi przysłowie.

P. Jowialska.

Aj Józieczku! Józieczku!

P. Jowialski.

No, nie gniewaj się Małgosiu — ty jesteś feniksem, ja to zawsze mówię. Życzę ci mieć taką żonkę, panie Ludmirze. Ale to wszystko los. Niech Bóg radzi, o swojej czeladzi.

Ludmir.

Ach, oby dobrze o mnie poradził!

P. Jowialski.

Jest czego westchnąć i szczerze, bo to w małżeństwie: Jednemu gody, drugiemu głody.

Ludmir.

Zapewne, zapewne.

P. Jowialski.

Przysłowie mówi: Dobra żona, męża korona, ałe zła, krzyż to wielki, mój panie. Zła żo-

na, zły sąsiad, diabeł trzeci— jednej matki dzieci.

Ludmir.

Piękna familia!

P. Jowialski.

W tym to sensie następujące cztéry wierszyki:

Miły deszczyk, rzekł rolnik, życie niesie wszędzie,
Wszystko nam z ziemi dobędzie.
Boże uchowaj! krzyknął sąsiad przestraszony,
Ja tam mam trzy żony.

P. Jowialska.

Bodaj też jegomości! O dla Boga! przestraszony! figle, figle!

P. Jowialski.

Służę panu do ogrodu.

SCENA IX.

Helena *(sama).*

Cicho serce, cicho, bijesz za gwałtownie. Zamknijcie się oczy, nie poglądajcie w nowy świat, jeszcze dla was blask za ostry. Ludmirze! głos twój głosem anioła, echo jego w mojej duszy wiecznie żyć będzie. Jakaż cię to dręczy tęsknota? Jaki smutek objął twoje młode życie? Czemuż mi ich nie zwierzysz? Ja ciebie zrozumiem. Ja wezmę chętnie połowę, większą połowę twoich trosk, byleś mi wdzięcznym nagrodził uśmiechem. Ach Janusz! przykre obudzenie.

SCENA X.

Helena, Janusz.

Janusz.

Panno Heleno!

Helena.

Panie Januszu!

Janusz.

Nie wiem od czego zacząć.

Helena.

Najlepiej nie zaczynać.

Janusz.

Ten ton nic mi dobrego nie wróży.

Helena.

Nie zwodzi.

Janusz.

Inaczej wczoraj było.

Helena.

Dzień różnicy.

Janusz.

Taż nagroda mojej miłości?

Helena.

Miłości!

Janusz.

Czy wątpisz?

Helena.

Wątpię.

Janusz.

Jednak liczne dowody....

Helena.

O które nigdy nie prosiłam.

Janusz.

Wola rodziców.

Helena.

Macochy.

Janusz.

I ojca.

Helena.

Wcale nie.

Janusz.

Dopiéro co z nim mówiłem.

Helena.

Widziałam.

Janusz.

Przyrzekł mi twoję rękę.

Helena.

Przyrzekł?

Janusz.

Solennie.

Helena.

A ja solennie odmawiam.

Janusz.

Zastanów się pani, że pani Szambelanowa....

Helena.

Wieczny postrach — któregoś waćpan bardzo nieszlachetnie używał.

Janusz.

Jakto nieszlachetnie?

Helena.

Szlachetniej byłoby pierwiej starać się o moję, niż o jej przychylność, i nie straszyć domu całego upartą macochą.

Janusz.

Zdawało mi się, że godnie miejsce matki zastępowała.

Helena.

Prawda, aż do tego czasu.

Janusz.

Nie starałżem się podobać wszelkiemi sposobami?

Helena.

Nienajlepszemi.

Janusz.

Kto inny znajdzie lepsze.

Helena.

Być może.

Janusz.

Ja wszystko widzę.

Helena.

Nie wątpię.

Janusz.

Mam przecie rozum....

Helena.

I wieś.

Janusz.

Rozumiem co się dzieje.

Helena.

Cóż się dzieje?

Janusz.

Ale panno Heleno, ja kocham.

Helena.

Dziękuję.

Janusz.

Ja bardzo kocham.

Helena.

Jestem wdzięczna.

Janusz.

Niewdzięczna, powiedz.

Helena.

Skończmy tę rozmowę.

Janusz.

Zastanów się, że ten awanturnik...

Helena.

Kto?

Janusz.

Ten Ludmir.

Helena.

Cóż ten Ludmir?

Janusz.

Niewiedzieć zkąd jest, kto jest.

Helena.

Cóż mnie to obchodzi?

Janusz.

Ach, bardzo obchodzi na nieszczęście nas obojga.

Helena.

Panie Januszu!

Janusz.

Jest jakiś hultaj!

Helena.

Gość w domu moich rodziców więcej względów wymaga.

Janusz.

Taki gość wymaga karku skręcenia.— I ty, ty Heleno dajesz mu się bałamucić.—

Helena.

Bałamucić?

(zmierzywszy go oczyma odchodzi)

SCENA XI.

Janusz *(sam).*

Niema wątpienia, ten przeklęty Ludmir zajechał jej w głowę.— Otóż to panny w tych czasach!— Przyjedzie w zaloty jaki uczciwy obywatel, cztéry konie z kozła, kocz wiedeński, kozak z tyłu, extrakt tabularny czysty— krzywią się, przeglądają, przenicują.— Ale strać zdrowie w rozpuście, a majątek w karty, staniesz się ofiarą prześladującego losu i łatwo się podobasz.— Ja mam rozum i wieś— ona nie pyta, bo mam rumieniec, jem dobrze i śpię wyśmienicie.— Wczoraj miałem

wszelką nadzieję — dziś żadnej.— Ale Szambelanowa przyrzekła — gdybym nie był... przeklęcie! szczypałbym się, gryzłbym sobie palce ze złości... gdyby nie tak bolało.

SCENA XII.

Janusz, Wiktor.

Wiktor *(z kilku klatkami).*

A, już dłużej i anioł nie wytrzyma!— *(rzuca klatki o ziemię w głąb sceny)* Panie, jak się zowiesz! można tu koni dostać do najęcia? *(Janusz spojrzawszy, dalej chodzi)* *(Wiktor głośniej)* Czy tu dostanie koni do najęcia? *(Janusz milczy)* *(Wiktor w złości)* Panie, ja grzecznie pytam się po raz trzeci...

Janusz.

Pytaj się waćpan furmana o konie, nie mnie.

Wiktor.

Można grzeczniej odpowiadać.

Janusz.

Jak mi się podobać będzie.

Wiktor.

O niekoniecznie!

Janusz.

Doprawdy?

Wiktor.

Niegrzecznych do grzeczności przymuszają.

Janusz.

Idźże sobie, *(porywczo)* proszę grzecznie.

Wiktor.

Pójdę, jak mi się podoba.

Janusz.

Czego waćpan chcesz ode mnie?

Wiktor.

Żebyś waćpan był grzeczny.

Janusz *(ironicznie).*

W samej rzeczy! mam być z kim.

Wiktor.

Z kim? z kim? co to z kim? co waćpan rozumiesz przez to: z kim?

Janusz.

Oso! daj mi pokój.

Wiktor.

Ja się pytam, co znaczy to: z kim?

Janusz.

To znaczy, że nie potrzebuję być grzecznym z jakiemiś awanturnikami, którzy mącą pokój uczciwego domu.

Wiktor *(wstrzymując passyą).*

Awanturnikami! awanturnikami! powiadasz.

Janusz.

Najmniej.

Wiktor.

Najmniej, najmniej, powiadasz.

Janusz.

Powiadam!

Wiktor.

Ale waćpan sam chciałeś....

Janusz *(wybuchając złością kłótnia coraz głośniejsza).*

Co! i ty, ty mi będziesz dokuczał tém: sam chciałeś.— Chciałem, do stu piorunów, z drugiego takiego jak ty, zrobić igraszkę.

Wiktor *(krzycząc).*

Nie tak głośno, ty mospanie.

Janusz *(krzycząc).*

Bo z takich zawsze żartowałem i żartować będę— ale nie wiedziałem, że wilka puszczam do owczarni.

SCENA XIII.

Janusz, Wiktor, Szambelan, *(za nim)* **Szambelanowa.**

Szambelan *(wbiegając).*

Co się tu dzieje?

Szambelanowa.

C'est vacarme!

Wiktor *(do Janusza)*

Wilk kąsa, pamiętaj!

Szambelanowa.

O co idzie? powoli, grzecznie...

Janusz *(do Wiktora).*

Precz ztąd! precz!

Szambelan *(przez okno).*

Jegomość! Tatuniu! Jegomość!

Wiktor *(wstrzymując się).*

Gdybym nie uważał na przytomność tej damy...

Janusz.

To co? to co?

Szambelan *(przez okno).*

Kłócą się.—Chcą się bić!—

Wiktor.

Nie, do tego stopnia nie zapomnę się nigdy.—Racz pani przebaczyć — uniosłem się w jej przytomności.— Wyznaję moję winę. *(do Janusza)* Zobaczymy się.

Janusz.

Zobaczysz się, zobaczysz, wiem z kim.

Szambelanowa.

Januszu! ani słowa! Ja chcę, ja każę. – Cóż to za karczemne obyczaje? Wstydź się waćpan! Ten pan pierwszy uznał swój błąd i przeprosił za uchybienie należytego uszanowania damie.—Taisez-vous.

SCENA XIV.

Ciż sami, Pan Jowialski, Pani Jowialska, Ludmir.

(Pan Jowialski z żoną w środku, po lewej Wiktor i Ludmir, po prawej Janusz i Szambelanowa. W głębi Szambelan zbiera i ogląda klatki.)

P. Jowialski.

Któż się kłóci? — Od fuków przyszło do puków. Co? kto z kim?

Szambelanowa.

Pan Janusz taki grzeczny — z tym panem — fi! — C'est misère.

P. Jowialski.

Od słowa do słowa, aż boli głowa.

Wiktor.

Uniosłem się za nadto, to prawda.

P. Jowialski.

Zaraz wam powiem bajeczkę.—Słuchajcie:

Na dziedzińcu przy kurniku
Krzyknął kogut kukuryku;
Kukuryku krzyknął drugi,
I dalej w czuby.—

Biją skrzydła jak kańczugi,
Dziobią dzioby,
Drą pazury
Aż do skóry.
Już krew kapie, pierze leci—
(Z kwoczką uszedł rywal trzeci.)
A wtém indor dmuchnął: Hola!—
Stała się jego wola.
O co idzie, o co chodzi?
Indor was pogodzi.
Na to oba, każdy sobie:
Przedrzeźniał się mej osobie.
Moi panowie,
Indor powie:
Niepotrzebnie się czubiło,
Przedrzeźniania tu nie było;
Obydwa z jednej zapialiście nuty,
Boście obydwa koguty.—
Kiedy głupstwo jeden powie,
Głupstwo drugi mu odpowie;
Potém płacą życiem, zdrowiem:
Co rzec na to? Wiem—nie powiem.

Szambelanowa.

O mój Boże! Koguty! figle! figle!

Ludmir *(do Wiktora).*

Cóż się stało?

Szambelanowa *(do Janusza).*

O co poszło?

Wiktor *(do Ludmira).*

Wszystko to z twojej łaski.

Janusz *(do Szambelanowej).*

Powiedział: sam chciałeś.

Ludmir *(do Wiktora).*

Ale jakiżeś gorączka.

Wiktor *(do Ludmira*

Ty mnie lodem dziś nie okładasz.

Szambelanowa *(do Janusza).*

Trzeba mieć przecie uwagę na jakowąś konweniencyą.—Mon Dieu!

P. Jowialski *(cicho do Ludmira).*

Coś twój przyjaciel diable prędki.

Ludmir *(podobnie).*

To tak na upał.

P. Jowialska.

Hę?

P. Jowialski.

To tak na upał.

P. Jowialska.

Proszę! proszę!

P. Jowialski.

Dawne przysłowie mówi: Mając gościa w domu, nie czyńmy gomonu. Nie pytając się o co poszło, zgoda panowie.

Janusz.

Ja tylko prawdę powiedziałem.

Wiktor *(do Ludmira).*

Słyszysz?

P. Jowialski.

O mój panie, nie zawsze prawda, co się prawdziwém wydaje.—A choćby też i tak było: Kto o prawdzie dzwoni, ten na guza goni. Ale inaczej trzeba tę rzecz skończyć — po staroświecku. — Panie Janie, każ waćpan przynieść butelkę wina—z drugiej piwnicy—kasztelańskiego—wiesz?

Szambelan.

Wiem.

P. Jowialski.

Do mojego pokoju! pójdzie myszka między koty.— Kieliszek wadzi, kieliszek radzi.— Znacie tę piosneczkę?

Jak mnie kochasz, dolej szczerze,
Bo cię kuflem w łeb uderzę....

Wypijemy sobie po kieliszku i zgoda. — Rybom woda, ludziom zgoda, bez niej nic. Proszę do mnie, proszę.

Szambelanowa.

Bez kłótni, bardzo proszę, bo kwita z przyjaźni. — Vous comprenez?

P. Jowialski.

Pokażę drogę.

(odchodząc)

Ludmir.

(chce zatrzymać Wiktora, który mu się wyrywa—zostając ostatni)

Ja wzbudzam zazdrość, a ten mało guza nie dostał.— Cóż ja winien? – dzień feralny dla niego. — Rozdział ośmnasty,

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

SCENA I.

Wiktor, Ludmir.

(Wiktor rysuje, Ludmir chodzi zamyślony wzdłuż sceny.)

Wiktor.

Przyznajże ex-Sułtanie, a Rzeczywisty Tajny Radco szaleństwa, iż jestem jeden z najpoczciwszych, z najłagodniejszych ludzi.—Zasłużyłeś na mój gniew, ogromnie zasłużyłeś, a ja dla ciebie pracuję.— *(na stronie* Ale ci odpłacę. *(po krótkiém milczeniu, oglądając się)* Cóż tak rozmyślasz?

Ludmir *(patrząc na rysunek Wiktora).*

Nie—Jowialski nie udał ci się zupełnie—niema tego uśmiechu rozlanego po całej twarzy—każdy zmarszczek u niego powiada, że ze śmiechu powstał.

Wiktor *(zawsze rysując).*

Ale pozwólże mój kochany—pierwiej przecie trzeba głowę zrobić, a potém włosy; pierwiej nos, a potém krostę na nosie — jeżeli notabene krosta jest, sine qua non.

Ludmir.

I pani Jowialska nie dość wyprostowana.

Wiktor.

Jeszcze włos, a w tył się wywróci.

Ludmir.

Zróbże jej okulary.

Wiktor.

Idźże do kaduka! proszę cię! *(Ludmir znowu chodzi)* Od czasu swojego panowania nabrał jakiegoś tonu rozstrzygającego.—Ale dlaczegoż ty nie piszesz? Masz czas—bibuły tu dostaniesz.

Ludmir *(stając przed Wiktorem, po krótkiem milczeniu).*

Wiesz co Wiktorze?

Wiktor.

I nie jedno.

Ludmir.

Helena podoba mi się.

Wiktor.

A mnie nie.

Ludmir.

Jabym się z nią ożenił.

Wiktor.

(kładzie ołówek, obraca się i patrzy mu w oczy).

Ludmir *(wykrzywiając się).*

A!! *(chodzi znowu)* Nie cierpię kiedy kto na mnie oczy wytrzeszczy. *(Wiktor śmieje się coraz mocniej za każdém słowem Ludmira)* O, śmiej się — śmiej — jeszcze lepiej.—O tak!—do rozpuku.—Ha, ha, ha!

Wiktor.

Jakże? chciałbyś się ożenić? tak, ex abrupto, może dla zakończenia godnego dzieła?

Ludmir.

Powiedzże mi, dlaczego nie miałbym się ożenić?

Wiktor.

Czy ty żartujesz?

Ludmir.

Na honor, nie.

Wiktor.

Daj tu rękę.

Ludmir.

Cóż to będzie?

Wiktor.

Puls wolny—gorączki niema.

Ludmir *(wyrywając rękę).*

Rysuj! *(chodzi znowu)*

Wiktor.

Nie dziwiłbym się, gdybym mógł przypuścić podobieństwo, że ci się podobała.

Ludmir.

Dla czegoż nie, mości Van-Dyku?

Wiktor.

Kto? ta górnolotnym stylem prosząca nawet o szklankę wody, ta miałaby ci się podobać!

Ludmir.

Śmiesznym sposobem wyraża często dobre myśli, ale to wszystko łatwo zmienić.

Wiktor.

Jakież wielkie przymioty odkryłeś w niej, w tak krótkim czasie?

Ludmir.

Piękna.

Wiktor.

To do gustu.

Ludmir.

Dobra.

Wiktor.

Jak wiesz?

Ludmir.

Wiem—jestem pewny.—Ma przytém wiele pojęcia i nie uparta. A gdzie jest pojęcie, a uporu niema, wszystko da się zrobić.

Wiktor.

Ale choćby była aniołem dobroci i piękności; choćby najrozsądniejszy pragnął ją na żonę, jeszcze przeto twoją nie będzie.

Ludmir.

Jeżeli się podobam.

Wiktor.

Ma rodziców.

Ludmir.

Starego łatwo zawojować—parę bajek—i mój.

Wiktor.

Ojciec.

Ludmir.

Mniej niż nic.

Wiktor.

Macocha.

Ludmir.

To jeden orzech do zgryzienia.

Wiktor.

Trzebaby tęgich zębów.

Ludmir.

Ale trafiają się jednak przypadki.

Wiktor.

W romansach.

Ludmir.

Najgorzej....

Wiktor *(po krótkiém milczeniu).*

Najgorzej?

Ludmir.

Że nie wiem kto i zkąd jestem.

Wiktor.

I to nie fraszka u takich ludzi—a potém majątek!

Ludmir *(chodząc).*

Żebym miał tylko imie i majątek.

Wiktor.

Tak! żeby tylko—żeby, małe słówko.

Ludmir.

Probować jednak będę.—Bardzo by mi to było na rękę.—Pewny, że jedynie miłości winien jestem jej rękę, żyję najszczęśliwiej.—W tych pokojach mieszkamy—tam gdzie teraz stoimy, moja kancelarya.—Dalej nasze dzieci.—Ona trudni się gospodarstwem.—Ja piszę.—Ty z nami bawisz czas jakiś.—Jak mnie kochasz, zabawisz. —No, przyrzeknij—parę miesięcy—słowo.

Wiktor.

Za kogoż twoję córkę wydajesz? z kim się twój syn żeni?—Bodajto być poetą: kocha się, żeni, obejmuje rządy domu, ma dzieci, zaprasza przyjaciół; wszystko jednym tchem.

Ludmir.

„Jak tylko niema światła i cieniu, krések tu i ówdzie, to wszystko szaleństwo—prawda?

Wiktor.

Być może—i nigdy więcej jak w tej chwili nie chciałem, aby światło padało na ciebie.—W cieniu został Janusz z macochą, a po wszystkich stosunkowych przyzwoitościach towarzystwa, kréski tu i ówdzie pociągnięte były.

Ludmir.

Chciałbyś szczerze, aby mi się udało?

Wiktor.

Dla czegoż bym miał niechcieć.

Ludmir.

Poczciwy Wiktorze! Moje dzieła podadzą cię nieśmiertelności.

Wiktor.

Jeżeli tylko ręce dość długie mieć będą.

Ludmir.

Niema jak z malarzami mieć do czynienia; to są rodzeni bracia poetów.—Wiktorku! wyrysujesz mi portret Heleny?

Wiktor.

Wiesz, że portretów nie umiem robić, chyba w karykaturze.

Ludmir.

Co za myśl!

Wiktor.

Mogę ją umieścić w allegorycznym obrazie, wystawiającym naprzykład: przyjęcie ciebie na członka familii Jowialskich.—W środku Jowialski uwieńczony unosić się będzie na lekkiej chmurze; z jednej strony przy nim Geniusz: młodzieniec ze skrzydłami, płomieniem na głowie, u nóg księgi i orzeł.— Z drugiej strony Hilaritas jedną ręką potrząsa róg obfitości, drugą ciągnie za sobą, z pomocą ślepego Hymena, starą Jowialską.—Dwoje dzieci uzupełni środek: jedno z nich trzymać będzie rószczkę palmową, po którą ty klęcząc w kaftanie tureckim, w udzwonkowanej czapce pokornie sięgasz. — Na przodzie obrazu Helena w postaci Imaginacyi: oczy w niebo zwrócone, ręce w krzyż złożone, włosy w nieładzie na barki spuszczone, korona na głowie, z małych figurek wychodzących z jej mozgu, złożona.—Którym figurkom, notabene, będzie można dać twoję twarz, jeżeli zechcesz.— U nóg Heleny Melancholia: siedzi zamyślona nad trupią czaszką, wróbel na głowie. W głębi Janusz, jako Zawiść, w sukni nasadzonej oczami i uszami, w ręku pęk cierni, na ramieniu kogut zdjęty złością.— Przy Januszu Szambelanowa z przepiórką, Szambelan

z księżycem w ręku—pierwsza złośliwości, drugi głupstwa oznaka.

Ludmir.

A w kącie szyderstwo rysuje. Ale ty co tak biegły jesteś w allegorycznych obrazach, nie wiem czy wiesz, jak Szyderstwo wystawiono?—

Wiktor.

Wiem, wiem.

Ludmir.

Jako osła z wyszczerzonemi zębami, jeśli się nie mylę

Wiktor.

Podobno że tak. *(śmieją się obydwa)*

Ludmir.

Jowialscy nadchodzą; cofnij się wgłąb, popraw niektóre rysy. *(Wiktor prędko zbiera rysunki, cofa się wgłąb sceny, przypatruje się i klęczący przy krześle rysuje, potém siada)*

SCENA II.

Pan Jowialski, pani Jowialska, Ludmir, Wiktor.

P. Jowialski.

Szukam cię, mój panie, jak swój swego. Musisz mi przecie przeczytać co z dzieł swoich. Ja się znam trochę.

Ludmir.

Przeczytać nie mogę, bo nic nie mam tu ze sobą. Ale pierwsze dzieło, które wydam i które już jest blizkie końca, przypiszę waćpanu dobrodziejowi.

P. Jowialski.

Mnie?

Ludmir.

Jeżeli waćpan dobrodziej raczysz pozwolić, aby imie jego zaszczyciło pracę moję.

P. Jowialski.

Mnie? mnie? chcesz całe dzieło przypisać?

Ludmir.

Jeżeli pozwolisz.

P. Jowialski.

Jeżeli pozwolę? o człowieku, człowieku! czémże zasłużyłem na taki honor? ale prawda, nie zasłużony, ale szczęśliwy bierze. I wydrukujesz to dzieło?

Ludmir.

To się rozumie.

P. Jowialski *(ściskając go).*

Żądaj ode mnie czego chcesz. Słyszysz pani Jowialska, będę wydrukowany.

P. Jowialska *(zdejmując okulary).*

Wydrukowany? proszę!

Ludmir.

Żądać tylko będę, abyś pozwolił spisać wszystkie przysłowia i wierszyki, których tyle umiesz i tak ładnie deklamujesz.

P. Jowialski.

Bierz pióro, pisz. Powiem ci zaraz jednę bajkę.

Ludmir.

Bardzo proszę.

P. Jowialski.

Dwie.

Ludmir.

Co za szczęście!

P. Jowialski.

Trzy.

Ludmir.

Zginę z radości.

P. Jowialski *(odprowadzając na stronę i pokazując żonę).*

Za jednę będzie się trochę gniewać.

Ludmir.

Oho!

P. Jowialski.

Ale to półżartem. Nie uwierzysz co to za nieoszacowana białogłowa! Co to za dowcip!

Ludmir.

Sam to uważałem.

P. Jowialski.

Poznać pana po cholewach; tak i rozumnego.

Ludmir.

W samej rzeczy.

P. Jowialski.

Jak tak długo z nią będziesz jak ja, to jeszcze lepiej ją poznasz.

Ludmir.

Jakże to długo?

P. Jowialski.

Pięćdziesiąt jeden lat.

Ludmir.

Tylko!

P. Jowialski.

Ale wracając do bajki— słuchajcie:

Z pięknej róży motyl płowy,
Wychyliwszy trochę głowy,
Zwołał braci rój niestały.—
Nuż prawić morały,

Stałość wychwalać,
Do cnoty zapalać,
I we wszystkiém co rozprawiał,
Siebie za przykład wystawiał;
Słowem, nagadał i nałajał tyle,
Że o poprawie myśleć zaczęły motyle.
Wtém jakiś młodzik na fijołku siada,
I tak powiada:
Nie wierzajcie co on prawi,
Ja powiem, czemu latać go nie bawi.
Oto przed kilku chwilami,
Gdy aż do znoju swawolił z kwiatkami,
Nadszedł starzec, co kosą wszystko w swojej drodze
Wycina i niszczy srodze,
Co ciągle idzie, nigdy nie odpocznie w trudzie,
Ten to sam, co go C z a s e m nazywają ludzie;
Nadszedł, a wkoło ostrém tnąc żelazem,
Podciął i braciszkowi skrzydełka zarazem.
Dlatego stałość chwali, jednę lubi różę,
Bo sam już latać nie może.—

(kłaniając się z pierwszym następującym wierszem żonie)

Nie jest tu moją myślą, młode, piękne panie,
Często zbyt płoche pochwalać latanie,
Ale słuchając nie jednej matrony,
Trzeba wyznać z drugiej strony,
Że i to motyl... *(ciszej do Ludmira)* ale motyl obarczony.

Ludmir.

Doprawdy?

P. Jowialski.

Assekuruję reputacyą,

P. Jowialska.

Boże zmiłuj się! co też jegomość dalej na nas nie wymyśli.

P. Jowialski *(głaszcząc pod brodę).*

No, no, nie gniewaj się Małgosiu— ty jesteś motylkiem, ale moim motylkiem, moją przepióreczką. *(całuje ją w czoło)*

P. Jowialska.

Oj psotnisiu! psotnisiu! *(grożąc okularami)* tobie jeszcze w głowie chychotki, łaskotki.

P. Jowialski.

Ja na to, jak nalato; prawda pani Jowialska?

P. Jowialska *(wkłada okulary).*

Dajże pokój, Józieczku, przy tym kawalerze!

P. Jowialski.

O, o, raczka spiekła— pokaż oczęta.

P. Jowialska *(zdejmując okulary).*

Cóż będzie?

P. Jowialski.

O! jakie figlarne! Oj ty.. ty.. ty.. *(szczypiąc policzki)* zjadłbym cię.

P. Jowialska.

Józieczku, miejże przecie kontenans.

Ludmir.

Ja odejdę, jeżeli przypadkiem...

P. Jowialski.

Nie, nie, pójdziemy razem do mojego pokoju, bo ja w mojém krześle najlepiej deklamuję. A tobie miło co powiedzieć, ty słuchasz nie tak jak drudzy. Mnie z ust, a jemu mimo uszy: szust!

Ludmir.

I o czém innem myśli.

P. Jowialski.

Ja mu gadam o słońcu, a on myśli o słoniu; ja swoje, on swoje. Mów wilku pacierz, a on woli kozią macierz. Ale chodźmy. Ułożymy sobie cały plan dokładnie— będziemy wspierać się wzajemnie, my autorowie. Bo to widzisz, kochanku, na tym świecie człowiek człowieka potrzebuje. Ręka rękę myje.— Jak ty czynisz, tak dla ciebie czynić będą.

Ludmir.

Jaką miarką mierzysz takąć odmierzą.

P. Jowialski.

Jak ty komu, tak on tobie. A propos tego przysłowia, znasz powiastkę o Gawle i Pawle?

Ludmir.

Znam.

P. Jowialski.

Słuchaj więc:

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole;
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.
Ciągle polował po swoim pokoju:
To pies, to zając— między stoły, stołki
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
Zmiłuj się waćpan, poluj ciszej nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą.
A na to Gaweł: Wolnoć Tomku
Wswoim domku.

Cóż było mówić? Paweł ani pisnął,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie.
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę:
Stuk! puk! zamknięto. Spogląda przez dziurę,
I widzi— cóż tam? cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— Co waćpan robisz?— Ryby sobie łowię.
— Ależ mospanie, mnie kapie po głowie.
A Paweł na to: Wolnoć Tomku
W swoim domku.
Z tej to powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

P. Jowialska.

O dla Boga! Co też on ma tego w głowie! figle! figle!

P. Jowialski.

No, chodź jejmość.

P. Jowialska *(chowając robotę).*

Zaraz serdeńko.

P. Jowialski.

Służę ci mój panie. *(odchodząc)* I za parę miesięcy nie spiszesz wszystkiego. Zimować tu będziesz, ja ci przepowiadam.

SCENA III.

Wiktor *(sam; jakby mówił do Jowialskiego).*

Myślisz że nie będzie zimował?— Będzie, będzie, tylko go poproś. Ale jeżeli myślisz, że cię do kome-

dyi nie wsadzi z twoją Małgosią razem, to się bardzo mylisz. *(po krótkiém milczeniu)* Szalona głowa! Ale ja ci mego nie daruję— zemścić się muszę. Siedziałem ja w kozie, będziesz i ty siedział. Dla mnie jeden Rozdział, dla ciebie drugi— papiery u mnie. Dobrze. Pokażę, że i ja umiem zawiązać i rozplątać intryżkę. Szkoda tylko, że świadkiem mego dzieła być nie mogę. Schowam się w ogrodzie i tam choćbym miał trzy godziny siedzieć w gęstwinie, będę siedział i cierpliwie czekał.

SCENA IV.

Wiktor, Szambelan.

Szambelan.

Powiedzże mi, panie Wiktorze, jakim sposobem te klatki zostały uszkodzone?

Wiktor.

Bo upadły.

Szambelan.

Aha— upadły! a długo tu zostaniecie?

Wiktor.

Wątpię.

Szambelan.

Jakież upodobanie mieć możecie w tak dziwnym sposobie podróżowania?

Wiktor.

Upodobanie?

Szambelan.

Ludmir powiadał, że to jedynie z upodobania.

Wiktor.

Ludmir! Zapewne, tak mówić wypada.

Szambelan.

Czy tak nie jest?

Wiktor.

Inaczej mają się rzeczy.

Szambelan.

Proszę pana! inaczej?

Wiktor.

Wiele zagadek na tym świecie.

Szambelan.

Ja żadnej nigdy zgadnąć nie mogę.

Wiktor.

Czasem los zgadnąć przymusi.

Szambelan.

Przymusi?

Wiktor.

I krwawo, okropnie.

Szambelan.

Tylko proszę krwi nie wspominać, bo zaraz mi się słabo robi.

Wiktor.

I ja jestem zagadką, — igrzyskiem losu i nieszczęścia.

Szambelan *(na stronie).*

Coś do pieniędzy zmierza. *(głośno)* Oj czasy, czasy teraz ciężkie. — Pszenica po niczemu — o wódkę nikt się nie spyta. — Nikt nie chce kupić.

Wiktor.

Ale wydrzeć, wydrze.

Szambelan *(cofając się).*

Oho, ho!

Wiktor.

Panie Szambelanie! — Dłużej milczeć sumienie mi nie każe. —Zwierzę ci straszną tajemnicę.

Szambelan.

Może..... lepiej mojej żonie

Wiktor.

Mnie wszystko jedno — dla mnie los nie zmieni się przez to— zemsta mnie czeka — ale mówić będę.

Szambelan *(cofając się).*

Pan się zapalasz.

Wiktor *(porywając ga za rękę).*

Ludmir — Ludmir—wiesz kto jest?

Szambelan.

Jest podobno.... pan Lu.. Ludmir.

Wiktor *(oglądając się).*

Jest — *(wstrząsając mocno ręką)* człowiek niebezpieczny. — Strzeżcie się! — Bo biada wam, biada! Karpaty blizko — biada! —

SCENA V.

Szambelan *(sam)*

(po długiém milczeniu, przyszedłszy do mowy).

Masz teraz! Biada. — Ale jak, co? jakże mi łydki latają. — I on sam nie bardzo bezpieczny, w oczach ma coś barbarzyńskiego — jakże mi się nogi trzęsą. *(siada)* Tajemnica, rzekł — ale ja tej tajemnicy zachować nie mogę. — Ja dawno mówiłem, mówiłem wyraźnie... to jest nie mówiłem, ale myślałem, my-

ślałem... No, prawda nic nie myślałem, ale to jest jednak zdarzenie nie bardzo wesołe. — I co wiem pewnie, to, że się boję potężnie.

SCENA VI.

Szambelan, Janusz, Szambelanowa.

Janusz.

Racz tylko waćpani dobrodziejka wysłuchać mnie cierpliwie. — Wierzę, iż jej sposób postępowania najlepszy... ale.....

Szambelan.

Słuchajcie... *(za każdą razą przebiega od Janusza do Szambelanowej)*

Janusz.

Ale panna Helena dzisiaj wyraźnie mi rękę odmówiła i nie mogę wątpić, że ten Ludmir....

Szambelan.

Za pozwoleniem...

Janusz.

Głowę jej zawrócił, i że ja z całą cierpliwością na lodzie osiędę.—

Szambelan.

Rzecz arcy ważna.

Janusz.

Ludmir nie kryje się z tém, że mu się Helena podobała. — Panna Helena wcale go nie unika — i koniec końców, jeżeli Ludmir ma wieś, ja mam rywala niebezpiecznego.

Szambelan.

Niebezpiecznego właśnie...

Szambelanowa.

Nie widzę nic w tém dziwnego, że młody człowiek stara się podobać młodej pannie — masz rywala i cóż ztąd? — Rień du tout.

Szambelan.

Bójcie się Boga...

Szambelanowa.

Moj pierwszy mąż ś. p. Jenerał-Major Tuz, czy myślisz, że tyle tylko miał przeciwności nim mnie zaślubił? — Comment? —

Szambelan.

Rzecz okropna...

Szambelanowa *(wskazując głową).*

Za niego zaś, żem poszła, to mnie moi bracia namówili. — Bodaj im Pan Bóg tego nie pamiętał!

Szambelan.

Dziękuję ci, moja Basiu, ale słuchaj....

Janusz.

Ludmir wkręca się zręcznie w łaskę pana Jowialskiego.

Szambelan.

Daremnie proszę, za nic mnie nie mają.

Szambelanowa.

Dwie drogi masz waćpan przed sobą: albo nakłonić starą bajkę w postaci pana Jowialskiego, aby oddaliła z domu ulubionych gości, albo użyć ogólnego lekarstwa, jak mawiał pierwszy mój mąż świętej....

Janusz *(porywczo kończąc).*

Pamięci, Jenerał-Major Tuz.

Szambelanowa.

Tak jest. — A tém ogólném lekarstwem jest: cierpliwość.

Janusz.

No, jeżeli ja nie jestem cierpliwy, to i te mury są niecierpliwe.

Szambelan

(niemogąc przerwać rozmowy, uderza kijem w stół).

Szambelanowa.

Ach!

Szambelan.

Inaczej nie można było przerwać waszego zacietrzewienia. —Słuchajcie mnie dla Boga! bo to nie są żarty — tu idzie o nas wszystkich. *(staje między nich, patrzy wprawo i lewo i milczy)*

Szambelanowa.

Cóż więc?

Janusz.

Słuchamy.

Szambelan.

Cóżem to miał mówić... na poczciwość, zapomniałem.

Szambelanowa *(ironicznie).*

Miły chłopiec.

Szambelan.

A, otóż wiem. — Wiecie kto jest Ludmir?

Szambelanowa.

Wiemy tyle co i ty.

Szambelan.

Przepraszam cię, Basiu, tą razą wiem więcej.

Janusz.

Proszę więc mówić—może mnie co pomoże.

Szambelan.

Diabła pomoże!—*(oglądając się)* Ludmir jest człowiek niebezpieczny.—Biada!

Szambelanowa.

Jakto niebezpieczny?

Szambelan.

Jego przyjaciel Wiktor dopiéro ztąd odszedł— przestraszył mnie, że aż usiąść musiałem i dotychczas jeszcze niepewnie stoję na nogach.

Janusz.

Cóż mówił? Ludmir ma wieś?

Szambelan.

Mówił: „Przestrzegam was—strzeżcie się—Ludmir człowiek niebezpieczny — lękam się zemsty. — Biada „wam“— i wiele innych rzeczy, których nie pamiętam, bo byłem, jak powiadam, arcy mocno pomieszany.

Szambelanowa.

Wiktor to mówił?

Janusz.

Przecie coś więcej musiał jeszcze powiedzieć.

Szambelan.

Nic ważnego— ile mi się zdaje, bo także nie był spokojny.... Aha! jeszcze mówił, że kto nie da pieniędzy, temu wydrą.

Szambelanowa.

To jasno. C'est comprehensible.

Janusz.

Z jakiegoż powodu to mówił?

Szambelan.

Czyliż ja mogę powód zgadnąć?—ale wspomniał coś o sumieniu.

Szambelan.

Gdzież jest?

Szambelan.

Czyliż ja mogę zgadnąć, gdzie jest?—Wstrząsł mi rękę, aż w stawach trzasło i zniknął.

Szambelanowa.

Nie trzebaże tu prawdziwego nieszczęścia, aby

koniecznie udał się ze swojém odkryciem do tego zera. C'est malheur!

Szambelan.

Radźcie teraz.—Do was radzić i zaradzić należy; ja idę przestrzedz Helusię, że Ludmir człowiek niebezpieczny;— sam zaś uzbroję się dla osobistego bezpieczeństwa.

SCENA VII.

Janusz, Szambelanowa.

Janusz.

Pani dobrodziejko! to nie są żarty.

Szambelanowa.

Zapewne, że nie żarty.

Janusz.

Cóż począć?

Szambelanowa.

Siadaj waćpan na konia, we wsi stoją dragony; jeżeli ich jest dziesięciu, musi być kapral (ja to wiem doskonale od mojego pierwszego męża ś. p. Jenerał-Majora Tuza). Powtórz wyznanie jego własnego towarzysza; nareszcie rób jak chcesz, byleś tu sprowadził zbrojną siłę.—C'est ça.

Janusz *(wracając).*

Jeżeli to żart Wiktora?

Szambelanowa.

Je ne plaisante jamais—mawiał pierwszy....

Janusz *(prędko kończąc).*

Mój mąż Jenerał-Major Tuz.—Ale jeżeli żart? dajmy nato.

Szambelanowa.

Żart nie żart, będą musieli złożyć papiery. Dowiemy się przynajmniej, co to są za ludzie.

Janusz.

Ale co powie pan Jowialski?

Szambelanowa.

Idę go o wszystkiém uwiadomić.

Janusz.

O Heleno! *(odchodzi)*

Szambelanowa.

Co z tego będzie?—sama nie wiem; ale odetchnę, jak mundur przy sobie zobaczę. — Co to za różnica Jenerał-Major, a ten Szambelan.—We wszystkiém—we wszystkiém! wielka różnica.—Sans comparaison!—

(odchodzi do pokoju pana Jowialskiego)

SCENA VIII.

Ludmir *(sam)*

(który spotkawszy we drzwiach Szambelanowę, nizko się ukłonił).

Kaducznie z góry na mnie spogląda pani Szambelanowa dobrodziejka.—I to jest podobno skała, o którą moję łódkę roztrzaskam. *(po krótkiém milczeniu)* Jak do niej przystąpić? Co lubi?—czém ująć? *(woła w lewe drzwi)* Wiktorze! Wiktorze! gdzież się podział. — Z Jowialskim interessa idą jak najlepiej—szalenie we mnie zakochany.—Historyą mego życia opowiedziałem mu dokładnie, słuchał z rozczuleniem, i nad spodzie-

wanie nie znalazłem w nim uprzedzeń tyczących się majątku i urodzenia. — Kilka dni jeszcze, a śmiało o rękę Heleny będę mógł prosić.—Helena zaś, albo ja źle widzę, źle czuję, źle pojmuję, albo nie będzie od tego.—Otóż i ona.

SCENA IX.

Ludmir, Helena.

Helena *(na stronie).*

Otóż jest! Igraszka losu! Ojciec mój swojém odkryciem okropnie uderzył w serce, ukołysane najsłodszą nadzieją. Straszne przeczucia porywają mnie w nieprzejrzany zamęt.

Ludmir *(na stronie).*

Nie widzi mnie—w idealnym przestworze krąży jej dusza.

Helena *(na stronie).*

Jeżeli tak jest — ratować go muszę — podam rękę nieszczęsnemu—którego kochać nie wolno a wiecznie kochać będę.

Ludmir *(na stronie).*

Jeszcze muszę być smętno romansowym—nie pomoże—teraz ująć ją trzeba, a po ślubie poprawa. *(do Heleny, która wzdrygnęła się na jego głos)* Pięknie dla mnie dzisiaj jutrzenka zajaśniała—łagodny wietrzyk szczęścia pieszczotliwie mnie owionął, kiedym wstępował w te progi.—Jak rószczką czarnoksięzką tknięty, innym się stałem jak byłem dotąd.

Helena *(oczy ku niebu wznosząc).*

Jak był dotąd!

Ludmir.

Pozwól, piękna Heleno, niech w mglistém życiu gwiazda nadziei dla mnie zaświeci.

Helena.

Ni pogodna jutrzenka pogodnego wieczora, ni spokojnie błyszcząca gwiazda pogodnego ranka, rękojmią być nie może. Chmury niosące burze zawsze są w odwodzie, zawsze nas trwożyć powinny.

Ludmir.

Ach, nie trwożyć; bo jeżeli pogoda, równie i burza nie jest trwałą.

Helena.

Ale burza często niszczy.

Ludmir.

Zniszczenie i śród pogody uderzyć może — na to każdy człowiek przygotowany być powinien.—Nikomu może tyle, ile mnie, los cierni nie narzucał na drogę życia, jednak postępuję śmiało.

Helena.

Czy tylko nie zbyt śmiało?

Ludmir.

To wkrótce okazać się musi.

Helena *(z trwogą).*

Wkrótce? wkrótce? jest że jakie przedsiewzięcie?

Ludmir.

Wielkie przedsiewzięcie, którego skutek stanowić będzie całą moję przyszłość; który nagrodzi zdroje goryczy, pojącej mnie dotychczas. *(z przesadą)* Albo wtrąci w czarną otchłań dzikiej rozpaczy. *(na stronie)* O, tak!

Helena *(niespokojnie).*

Także wielkich doznawałeś pan nieszczęść?

Ludmir.

Ja? czy wielkich nieszczęść doznawałem? *(na stronie)* Bądźmy więc bohaterem nadzwyczajnych nieszczęść i zgryzot.— *(do Heleny)* Na cóż okropny obraz stawiać przed oczy, które nie znają, jak lube farby wiosennej tęczy—jak w harmonią zlane kolory kwiatów, co na dziewiczej piersi radośne serca liczą uderzenia.

Helena.

Okropny obraz?

Ludmir.

Tak jest, okropny.—Igrzyskiem szalonego losu wyrzucony z kolebki w odmęt świata—między milionami ludzi szukałem człowieka—daremnie—błagałem o serce, o jedno litośne uderzenie serca.—Wszędzie głucho, wszędzie ciemno.—Odepchnięty, wzgardzony, napojony trucizną, rzuciłem się... rzuciłem...

Helena.

Gdzie? przebóg!

Ludmir.

Rzuciłem się na bryczkę i kazałem jechać gdzie konie pobiegną. *(na stronie)* Potknąłem się podobno.

Helena.

I dokąd? dokąd?

Ludmir.

Udałem się w najniedostępniejsze góry.

Helena.

W Karpaty?

Ludmir.

W Karpaty.

Helena.

Nieba!

Ludmir.

Tam ni snu, ni spoczynku.—Błąkałem się po urwiskach; nieraz jak widmo stawałem się w nocy przestrachem spokojnych mieszkańców....

Helena.

Ha! Waligórski!

Ludmir.

Co?

Helena.

Zbójco!

Ludmir.

Ja?

Helena.

Ty! *(Ludmir parska śmiechem)* Nieszczęsny! nie pokrywaj śmiechem—wyjawiłeś com, niestety, przeczuła. Niedaremnie wczoraj moja prababka spadła z kołka. Uchodź, uchodź nieszczęsny—za pół godziny już późno będzie.

Ludmir *(na stronie).*

Tego honoru nie spodziewałem się wcale.

Helena.

Za kwadrans może już Helena nic całkiem, nic dla ciebie uczynić nie potrafi.

Ludmir.

Dla czegoż za kwadrans?

Helena.

Twój towarzysz cię zdradził.

Ludmir.

Jaki towarzysz?

Helena.

Wiktor.

Ludmir.

Wiktor? zdradził?

Helena.

Zdradził cię — wyznał tyle ile potrzeba było, aby przedsiewzięto środki grożące twojej wolności.

Ludmir.

Cóż Wiktor powiedział?

Helena.

Że Ludmir, człowiek niebezpieczny—strzeżcie się—gdyż biada wam, biada!

Ludmir.

O Van-Dyku przeklęty!

Helena.

Van-Dyk się więc zowie?

Ludmir.

I gdzież jest?

Helena.

Zniknął.

Ludmir.

Zemścił się.

Helena.

Właśnie wspominał o zemście.— Uchodź, uchodź nieszczęśliwy, ofiaro czarnych losów.—Lecz w chwili wiecznego rozstania nie waham się wyznać, iż nie sam jeden ulegasz pod krwawym ciosem.—Serce Heleny towarzyszyć ci będzie.—Jej modły ulatywać będą nad twoją drogą głową.—Oby się stać mogły niezłomną tarczą! Oby mogły wyjednać dla ciebie przebaczenie i spokojne nadal życie!

Ludmir.

Heleno! serce więc twoje odpowiada mojemu.— Nie zwiodły mnie wejrzenia twoje.—Ach, powtórz, powtórz, że kochasz, że wierzysz, iż jesteś kochaną—pozwól mieć nadzieję....

Helena.

Żadnej, żadnej; uchodź, nie trać czasu.

Ludmir.

Jedno tylko słowo: kochasz mnie?

Helena.

Niestety!

Ludmir.

Gdyby rodzice zezwolili...

Helena.

Ach, na cóż wznawiać krótkie ułudzenie duszy!— Żegnam cię, żegnam, ty, którego nazwać nie śmiem.

Ludmir.

Słuchaj mnie więc.

Helena.

Nie—każda chwila dla ciebie droga.

Ludmir.

Ależ pozwól...

Helena.

Uchodź—las w blizkości—przez ogród.

Ludmir.

Miejmy nadzieję.

Helena *(wskazując na niebo).*

Tam! *(odchodzi)*

SCENA X.

Ludmir *(sam).*

O bazgraczu! poczekaj!—Chciałeś mnie kłopotem nabawić, ale ci się nie udało; więcej zyskałem niż straciłem. Wiem teraz, że mnie Helena kocha.—Czegoż mam się lękać? każą stawić mi się przed władzą miejscową... mam papiery jasno świadczące... *(szukając)*

Gdzież... cóżto?... jeżeli... to znowu żart za gruby.— Łba mi nie utną, ale zawsze niemiło i parę godzin być źle uważanym—może odjechał. Nie, toby zanadto było... ale kto wie... Janusz mścić się będzie... ma za co... w samej rzeczy żart trochę za gruby.

SCENA XI.

Ludmir, Szambelanowa.

(Szambelanowa wybiegłszy z pokoju pana Jowialskiego, jak w obłąkaniu chwyta Ludmira za piersi)

Szambelanowa.

Masz myszkę na łopatce? masz myszkę na łopatce?

Ludmir *(cofając się).*

Za pozwoleniem...

Szambelanowa.

Człowieku odpowiadaj: masz myszkę na łopatce?

Ludmir.

Ależ mościa dobrodziejko! za pozwoleniem, mój surdut, ja nie rozumiem.

Szambelanowa.

Czy masz na prawej łopatce znak myszy, pytam cię się wyraźnie raz jeszcze.

Ludmir.

Rzecz dziwna!

Szambelanowa.

Odpowiadaj, na Boga jedynego, odpowiadaj.

Ludmir.

Jeżeli o to idzie koniecznie, mam.

Szambelanowa.

I wszystko prawda coś Jowialskiemu powiadał?

Ludmir.

Co do słowa.

Szambelanowa.

Przysięgniesz?

Ludmir.

Ależ za pozwoleniem...

Szambelanowa.

Mów, bo oszaleję.

Ludmir.

Przysięgnę jak tego trzeba będzie. *(na stronie)* Co to jest?

Szambelanowa.

Płynącego w kolebce Cyganie złapali?

Ludmir.

Tak jest.

Szambelanowa.

Potém zostawili chorego?

Ludmir.

U pana Żaby w Litwie.

Szambelanowa.

I ten później okupił u nich wiadomość zkąd cię wzięli?

Ludmir.

Tak jest.

Szambelanowa.

Że z Wisły?

Ludmir.

Tak jest.

Szambelanowa.

I razem przedali krzyżyk, który miałeś był na szyi?

Ludmir.

Krzyżyk?

Szambelanowa.

Srebrny?

Ludmir.

Tak jest.

Szambelanowa.

Z literami B. B?

Ludmir.

Rzecz dziwna! tak jest w istocie.

Szambelanowa.

Pokaż, pokaż prędko— B. B. Barbara Bobkówna.

Ludmir.

Miałażby jaką wiadomość o moich rodzicach... *(dając krzyżyk)* Oto jest.

Szambelanowa *(rzucając się na szyję).*

Syn! syn mój!

Ludmir.

Ja jestem?

Szambelanowa.

Młody Tuz, syn Jenerała-Majora Tuza. O Charles, Charles! ja od siebie odchodzę, ty stoisz jak martwy. Mon fils!

Ludmir.

Zadziwienie.— W tym domu może żart...

Szambelanowa *(ściskając).*

Ach, żartem serce tak nie bije— to serce matki.

Ludmir.

Matko! *(klękając)* pobłogosław syna.

Szambelanowa *(ściskając go).*

Gdzież miałam oczy— wszakże to żywy portret mojego pierwszego męża ś. p. Jenerała-Majora Tuza. Mon Charles! ożenię cię z Heleną.

Ludmir.

Nie dziwuj się, matko, że skąpo wyrażam uczucia moje— nadto, nadto ich wiele na raz.

Szambelanowa.

Wszak Helena ci się podobała?

Ludmir.

Kocham ją.

Szambelanowa.

Ona nie będzie przeciwną?

Ludmir.

Spodziewam się.

Szambelanowa.

Niechże cię jeszcze uściskam, żywy obrazie biednego Jenerał-Majora nieboszczyka. *(ściska go)*

SCENA XII.

Szambelanowa, Ludmir, Szambelan.

(Szambelan przy szpadzie, cofa się kilka kroków zobaczywszy uściśnienie żony)

Szambelan *(na stronie).*

A to co?

Szambelanowa.

Kochany Karolu!

Szambelan *(na stronie).*

Pójdę poskarżyć się jegomości.

Szambelanowa.

Powiedzże mi, powtarzaj każdy szczegół twojego życia. Ach, ileż to ja szczęścia straciłam!

SCENA XIII.

Ciż sami, Pan Jowialski, pani Jowialska.

P. Jowialski.

Nieśmiało wychodzę, bo nie wiem czy się smucą, czy się weselą.

Szambelan.

Smucą się.

Szambelanowa.

Weselą się. Oto jest Charles— mój syn, syn Jenerał-Majora...

Szambelan.

Co, słyszę!

P. Jowialski.

Bogu dzięki.

Szambelan.

Cuda cuda!

P. Jowialski.

Przecie waćpani teraz rozśmiejesz się czasem i drugim za złe wesołości brać nie będziesz.

Szambelanowa.

Wszystko teraz ze mną zrobicie.

Szambelan.

Wszystko? kochany synek i ja się cieszę, że się znalazł.

P. Jowialski.

Bardzo się cieszę, że z nami zostaniesz.

Szambelan.

Łatwiej kijek gruby... Łatwiej grubemu... Łatwiej kijek....

SCENA XIV.

Ciż sami i Helena.

Helena.

Nieba! czy go biorą?

Szambelanowa.

Nie, nie. On ciebie weźmie, jeżeli dziadunio pozwoli.

Helena.

Pan... jakże mam nazwać?

Ludmir *(śmiejąc się).*

Nie Waligórski, żarty to były Wiktora. Znalazłem, droga Heleno, matkę, a jeżeli pan Jowialski zezwoli, znajdę ojca i żonę.

P. Jowialski.

Oddawna zostawiłem Helusi zupełną wolę w wyborze męża.

Szambelanowa.

Od ciebie więc, Heleno, zależy.

P. Jowialski.

Nie naglijcieże na nią. Wiecie jak się od tego wyprasza. Dajcież jej przynajmniej parę miesięcy do namyślenia.

Helena.

Jeżeli dziadunio każe, to ja już zwłoki nie będę prosiła.

P. Jowialski.

Aha! Wyszło szydło z worka— ze smyczy kochanek do budy. Lepszy gil, niż motyl; prawda?

SCENA XV.

Ciż sami, Janusz, Wiktor, dwóch żołnierzy.

Wiktor *(papiery w ręku, kulejąc).*

Jakiż obmierzły, przeklęty dzień dzisiejszy! Już drugi raz jak włóczęga jestem prowadzony. Pokazuję papiery— nie— chodź— czy wszyscy dziś zdrowe zmysły utracili? *(siada; żołnierze na znak Jowialskiego odchodzą)*

Janusz *(do Szambelanowej).*

Wypełniłem rozkazy— teraz działać na panią.

Ludmir *(do Wiktora).*

Cóż się z tobą działo?

Wiktor.

Zabrałem twoje papiery— przestraszyłem Szambelana i schowałem się w ogrodzie— ale przez ciekawość nie mogłem na miejscu usiedzieć. Wyglądałem z gęstwiny co moment, tak mnie też ujrzał kapral.

P. Jowialski.

Zdybał jak czajkę na gnieździe.

Wiktor.

Osądził za postępowanie nader podejrzane i kazał iść z sobą.

P. Jowialski.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Wiktor.

I proszę się— przekładam rzecz całą— nie— od furtki ogrodowej – przez całą ulicę— przez cały dzie-

dziniec— prowadzą mnie między końmi jak ostatniego urwisza.

Ludmir.

Ale żebyś wiedział, jak mnie dokuczyłeś.

Wiktor.

Niech się przynajmniej tém pocieszę.

Ludmir.

Znalazłem matkę.

Szambelanowa.

A ja syna.

Janusz.

Tam do kata!

Szambelan.

I będzie można z nią robić, co chcieć.

Wiktor.

Ten człowiek w czépku się urodził— a mnie...

P. Jowialski.

Tak to zawsze. Jednemu szydła golą, drugiemu i brzytwy nie chcą.

Ludmir.

I Helena będzie moją.

Janusz.

O, za pozwoleniem....

Helena.

Tak jest, dusze nasze zrozumiały się od pierwszego dotknięcia. Rodzice zezwalają na uzupełnienie ich światowego szczęścia.

Janusz *(do Szambelanowej).*

Mościa dobrodziejko, to może jakie oszukaństwo.

P. Jowialski *(na stronie).*

O, długo pokuka, kto babę oszuka.

Szambelanowa.

Ach, serce moje mnie nie zwodzi i podobieństwo jego do pierwszego mojego męża ś. p. Jenerała...

Janusz.

Ale obietnica, mościa dobrodziejko.

P. Jowialski *(na stronie).*

Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.

Szambelanowa *(dawnym sposobem mówienia).*

Dziwi mnie, że waćpan ośmielasz się żądać, abym z krzywdą własnego syna i wbrew jego dobru, dotrzymywała w innych stosunkach uczynionej obietnicy. C'est drôle!

Szambelan *(na stronie).*

Oj, coś znowu podawnemu.

P. Jowialski.

Bliższa koszula, niż suknia ciała, mówi przysłowie.

Ludmir.

Pierwiej sobie, potém tobie.

P. Jowialski.

Pierwiej Sobkowi, a potém Dobkowi.

Janusz.

Widzę, że wszyscy bawili się i bawią dotąd moim kosztem.

P. Jowialski.

Wszyscy tańcowali, a tyś skrzypka zapłacił.

Wiktor.

O, i mój grosz wpadł do skrzypców.

P. Jowialski.

Ale to oddane rzeczy, mój panie. Nie turbuj się, i ty

znajdziesz żonę, bo przysłowie mówi: Każda Marta, znajdzie Gotarta *).

Janusz.

Mam wieś dobrą.

P. Jowialski.

I abym cię pocieszył, powiem ci bajeczkę. Znacie o Czyżyku i Ziębie?

Wszyscy.

Znamy.

P. Jowialski.

Słuchajcie więc.

Janusz.

Wiem, wiem.

P. Jowialski *(przytrzymując go za rękę).*

Słuchaj:

Na ciemnym jarzębie
Młody czyżyk siadł przy ziębie;
A że zawsze myśl w nim płocha,
Ledwie zoczył jużci kocha.
Lecz uważa, prócz urody,
— W tém już baczny lubo młody—
Że ptaszyna ma w udziele
W swém mieszkaniu ziarna wiele.
Tém mieszkaniem domek mały:
Drobne kratki go składały,
I szczeblikiem drzwi podparte
Stały otwarte.

Szambelan *(okazawszy iż zrozumiał).*

Samotrzask.

---

*) Tu koniec sztuki na scenie.

P. Jowialski.

Uważał czyżyk dość długo, a potém
Lekkim zbliżyli się lotem.
Nuci, śpiewa, bawi,
O miłości prawi,
Wzajemności żąda,
A na proso wciąż pogląda;
Zięba zaś swoim zwyczajem,
Wdzięczy się nawzajem.
Zięba nadobnej była urody,
A czyżyk młody.
Pokarm był piękny, liczny, dorodny,
A czyżyk głodny.
Nie myśląc więc wiele,
Posunął się śmiele,
Lecz ledwie przy kratce...
Trzask!— Czyżyk w klatce.
Zrazu pieszczoty zięby, jej głos miły,
Myśli niewoli z główki oddaliły,
Lecz niedługa
Ta usługa.
Jakby nie ta co z początku,
Dumała gdzieś w swoim kątku,
A gdy czyżyk, grzecznie, ładnie
O śpiewanie ją zagadnie;
Huknie,
Fuknie:

—Ja póty wabię, pókim sama w domu,
Póki mi trzeba podobać się komu.—
Choć westchnął czyżyk nad dzielnością mowy
Nie stracił głowy,
Wspomniał o prosie;
Wziął się do niego. Lecz o smutny losie!
O nadziejo marna!
Dużo tam łupek, a niewiele ziarna—
Westchnął jeszcze i wzdychał, ale nic nie zmienił.
Nie jeden jest czyżykiem co się dziś ożenił.

P. Jowialska.

Figle! figle!

(Janusz odchodzi)

KONIEC.

NOCLEG
W APENINACH.

OPERETKA

W JEDNYM AKCIE.

Żaden morza przebrnąć nie usiłuje, bo widzi niepodobność: w kałużę łatwo każdy wpadnie, bo się spodziewa przejechać.

And. Max. Fredro.

OSOBY.

ANZELMO, właściciel małej gospody w Apeninach.
ANTONIO, syn } ANZELMA.
LIZETA, córka }
FABRICIO, Toskańczyk.
ROZYNA, jego narzeczona.
BOMBALO, Szarlatan.
PODRÓŻNI, ŻANDARMY.

Rzecz dzieje się w gospodzie ANZELMA, w Apeninach, na granicy Toskanii.

NOCLEG W APENINACH.

SCENA I.

(Duża izba — Drzwi dwoje — Okno po lewej stronie aktorów. Stół na środku, na nim lampa — Krzesła duże z poręczami. W głębi przy drzwiach łóżko.)

Anzelmo, Lizeta, Podróżni, Antonio.

(na stronie, z tłómoczkiem na plecach).

Wszyscy *(śpiewają).*

Co za zjazd! co za ścisk nieba dziś dały!

Anzelmo *(w środku, świeca w ręku).*

Choćbym rad, choćbym chciał, pełny dom cały.

Podróżni *(po prawej stronie Anzelma).*

Łóżka dla mnie!

Anzelmo.

Niema.

Podróżni *(po lewej stronie Anzelma).*

Łóżka.

Anzelmo.

Niema.

Podróżni wszyscy.

Łóżka, łóżka.

Anzelmo *(obracając się na wszystkie strony).*

Niema, niema, niema.
Wszakże macie przed oczyma.
Niema miejsca, niema, niema.

Wszyscy.

Co za zjazd! co za ścisk nieba dziś dały!
Choćbym rad, choćbym chciał, } pełny dom cały.
Choćby rad, choćby chciał, }
macie }
Wszakże } przed oczyma,
mamy }
Niema miejsca, niema, niema. —

(Wszyscy odchodzą za Anzelmem, prócz Antonia.)

SCENA II.

Antonio, Lizeta.

Antonio.

Lizeto!

Lizeta *(po krótkiém milczeniu).*

Antonio! *(rzucając się w objęcie)* Antonio kochany! Ty że to jesteś?

Antonio.

Ja to, ja twój brat, ów zbieg, ów trzpiot niegodziwy.

Lizeta.

Kochany bracie.... Ale czemuż nie śpieszysz do ojca. *(biegnąc ku drzwiom)* Ojcze, ojcze!

Antonio *(zatrzymując ją).*

Co czynisz, dla Boga!

Lizeta.

Nie lękaj się, wszystko puścił w zapomnienie, wszystko ci przebaczył. O, jak się ucieszy! jak się ucieszy!

Antonio *(zatrzymując ją).*

Słuchaj mnie wprzódy.

Lizeta.

Ach Antonio, wyrzutów ci nie robię, ale ileż ty nam zgryzot nie sprawiłeś! Porzuciłeś nas tajemnie i przez trzy lata, niegodziwy, ani słowa wiadomości nie dałeś o sobie.

Antonio.

Alboż to moich głupstw tylko tyle?

Lizeta.

Zrazu ojciec czas długi nie przestawał ci złorzeczyć, później nie chciał wspominać, na końcu tylko płakał.

Antonio.

Z duszy, serca chciałbym mu wynagrodzić sprawione zmartwienia.

Lizeta.

Chciałbyś? Alboż to nie od ciebie zależy?

Antonio.

Sam nie wiem.

Lizeta.

Wszystko przebaczył, powiadam, długi twoje popłacił i pisał za tobą na wszystkie strony. — Ale powiedz mi, co się z tobą działo? gdzież byłeś? jak żyłeś? co robiłeś? —

Antonio.

Ha, gdzie byłem? co robiłem? jak żyłem? słuchaj.

Antonio *(śpiewa).*

Jedna suknia, pończoch para,
Trzy bajoki i gitara,
Wszystko było com wziął z domu,
Kiedym drapnął pokryjomu —
Ale miłość w sercu była,
Miłość w podróż mnie wabiła.

Dla miłości jawnie, skrycie
Poświęcałem moje życie:

Kochany, kochałem;
Zdradzany, zdradzałem;
Pieszczony, pieściłem;
Czubiony, czubiłem.
Dla miłości jawnie, skrycie
Poświęcałem moje życie.
Ale miłość choć się śmieje,
Nie nakarmi, nie ogrzeje,
I, per Bacco, z mą gitarą
Wyschłem, siostro, jak cygaro.
Trzeba było coś dochodu,
By nie umrzeć jak pies z głodu.
Probowałem różne stany,
Byłem wszystkiém na przemiany:
Handlarzem, Aktorem,
Kucharzem, Faktorem,
Muzykiem, Tancerzem,
Laikiem, Żołnierzem.
Probowałem różne stany,
Byłem wszystkiém na przemiany.
Ponętą fałszywą wiedzeni,
Szukamy dalekich kolei,
Lecz wkrótce burzami strudzeni,
Wracamy z ostatkiem nadziei —
Wracamy, wracamy po szkodzie
Spoczywać w ojczystej zagrodzie.

Antonio.

Wracałem więc w szczérej chęci rzucenia się do nóg ojca i wynagrodzenia mu przeszłych trosk życiem jak najprzykładniejszém, gdy w Bolonii znalazłem przeszkodę, która mój chwalebny zamiar jeżeli nie niszczy, to przynajmniej odłożyć przymusza.

Lizeta.

A ta przeszkoda?

Antonio.

Ty mnie łajać będziesz.

Lizeta.

Pewnie miłość.

Antonio.

Ale jaka miłość! Jaka! Ach Lizeto, trzeba czuć by ją pojąć można.

Lizeta.

Zawsze jedna piosnka, nie odmieniłeś się jak widzę. Któż więc jest tym nowym przedmiotem nowych westchnień?

Antonio.

Kto? Ach gdybym wiedział!

Lizeta.

Nie wiesz?

Antonio.

Nie wiem.

Lizeta.

Jest wolną przynajmniej?

Antonio.

Nie wiem.

Lizeta.

Jak się zowie?

Antonio.

Nie wiem.

Lizeta.

Jesteś szalony, Antonio.

Antonio.

Szalony, ale z miłości.

Lizeta.

Zawsze więc miłość przyczyną będzie błędów twoich, a zgryzot ojca.

Antonio.

Właśnie dla oszczędzenia mu zgryzot, nie chcę się

z nim jeszcze widzieć. — Jeśli osoba, którą kocham, może być moją — jak się spodziewam — rzucę mu się do nóg i wezwę pomocy; — jeśli nie, na cóż go zasmucać? Ja tu nie zostanę, ja bez niej żyć nie mogę.

Lizeta.

Bez wielu ty już żyć nie mogłeś! Ale niechże się dowiem jak? co?

Antonio.

Przybywając do Bolonii postrzegłem młodą osobę, której twarz.... Ach Lizeto, jaka twarz! Czy tylko będę w stanie opisać ci ją dokładnie.

Lizeta.

Już, już, już wystawiam ją sobie, tylko do rzeczy?

Antonio.

Będziesz ją widzieć, sama osądzisz, czy nie kochać się w niej jest podobieństwem.

Lizeta.

Nie jest podobieństwem; ale do rzeczy.

Antonio.

Spotkałem więc młodą, lubą, śliczną osobę, której twarz cudna, anielska, boska....

Lizeta.

Jak gdybym ją widziała — cóż dalej?

Antonio.

Której twarz głęboki smutek wyrażała. Nieśmiało, a bardziej niechętnie szła obok człowieka starego, brzydkiego, obrzydłego.... I wiesz co, Lizeto, ja ręczę, i przysiągłbym nawet, że to wielki łotr być musi.

Lizeta.

Zapewne.

Antonio.

Możnaby go powiesić na pierwsze wejrzenie.

Lizeta.

Bardzo sprawiedliwie.

Antonio.

Zdawał się strzedz ją pilnie.

Lizeta.

Co za zbrodnia!

Antonio.

Lizeto! tu niema żartów — słuchaj, albo mówić przestanę.

Lizeta.

Choćbyś i przestał, wiem już wszystko. Był to pewnie rozsądny ojciec, który postrzegłszy czułe, wzajemne wejrzenia, zamknął córkę, a sinior Antonio, straciwszy kilka bezsennych nocy pod oknami, musiał odejść z niczém.

Antonio.

Ojciec czy nie ojciec, tego nie wiem; ale że sinior Antonio nie odszedł z niczém, to wiem doskonale. Mimo wszelkiej jego uwagi, widywaliśmy się codzień, wprawdzie zdaleka, wprawdzie ani słowa nie przemówiliśmy do siebie, ale wejrzenia nasze wszystko powiedziały, co nam tymczasem wiedzieć było potrzeba, to jest, że się kochamy, że ona pomocy wzywa, a ja pomódz mam ochotę.

Lizeta.

Czy tak?

Antonio.

Po sześciu dniach nareszcie, gdy przedsiewziąłem bądź co bądź, drzwiami, oknem czy kominem wejść do strzeżonego mieszkania, postrzegłem ją wychodzącą w podróżnym ubiorze, z innym mężczyzną mniej starym, ale równie....

Lizeta.

Brzydkim, obrzydłym, okropnym i łotrem pewnie?

Antonio.

Nie inaczej. Chciałem się już rzucić na niego, gdy jej oczy zapłakane wznoszą się na mnie, a ręce złożone zdają się wzywać pomocy ale i roztropności razem.

Lizeta.

I cóż zrobiłeś? Zaczynam być niespokojną — cóż się stało z tą nieszczęśliwą?

Antonio.

Daję znak, że jej nie odstąpię, że ją chcę ratować i postępuję z daleka za niemi; a przekonawszy się, że idą drogą ku Florencyi, wracam, zbieram tłómoczek, wyprzedzam ich niebawem i tu staję przed niemi. Burza powstaje, tu muszą nocować, znajdę zatém z twoją pomocą sposobność dowiedzenia się o wszystkiém i zaradzenia nieszczęściu.

Lizeta.

Jeżeli tylko jest do zaradzenia.

Antonio.

Nie wzywałaby pomocy, gdyby podobieństwa nie było.

Lizeta.

Cóż mam czynić?

Antonio *(po krótkiem milczeniu).*

Dom pełny, nigdzie miejsca. — Niech w tym pokoju nocują.

Lizeta.

Chyba na tych krzesłach, ale i tu sami nie będziecie: to łóżko już zajęte. — Bombalo Szarlatan położył na nim swoje rzeczy.

Antonio.

Rzeczy?

Lizeta.

Swój parasol.

Antonio.

Czy nie ten, co przed domem na środku drogi wysławiał swoje cudne leki?

Lizeta.

Ten sam.

Antonio.

Nic nie szkodzi, nawet lepiej, uwaga mojego wroga podzieloną będzie.

Lizeta.

Pomagać będę, ale Antonio, jeśli to twoje zwykłe miłostki?

Antonio.

Nie, przysięgam ci, nic w świecie tej mojej miłości nie zmieni. Tu w lubych Apeninach z moją kochanką żyć i umrzeć pragnę.

Lizeta.

Litością wiedziona jedynie
Chcę być pomocną tobie,
Jeżeli z czasami nie minie,
Co w tej przysięgasz dobie.

Antonio.

Miłością wiedziony jedynie,
Co już przysiągłem sobie,
Co nigdy z czasami nie minie,
To dziś powtarzam tobie.

Lizeta.

Zostaniesz na zawsze już z nami?

Antonio.

Ach, pragnę pozostać już z wami.

Razem.

Zostaniesz, zostaniesz z nami,
Zostanę, zostanę z wami,
Mówi mi to skryty głos —

Miłość zmieni srogi los,
Mówi skryty serca głos.
Tak, tak, głos serca nie mami:
Zostaniesz, zostaniesz z nami.
Zostanę, zostanę z wami.

(Antonio składa swój tłómoczek po prawej stronie od aktorów)

SCENA III.

Lizeta, Antonio, Bombalo.

Bombalo *(trzymając w jednej ręce szkatułkę, w drugiej ząb).*

Ecco lo! Ecco lo! to mi ząb! Biały i czysty jak marmur di Carrara — Co za korzeń, proszę patrzeć. Siedział w szczęce, jak dąb w opoce. — Jak pielgrzymy pielgrzymami, żaden jeszcze takiego zęba nie miał, i żadnemu tak zręcznie nie był extyrpowany. *(wszystko co mówi, pokazuje gestami)* Siadłem na beczce, pielgrzym na fasce, jak go pocisnę.... on w gwałt — niebój się, mówię. — Aj, aj! Nie aj, aj— czekaj— będziesz zdrów — I trzask, ecco lo! ząb w ręku. Zapłać teraz bratku! Ha, ha, ha! zapłać, zapłać! — Proszę tylko patrzeć, co to za ząb — to nie ząb, to kieł! i to u pielgrzyma. Chè diavolo!... Jeżelibyś waćpan miał także.... *(dostaje instrument ze szkatułki)*

Antonio.

Nie, nie, zdrów jestem zupełnie.

Bombalo.

Jeden moment bolu. *(staje na krześle)* Proszę bliżej.

Antonio.

Ani myślę.

Bombalo

(zeskakuje i przyciąga go do krzesła, na które znowu wstępuje).

Może i bolu nie będzie.

Antonio.

Bardzo wierzę.

Bombalo.

Niech tylko pomacam.

Antonio *(wyrywając się).*

Dziękuję — niema potrzeby.

Bombalo *(przybiegając do Lizety).*

Niech tylko pomacam.

Lizeta.

Nic z tego.

Bombalo.

Pokaż, pokaż zęby.

Lizeta.

Nie do panny z taką prośbą.

Bombalo.

Prędko, prędko, nie mam czasu.

Lizeta.

Ależ proszę uspokoić zbytnią gorliwość — oboje, Bogu dzięki, zdrowi jesteśmy.

Bombalo.

Zdrowi? Ha, ha, ha! zdrowi! Żaden człowiek nie jest zdrów, bo na to są lekarze. — Zdrowi!... Ale może nie wierzycie, nie ufacie mojej sztuce? *(otwierając szkatułkę)* Oto cudne leki na wszystkie choroby i niektóre inne.

Bombalo *(śpiewa).*

Oto cudny, przedni sok!
Kogo boli głowa, bok,

Kolki męczą,
Wiatry dręczą,
Kaszel krztusi,
Czkawka dusi,
Febra, poty,
Żółć, suchoty,
Et cætera,
Et cætera,
Niech zażyje, pomoc szybka:
Raz, dwa, trzy! zdrów jak rybka.

Oto woda z cudnych ziół!
Kto się objadł, kto się struł,
Kto się zdyma,
Kto snu niema,
Kto usycha,
Ciężko dycha,
Ma złą cerę,
Mizererę,
Et cætera,
Et cætera,
Niech zażyje, pomoc szybka:
Raz, dwa, trzy! zdrów jak rybka.

Oto cudna, przednia maść!
Jak na szpilkę tyle kłaść.
Czy kto zbity,
Czy przebity,
Czy zwichnięty,
Czy pęknięty,
Prosty, krzywy,
Zmarły, żywy,

Et cætera,
Et cætera,
Niech się natrze, pomoc szybka:
Raz dwa, trzy! zdrów jak rybka.

Antonio.

Doskonałe leki i nigdy tyle nie żałowałem, ile w tej chwili, że nieba mnie dobrém udarowały zdrowiem.

Bombalo *(biorąc go na stronę).*

Proszek miłośny? co?

Antonio.

Hm! hm!

Bombalo.

Za bezcen —

Antonio.

Proszę!

Bombalo.

Za cekina rozkochasz dwadzieścia jedną panien.

Antonio.

Tego sobie nie życzę.

Bombalo.

Rozdzierać cię będą.

Antonio.

Miła mi całość moja.

Bombalo.

Ale to w honorowym sposobie.

Antonio.

Nie wątpię.

Bombalo.

Nie chcesz? — Dwadzieścia jedna za cekina? Co?— za pół? — nie?

Antonio.

Nie, nie i nie.

Bombalo *(biorąc na stronę Lizetę).*

Krople panieńskie za skuda.

Lizeta.

Dziękuję.

Bombalo.

Bezsenność cierpisz, hm? o, ja to rozumiem. — Panny zwykle sypiać nie mogą — ziewają, ruszają się — przewracają na wszystkie strony. A jak matka zapyta: co ci to córuniu? — Pchła, mamuniu. — Nieprawda, nie pchła, ja wiem lepiej. — Pchła! — Trzy krople, a sen nastąpi spokojny. —

Lizeta.

Dziękuję, dziękuję. Na dole u stołu już miejsca niema, zatém panowie pozwolą tu sobie służyć.

Bombalo.

Mniejsza z tém. — Razem jeść będziemy. *(do Antonia)* Dobrze?

Antonio.

Razem jeść będziemy — rozumiesz Lizetko?

Lizeta.

Rozumiem.

Bombalo.

Ale każdy za siebie zapłaci.

Antonio.

Oczywiście.

Bombalo.

Jakiemiż nas łakociami, prócz swojej twarzyczki, uczęstujesz Lizetko? nie zaszkodzi wiedzieć.

Lizeta.

Będzie zupa z fasoli.

Bombalo.

Bravo!

Lizeta.

Karczochy z oliwą.

Bombalo.

Bravo!

Lizeta.

I sałata.

Bombalo.

Hola! czy ja muł, żebym tyle jadł; parę karczochów, e basta.

Lizeta.

Na wety groch i koper.

Bombalo.

Koper! bravissimo! królewski stół mieć będziemy, byle tylko prędko.— Pielgrzym zmęczył mnie kaducznie. —

Lizeta.

Wkrótce będzie wszystko.

SCENA IV.

Antonio, Bombalo.

Bombalo.

Hm, hm! mój młody paniczu.... jakże się zowiesz?

Antonio.

Antonio.

Bombalo.

Mój Antonio, diabelnieś mi się sentymentalnie zawijało koło Lizetki.

Antonio.

Nic nie szkodzi.

Bombalo.

Szkodzi, szkodzi, to nie dobrze, pod mojém okiem nie spodziewaj się.... O ho, ho! ja przez szparę patrzeć nie lubię.

Antonio *(na stronie).*

Będzie mi przeszkadzać, jak uważam.

Bombalo *(chodząc z powagą).*

Bo człowiek, który złemu nie przeszkadza, staje się współ-winowajcą. —

Antonio *(na stronie).*

Chciałem go właśnie uprzedzić.

Bombalo.

Nie dosyć samemu być dobrych obyczajów, trzeba i drugich do nich skłaniać.

Antonio *(na stronie).*

Czy oszalał!

Bombalo.

Trzeba karcić rozwiązłość.

Antonio.

Niech cię licho porwie z twojemi morałami.

Bombalo.

Zwykła mowa trzpiotów. —

Antonio *(na stronie).*

Przeszkadzać mi będzie.

Bombalo.

Są tacy, którzy chętnie jedno okno zamykają.

Antonio.

Żebyś mógł i oba zamknąć.

Bombalo.

Za kogoż to mnie masz?

Antonio.

Nie zamykaj więc i noc całą.

Bombalo.

A gdybym i zamknął, jakążbym ztąd miał korzyść?

Antonio.

Aha! O to idzie— korzyść z mojej sakiewki.

Bombalo.

Biedny młodzieńcze, ty pomocy potrzebujesz; lituję się.

Antonio.

Jeśli mi zechcesz pomagać.

Bombalo *(nastawiając rękę).*
Niech słyszę.

Antonio.
Tu nie o Lizetę idzie.

Bombalo.
Jak chcesz.

Antonio.
Niema nic nieuczciwego.

Bombalo *(przybliżając rękę)*
Niech widzę.

Antonio.
Ja się chcę żenić.

Bombalo.
Jak chcesz.

Antonio.
Trzeba mi twojej zręczności, abyś uśpił....

Bombalo.
Hm, hm, jakiegoś Argusa — rozumiem —

Antonio.
Obiecujesz więc?

Bombalo.
Niech widzę....

Antonio.
Dołóż wszelkiego starania, abym mógł z nią mówić.

Bombalo.
Co dasz, u kaduka?

Antonio *(śpiewa).*
Masz trzy pawły, miej staranie....

Bombalo.
Hę, trzy pawły, mój ty panie,
Za ząb jeden zwykli płacić,
A ja cztéry mogę stracić.
Nie, nie, nie, nie, rzecz skończona:

Daj całego franczeskona. (*) —

Antonio.

Ach, ubóstwo miej na względzie,
Niech sześć pawłów dosyć będzie.

Bombalo.

Franczeskona, franczeskona!

Antonio.

O ty duszo niewzruszona!

Bombalo.

Daj, daj, daj, daj, nie pomoże.

Antonio.

Więc ci jeszcze dwa dołożę. —
Wszakże i mnie żyć potrzeba.

Bombalo.

Miłość syci i bez chleba.
Franczeskona!

Antonio *(prosząc).*

Lubciu drogi!

Bombalo.

Franczeskona.

Antonio.

Sępie srogi!

Bombalo.

Franczeskona! franczeskona!

Antonio.

Na, masz diable.

Bombalo.

Rzecz skończona.

(*) Franczeskon, talar zawierający dziesięć pawłów.

Razem.

Antonio.

Miłości, miłości święta,
Zwróć na dół miłe oczęta.
Antonio twój sługa stały
Los ci swój powierza cały!

Bombalo.

Zręczności, zręczności święta,
Zwróć na dół miłe oczęta,
Bombalo twój sługa stały
Grzbiet ci swój powierza cały!

Bombalo.

O cóż więc idzie?

Antonio.

Chodźmy na dół, wszystko ci opowiem.

Bombalo.

Czemuż nie tu?

Antonio.

Aby ptaszka nie spłoszyć.

Bombalo.

Nie rozumiem.

Antonio.

Chodź, chodź, wszystko zrozumiesz.

Bombalo.

Ale jedzenie?

Antonio.

Wkrótce wrócimy.

Lizeta

(z koszem, z talerzami i świecą w ręku).

Precz! precz temi drzwiami! *(Antonio i Bombalo odchodzą bocznemi drzwiami)* Tu, tu. *(Lizeta wołając za sobą)* Tu, tu proszę za mną. —

SCENA V.

Fabricio, Rozyna, Lizeta.

(Fabricio i Rozyna z tłómoczkami)

Fabricio.

Przeklęta burza! niepodobieństwo przejść granicę. *(do Lizety)* Ależ ja mówiłem dwa łóżka.

Lizeta.

Nie tylko dwóch, ale i jednego łóżka niema!

Fabricio.

Ani jednego?

Lizeta.

Ani jednego.

Fabricio.

To mi oberża!

Lizeta.

Burza powstająca wstrzymała wszystkich podróżnych w naszym niewielkim domu!

Fabricio.

Co mnie do tego.

Lizeta.

Zapewne nic mu do tego, ale dom cały pełny — wszystko zajęte, nawet to jedno krzesło.

Fabricio.

Jakże będzie?

Lizeta.

Jeszcze te dwa krzesła są na usługi.

Fabricio.

Piękny nocleg.

Lizeta.

Od waćpana woli zależy zostać lub iść dalej.

Fabricio.

Tak, iść dalej! Jak iść dalej na taką burzę?

Lizeta.

Ha, więc w miękkiém szerokiém krześle lepiej noc przedrzémać, niż brnąć i błądzić po śniegu.

Fabricio.

Przeklęta burza! *(rzucając tłómoczek po lewej stronie)* Żebym choć już był za granicą. Przeklęta burza i taka karczma z nią razem!

Lizeta.

Zkądże Pan Bóg prowadzi?

Fabricio.

Z Bolonii, z Bolonii.

Lizeta.

Zapewne żona waćpana?

Rozyna.

O nie, nie, nie żona.

Fabricio.

Rozyno! ciszej!

Lizeta *(na stronie).*

Rozyna, nie żona.

Rozyna.

Milczeć nie będę.....

Fabricio.

Paroksyzm, widzę, nadchodzi.

T R I O.

Rozyna.

Już się groźby twej nie boję,
Powiem wszystkim sprawy twoje.

Fabricio.

Dobrze, dobrze, serce moje,
Powiedz wszystkim co ja broję.

Rozyna.

Będę żale moje głosić.

Fabricio.

Możesz żale twoje głosić.

Razem.

Rozyna.

Będę, będę, będę głosić,
I o pomoc wszystkich prosić.

Fabricio.

Możesz, możesz, możesz głosić,
Ja cierpliwie będę znosić.

Fabricio *(biorąc na stronę Lizetę).*

Moja żona, biada, biada,
Zdrowych zmysłów nie posiada.

Rozyna *(do Lizety).*

Nie wierz temu co powiada,
W każdém słowie sroga zdrada.

Lizeta.

Tu szaleństwo, a tu zdrada,
Któż z was prawdę mi powiada?

Razem.

Rozyna.

Nie wierz, nie wierz etc. etc.

Fabricio.

Moja żona etc. etc.

Lizeta.

Któż z was prawdę etc. etc.

Rozyna.

Niech się ze mną co chce dzieje,
Ani kroku ztąd nie zrobię.

Fabricio.

Zrobisz, zrobisz, mam nadzieję,
Poradzę ja przecie sobie.

Rozyna.

Nie, nie, nie, nie, nie, nie zrobię.

Fabricio.

Wiem, wiem, wiem, wiem, wiem co zrobię.

Razem.

Rozyna.

Nie, nie, nie, nie, nie, nie zrobię,
Wolę umrzeć w tejże dobie.

Fabricio.

Wiem, wiem, wiem, wiem, wiem co zrobię,
Poradzę ja przecie sobie.

Lizeta.

(do Fabricia) Krwi daremnie nie psuj sobie.
(do Rozyny) Pomyślimy o sposobie.

Fabricio.

Przeklęta, przeklęta burza!

Lizeta *(do Rozyny, nakrywając do stołu)*

Miej nadzieję.

Fabricio.

Co za nadzieję?

Lizeta.

Że burza ustanie.

Fabricio.

A jutro w śnieg po kolana!

Lizeta *(do Rozyny).*

Pomoc blizka.

Fabricio.

Co za pomoc?

Lizeta.

Do przekopania śniegu.

Fabricio.

Przeklęta burza!

Lizeta *(do Rozyny).*

Antonio tu jest.

Fabricio.

Co, Antonio?

Lizeta.

Sant Antonio nasz Patron wspierać was będzie.

Fabricio.

Ale dla kogoż cztéry nakrycia?

Lizeta.

Alboż jeść nie chcecie?

Fabricio.

Owszem, ale nas tylko dwoje.

Lizeta.

A dwóch podróżnych, którzy tu także nocować będą — więc cztéry.

Fabricio.

Podróżni? tu nocować? starzy? młodzi?

Lizeta.

Nie uważałam.

Fabricio.

Ale przecie?

Lizeta.

W średnim wieku podobno.

Fabricio.

Ja chcę jeść osobno.

Lizeta.

Nigdzie miejsca niema.

Fabricio *(na stronie).*

W średnim wieku! O przeklęta burza! *(głośno)* Żeby się te domy pozapadały, gdzie łóżka, ani miejsca osobnego u stołu niema. *(na stronie)* W średnim wieku

Lizeta.

Dom mały, gości dużo, zresztą róbcie jak chcecie.

(odchodzi)

SCENA VI.

Fabrycio, Rozyna.

Fabricio.

Siniorina znowu swoję komedyą zaczyna — ale, przysięgam, gorzko żałować będzie.

Rozyna.

Już powiedziałam i powtarzam, jednego kroku ztąd nie zrobię.

Fabricio.

Koszt mi tylko zrobisz, więcej nic; będę musiał nająć muła, wsadzić cię na niego, przywiązać nawet w potrzebie, i tak zawieść do domu.

Rozyna.

Opowiem rzecz całą.

Fabricio.

Nie probowałażeś tego już razy kilka?

Rozyna.

Niestety!

Fabricio.

Mam pasport.

Rozyna.

Fałszywy.

Fabricio.

Ale skuteczny. Mąż z żoną swoją chorą na pomieszanie zmysłów, wraca od doktora z Bolonii do domu swego we Florencyi. — Każdy czyta i milczy.

Rozyna.

Ach, czemuż mnie nieba skarały tym niewielkim majątkiem, kiedy się stał przyczyną mego nieszczęścia i łotrostwa waszego.

Fabricio.

Rozyno!

Rozyna.

Opiekun mnie przedaje.

Fabricio.

Twój opiekun jest człowiek uczciwy, lepiej zna nad twoję młodą głowę, istotne dobro; — dla twego szczęścia powierzył mi ciebie jako synowcowi i przyjacielowi swojemu!

Rozyna.

Przeklęta niech będzie godzina, w której sztyletem waszym zastraszona, pierwszy krok z Bolonii uczyniłam. Ale coście we dwóch mogli wykonać w zakątnym domu, tego ja się tu już nie lękam.

Fabricio.

I nie masz się czego lękać. — Uważana jako pozbawiona zdrowych zmysłów, litość tylko możesz wzbudzić, a papiery moje tak są dostateczne, że wzywając pomocy, wezwiesz ją tylko przeciw sobie.

Rozyna.

Spodziewaszże się, srogi, okrutny człowieku, że ja w Toskanii dobrowolniej rękę ci oddam?

Fabricio.

Potém o tém. Ciemna komórka i kawałek chleba chłodzi krew, i upór łagodzi.

Rozyna.

Boże! w jakiém ja jestem ręku!

SCENA VII.

Ciż sami, *(w głębi)* **Antonio, Lizeta, Bombalo.**

Rozyna.

O, z tyrana srogich rąk
Choćby zgonem wybaw Boże!

Takich strapień, takich mąk
Dłużej serce znieść nie może.

Razem.

Rozyna.	Dłużej	serce	znieść nie może.
Lizeta.		męki	
Antonio.	Wybawże	mnie,	wybaw Boże!
Bombalo.	Wybawże	ją,	

Fabricio *(ironicznie z gniewem).* Dłużej męki znieść nie może.
Cierpliwości daj mi Boże!

Rozyna.

Jak samotny w polu kwiat
Nie mam żadnej już opieki:
Ledwie widzę co to świat,
A już cierpię całe wieki.

Razem.

Rozyna.	Nie mam	żadnej już opieki.	
Lizeta.	Nie ma		
Antonio.	I już	cierpię	całe wieki.
Bombalo.		cierpi	

Fabricio. Jak nie uzna mej opieki,
Cierpieć będzie całe wieki.

(pierwsza zwrótka powtórzona)

(Lizeta odchodzi)

Rozyna *(postrzegiszy Antonia).*

Ach!

Bombalo.

Co to? Czy słabo? *(biorąc ją za puls)* Doktor Bombalo jestem ja. *(cicho)* Będziemy cię ratować. Ale co mi dasz?

Fabricio *(wbiegając między nich).*

Cospetto! Doktor! Chorych dobijaj, a zdrowym daj pokój.

Antonio *(do Rozyny cicho).*

Jesteś w domu mego ojca. — Bądź cierpliwa — myślę o ratunku.

Fabricio *(wbiegając między nich).*

A waszeć co mówisz? Czy może cérulik?

Bombalo *(cicho do Rozyny).*

Nie chciej ztąd iść dalej — gwałtu nie użyje — ale co mi dasz?

Fabricio *(wbiegając między nich).*

Cóż to znowu, u licha! recepty niepotrzeba.

Antonio *(do Rozyny cicho).*

Możemy być szczęśliwi, jeżeli mnie kocha Rozyna.

Bombalo

(zatrzymując Fabricia, który mu się chce wyrwać).

Lizeta mówiła, że Rozyna chora.

Antonio *(do Rozyny).*

Winnaś mi odpowiedź.

Fabricio *(do Bombala).*

Chora, to sobie chora.

Rozyna *(do Antonia).*

Ach, czytaj ją w oczach moich.

Bombalo *(szarpiąc Fabricia).*

Ja jestem doktor! Bombalo! Ja pomogę na wszystkie słabości! za mierną cenę! możeś także słaby, możeś chory?

Fabricio

(wyrwawszy się, porywa Rozynę za rękę i odprowadza na stronę).

(do siebie) Ha, bryganty! — Rozyno, tu stój!— nie patrz się! *(do siebie)* Gdzie ja jestem! O przeklęta burza!

Antonio.

Ha, ha, ha! Zazdrośny, zazdrośny!

Fabricio.

Być może.

Bombalo.

Słyszeliśmy o nieszczęściu Rozyny i chcemy być pomocni, każdy tém czém może. Ja dam lekarstwo bardzo tanio.

Fabricio.

Obejdzie się, obejdzie. *(na stronie)* O łotry! jak się patrzą! jak jastrzębie — przeklęta burza! Oka nie zmrużę. *(Lizeta przynosi jedzenie)*

Bombalo.

Bravo! zupa na stole.

Lizeta.

Dobrego apetytu. *(do Antonia)* Dowiedziałeś się czego?

Antonio.

Nic jeszcze nie wiem.

(Lizeta odchodzi)

Bombalo.

Ja będę gospodarzem, nota bene, każdy za siebie zapłaci —proszę więc siadać. — Bez ceremonii, siniore, jak mam nazwać?

Fabricio.

Fabricio, Fabricio.

Bombalo.

Tu, tu sinior Fabricio.

(Antonio chce siąść koniecznie koło Rozyny, co mu Bombalo ułatwia, ale zawsze nadaremnie, nareszcie odmieniając miejsce, siadają od lewej strony: 1-sza Rozyna, 2-gi Fabricio, 3-ci Bombalo, 4-ty Antonio.)

Antonio *(podając talerz).*

Piękna Rozyna pozwoli sobie służyć?...

Fabricio *(wyrywając).*

Nie pozwoli, nie pozwoli.

Bombalo *(do Antonia).*

O che bestia!

Fabricio *(na stronie).*

O bryganty! *(do Rozyny)* Gdzie się patrzysz?

Bombalo.

Złe czasy, sinior Fabricio, kto co ma, chce mieć tylko dla siebie.

Fabricio.

Głupi, kto się dzieli. *(do Rozyny)* Czemu nie jesz?

Bombalo.

Z ludźmi jednak żyć potrzeba.

Fabricio.

Jak z jakiemi. *(do Rozyny)* Gdzie się patrzysz? *(na stronie)* Przeklęta burza!

Antonio.

Piękna Rozyna tak smutna.

Rozyna.

Ach, gdybym....

Fabricio.

Cicho! *(do Bombala)* Złe, złe więc czasy, sinior Bumbola.

Bombalo.

Bombalo, nie Bumbola.

Antonio.

Ten tylko może być smutnym, co już żadnej nie ma nadziei.

Bombalo.

Sinior Antonio dobrze mówi, trzeba mieć nadzieję.

Fabricio.

Sinior Antonio wolałby jeść, niż gadać.

Antonio.

Jak mi się podoba.

Fabricio.

Ja tylko radzę.

Antonio.

Piękna Rozyna....

Fabricio.

Co u licha z tą piękną Rozyną i Rozyną piękną! nie dać komu pokoju! *(na stronie)* O łotr! o jastrząb!

Rozyna.

Muszę być cierpliwą....

Fabricio.

Tra la la, tra la la.

Rozyna.

Ale już nie długo....

Fabricio.

Tra la la, tra la la.

Antonio.

Sinior Fabricio lubi śpiewać.

Fabricio.

Bardzo lubię.

Rozyna *(do Fabricia).*

Nie lękaj się jeszcze....

Fabricio.

Tra la la, tra la la.

Bombalo.

Tra la la, tra la la, cóż to za śpiewanie, u licha!

Antonio.

Zaśpiewajmy co lepszego i nalejmy szklanki. —

Bombalo.

Dobrze, śpiewajmy tymczasem.— Śpiewajmy, pijmy, bo w winie pociecha i rada.

Antonio.

Kiedy żal, smutek, biéda,
Lub się zrobi jaki błąd,
Kiedy mózg pomysł wyda,
A nie wiedzieć zacząć zkąd:
Wina, wina, wina dzban,
To mi radca! to mi pan!

Bombalo.

Kiedym dał, co ma sztuka,
A mój chory nie chce wstać,
Kiedy śmierć we drzwi puka,
A ja nie wiem co już dać:
Wina, wina, wina dzban,
To mi radca! to mi pan!

Fabricio.

Kiedy kto mego łaknie,
I wymierza na mnie cios,
A mnie w tém myśli braknie,
Jak mu szczutka palnąć w nos:
Wina, wina, wina dzban,
To mi radca! to mi pan!

Bombalo.

Hola! hej! wina!

Antonio.

Teraz niech nam Rozyna zaśpiewa!

Fabricio.

Rozyna później swoje godzinki odśpiewa.

SCENA VIII.

Ciż sami, Lizeta *(z winem).*

Bombalo.

Jeszcze szklaneczkę, szanowny podróżujący obywatelu Toskanii. *(do Antonia)* Pije jak smok.

Fabricio *(na stronie).*

Chce mnie upoić. *(do Bombala)* Dolewaj, dolewaj, zobaczymy kto z nas lepszy. Rozyno, nie wstawać.

Lizeta *(do Antonia cicho).*

Prosiłam żandarmów, aby tego panicza mieli na oku.

Antonio *(podobnież do Lizety).*

Ale jak się dowiedzieć od Rozyny, co czynić potrzeba, kiedy jej słowa nie da wymówić?

Lizeta.

Wiesz co, idź na ganek pod okno, ona ztąd się przybliży; tak będziecie mogli pomówić z sobą, kiedy Bombalo flaszką zabawiać go będzie.

(wskazuje Rozynie okno, ta daje znak, że rozumie)

Antonio *(udając pijanego).*

Napełnijcie moję szklankę, ja wam zaraz służyć będę.— Lizeto, jeszcze wina! Wina najlepszego! zaraz, zaraz wrócę. *(odchodzi z Lizetą)*

SCENA IX.

Fabricio, Bombalo, Rozyna, *(później)* **Antonio.**

Fabricio *(na stronie).*

To do Rozyny, to do Lizety, o łotr!

Bombalo *(na stronie).*

Teraz pomyślmy o sobie.

Fabricio *(na stronie).*

Wszystko sidła, wszędzie sidła. O burzo przeklęta!

Bombalo.

Ztąd i ztąd wziąść pieniądze, to nie głupio! Ja tak zrobię, a cudze interesa Bogu powierzę.— Niech się dzieje wola święta; nie mnie w nią się mieszać.—

(Rozyna wstaje)

Fabricio.

Dokąd?

Rozyna.

Nie zabłądzę.

Fabricio.

Pocóż do okna?

Rozyna.

Odmówię pacierze.

Fabricio.

Zaraz wrócić.

(Rozyna otwiera zasuwkę okna).

Rozyna.

Zaraz, zaraz.

Fabricio.

Na tę stronę, Rozyno! na tę stronę, mówię!

Rozyna.

O cierpliwości! *(wraca i siada trochę w głębi po prawej stronie)*

Bombalo.

Szanowny Fabricio, mówmy z sobą szczerze.

Fabricio.

Naprzykład?

Bombalo.

Jeśli umiesz być wdzięcznym, mogę ci znaczną usługę wyrządzić.

Fabricio.

O, chcesz mi usłużyć, ja to dobrze widzę, ale na każdą usługę mam stosowną nagrodę— stosowną, *(Antonio otwiera okno, kiwa na Rozynę, ta mu daje poznać, że nie może się zbliżyć)* rozumiesz szanowny Bombalo. Ale cóż tu za ciąg, u licha! Okno otwarte.

Rozyna.

Zaraz zamknę.

Fabricio.

I ja potrafię. *(Antonio ukryty tłucze szybę)*

Bombalo.

Nie ja stłukłem— nie ja zapłacę— nie ja — nie ruszyłem się z miejsca— mam świadka.

Fabricio.

Anim się dotknął— Rozyny sprawka— okno otwierać na taki wicher, trzeba być prawdziwie szaloną.— *(Zamyka i wraca— Antonio pokazuje głowę przez stłuczoną szybę i stara się na znaki rozmawiać z Rozyną. W ciągu tej sceny sprzątają ze stołu i stół ku lewej stronie cofają)*

Fabricio

(mówiąc z Bombalem po lewej stronie, stoi obrócony tyłem do okna)

Jakaż to ma być usługa?

Bombalo.

Ale nagroda?

Fabricio.

Kota w worze nie kupują.

Bombalo.

Niech i tak będzie. Ów młodzieniec Antonio zna się z Rozyną jeszcze w Bolonii.

Fabricio.

Tam do kata!

Bombalo.

Kochają się wzajemnie.

Fabricio.

To być nie może.

Antonio.

O łotrze przeklęty!

Bombalo.

Jak to święty?

Fabricio.

W uszach ci szumi, mów dalej.—

Bombalo.

Szuka tylko sposobności zdmuchnięcia ci jej zręcznie i już, i już... teraz co dasz?

Fabricio.

Co już? mów prędzej.

Bombalo.

Co dasz?

Fabricio.

Na, masz; gadaj.

Bombalo.

Mało.

Fabricio.

Więcej potém— gadaj.

Bombalo.

Wiele?

Fabricio.

Drugie tyle.

Antonio.

I kijów bez miary.

Bombalo.

Hę?

Fabricio.

Co?

Bombalo.

Nie dajesz wiary?

Fabricio.

Nie, słucham.

Bombalo.

Chciał mnie więc panicz przekupić, abym mu był pomocnym w zatrzymaniu ciebie.

Fabricio.

Tego się nie boję.

Bombalo.

Ale ja nie lubię w takie rzeczy wchodzić; udałem jednak, że się daję przekupić, a to dla tego, abym był w stanie wiedzieć jego zamiary i zapobiedz wszelkim niemoralnym i nieobyczajnym wypadkom.

Antonio.

Kości mu połamię.—

Bombalo.

Hę?

Fabricio.

Co?

Bombalo.

Co mówisz o damie?

Fabricio.

W uszach ci dzwoni. Cóż dalej?

Bombalo.

Miej się na ostrożności.

Fabricio.

Mam ja się na ostrożności przeciw wszystkim i wszystkiemu.

Bombalo.

Uważaj.

Fabricio.

Uważam, żem darmo zapłacił.

Bombalo.

Straciłeś przeciwnika, zyskałeś przyjaciela.

Fabricio.

Pierwszego się nie lękam, drugiego mi nie trzeba.

Bombalo.

Nie trzeba, nie trzeba— Hm, hm! interes twój jednak nie bardzo czysty.

Fabricio.

Doprawdy?

Bombalo.

Ta żona, która nie jest żoną— ta szalona, która nie jest szaloną...

Fabricio.

Mam na wszystko dowody.

Bombalo.

Dowody, dowody. Hm, hm! sinior Fabricio, żandarmy są w domu.

Fabricio.

Żandarmy?

Bombalo.

Żandarmy jak z marmuru, niezmiękczone ani prośbą, ani datkiem.

Fabricio.

Żandarmy?

Bombalo.

Będą jutro papiery przezierać.

Fabricio *(na stronie).*

Przeklęta burza!

Bombalo.

To czas jakiś zabawi.

Fabricio *(na stronie).*

Przeklęty nocleg!

Bombalo.

Jak co dostrzegą, hm, hm, hm! *(po krótkiém milczeniu)* możnaby wszystkiemu zapobiedz... ale obiecanka?

Fabricio.

Kto w szponach diabła, z diabłem w drogę.— *(daje mu pieniądze)*

Bombalo.

Słuchaj więc. Daj się niby zwodzić temu trzpiotowi, a kiedy on tobą będzie zatrudniony, ja wezmę Rozynę i dalej przez granicę.

Fabricio.

Ho! ho!

Antonio.

Wprzód kark skręcisz.

Bombalo.

Hę? co skręcisz, jak to skręcisz? nie skręcę, bo w tém o mnie idzie.

Fabricio.

Co temu się marzy! ale dalej, dalej.—

Bombalo.

Będzie myślał, że dla niego ją uprowadzam i nie uzna za rzecz potrzebną zatrzymywać się dłużej.

Fabricio.

A jak mnie zdradzisz?

Bombalo.

Jestem człowiek uczciwy!— Zresztą rób jak chcesz. Masz czas do rana... Albo zatrzymasz przy sobie Rozynę, nim cię puszczą lub nie puszczą żandarmy; albo mi ją powierzysz i nim się ułatwisz, ona już będzie za granicą.

Fabricio.

Hm, hm! *(chodzi w głębi zamyślony)*

Bombalo *(na stronie).*

Niech żyje Bombalo! dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Antonio.

Hultaj jesteś.

Bombalo *(do Fabricia).*

Kto hultaj?

Fabricio.

Nie głupiec, to pewnie.

Bombalo.

Hultaj, kto mnie hultajem zowie?

Fabricio.

Któż cię zowie?

Bombalo.

Za moje rady tak przymawiać!

Fabricio.

Któż przymawia? Idź spać, idź doktorze— wino trochę za mocne było.

Bombalo.

Spać idę, idę. *(na stronie)* Bo mi więcej nic nie dasz. *(głośno)* Ale pamiętaj, będziesz żałował. *(idąc do łóżka)* Hultaj! hultaj! proszę! *(mrucząc kładzie się i wkrótce zasypia)*

(Antonio cofa się z okna)

Fabricio.

Przeklęta burza! Jak poznają?— piekło prawdziwe! *(po krótkiém milczeniu)* Nie, nie, nie; Rozyny nie zwierzę. Stary lis, niema mu co ufać.

Nie ufam, nie wierzę
Nikomu w tej mierze:
Niech co chce się stanie,
Rozyna zostanie
Przy mnie tę noc.

Choć żandarm mnie schwyci,
Jak dukat zaświeci,
I chętnie i skoro,
Czy zdrową, czy chorą
W moję da moc.—
Że stary, jak młody,
Chcą oba mej szkody,
Że mogę zapłacić,
Rozynę utracić,
Pewna to rzecz.—
Wet za wet im sprawię,
Sidełka zastawię.
Nim minie pół nocy,
Wypadnie jak z procy
Jeden ztąd precz.— *)

(Stawia stolik między dwoma krzesłami po lewej stronie i wskazując Rozynie krzesło od sceny)

Proszę siadać, oczy zamrużyć i spać— *(zdejmuje suknią, kładzie na stole, zawija się w płaszcz i siada na krześle od ściany)*

Nazwę się gapiem, jeśli tak wszyscy rana doczekamy.

Antonio *(wchodząc).*

Wina! Hola! Wina! *(śpiewa)*

Wina, wina, wina dzban,
To mi radca, to mi pan!

Cóż to? gdzie moja szklanka? wszyscy śpią.

---

*) Jeśli przypadnie powtórzyć ostatnią zwrotkę, zacznie się tak:

Tak, tak, tak zostawię,
Wet za wet im sprawię etc.

Fabricio.

Jeszcze nie śpią, ale chcieliby spać.

Antonio *(siadając na krześle po prawej stronie).*

Co tam spać. I tak krótkie życie, jeszcze na sen tracić.

Fabricio.

Dobrej nocy, sinior Antonio.

Rozyna.

Dobrej nocy, Antonio.

Fabricio.

Jeszcze to nie śpisz?

Antonio.

Śpijcie kiedy chcecie, ja sobie jeszcze zaśpiewam.

Fabricio.

Przeklęty nocleg!

Antonio *(śpiewa).*

Tam na górze wysoko,
Patrzy dziewczę przez kratę;
Zapłakane ma oko,
Czarne włosy za szatę.

Płacze, płacze, płacze w głos:
Smutnyż, smutny jest mój los,
Stary pan kocha mnie,
A ja nie, a ja nie.

A tam w sukni bogatej
Jedzie panicz doliną,
Rzucił okiem na kraty,
Zrozumiał się z dziewczyną.

Skłonił, skłonił, skłonił dłoń,
I uderzył potém w broń:

Kochaj mnie, a twój dziad
Pójdzie w kąt, rad nie rad.
Kogut pieje gdzieś w chacie,
A przy oknie drabinka,
Stary chrapie w komnacie,
A przy młodym dziewczynka.
Hopa, hopa, hopsasa!
Niechaj stary w dudki gra,
A my w lot z domu w las;
Tyleś miał dziadku nas!

Fabricio.

I nuta niemądra i słowa głupie.

Antonio.

Czy się nie podoba?

Fabricio.

Dobranoc, dobranoc. Dam ja ci drabinkę!

Antonio *(na stronie).*

O bóstwo dobroczynne coś mnie zawsze strzegło, co nie raz w mniej szlachetnej wyprawie wspierało na dachach! spuszczało z okien— przesadzało przez mury i parkany— nie opuszczaj mnie w tej potrzebie!— Uśpij prędko Argusa, niech z Rozyną kilka słów pomówię.

Fabricio *(na stronie).*

Mówi pacierz— a czy się ukoi. Zawija się w płaszcz. Śpijże łotrze. Jastrzębiu na drób cudzy, śpij choćby do sądnego dnia. *(gasi światło)*

Antonio.

Przecie!— tylko cierpliwości Antonio! Rozyna z tej strony— wszystko dobrze— tylko cierpliwości. Tu o twój los idzie.

Rozyna *(na stronie).*

Serce mi bije.

Fabricio.

Była ponęta, teraz będzie samostrzał.— *(wstaje cicho)* Rozyno! *(Rozyna udaje śpiącą)* Rozyno! — śpi jak kamień. Rozyno! *(budzi)*

Rozyna.

Ha!

Fabricio.

Pst! na tamte krzesło.

Rozyna.

Tu mi dobrze...

Fabricio *(zatykając usta).*

Pst...

Rozyna.

Przeklęcie! *(siada na krześle od ściany, Fabricio na jej miejscu i bierze laskę w rękę, którą był położył przy fraku na stole— Antonio, który się był trochę zbliżył, wraca)*

Antonio.

Zdało mi się, że coś mówili— ale cicho, nic nie słychać.

Fabricio *(ironicznie na stronie).*

Teraz śpijmy.

Antonio.

Antonio, cierpliwości!

(tu muzyka trwa czas jakiś, co raz ciszej)

Antonio.

Jeżeli teraz już nie śpi, to nigdy spać nie będzie.— Teraz, miłości, powierzam się opiece twojej.

Antonio *(chrząka).*

Hm, hm.

Fabricio *(udanym głosem).*

Hm, hm.

Antonio *(wstając).*

Już mnie słyszy, już mnie czeka,
Chodźmy śmiało, czas ucieka.
Ukoj, serce, drżenie twoje,
Z drugiém sercem ciebie spoję.

(między zwrótkami słychać chrapanie Bombala)

Antonio *(zbliżając się).*

Pst, pst.

Fabricio.

Pst, pst.

Antonio *(zbliżając się).*

Zbliż się do mnie, zbliż kochanie,
Stałych uczuć weź wyznanie,
Z ust kochanka weź ustami,
Noc nam sprzyja, szczęście z nami.

(Antonio zbliża się, lewa ręka naprzód. Fabricio ku niemu, chwyta go lewą ręką za rękę, a prawą uderza kijem po plecach, odskakuje zaraz w tył i machając ciągle, cofa się aż we drzwi mówiąc):

Fabricio.

Masz znak! — Złodziej! Złodziej! *(czas jakiś milczenie)*

Rozyna *(cichym głosem).*

Co się stało?

Antonio.

Nic dobrego — ale to mniejsza! — wróci z ludźmi. Kto z dwóch, łatwo pozna. Czy ucieknę teraz czy mnie wyprowadzą — zawsze tu nie zostanę — co tu robić? Ha! dobrze! Bądź spokojna. *(biegnie do Bombala, daje mu mocny policzek i prędko wraca na swoje miejsce)*

Bombalo *(zrywając się).*

Ho! ho!

Antonio *(chrapie).*

Hrr... hrr...

Bombalo.

Gwałtu, gwałtu, co to było,
Ni to piorun, ni się śniło,
To policzek był wybity,
I wyraźny, i obfity,
Czuję palców pięć na twarzy, } bis
Jakże szczypie, jakże parzy. }

Ale zkąd ten policzek? zkąd u diabła? Hej? kto mi dał policzek? Hej, słyszycie! powiedzcie! kto mnie uderzył?

Fabricio *(wbiegając ze świecą).*

Ja, ja uderzyłem.

Bombalo.

Ty, ty?

Fabricio.

Ja, ja ale... to... nie.... *(chwytają się za barki, szamoczą i wywracają na łóżko)*

(Anzelmo wpół ubrany ze świecą wbiegł za Fabriciem, a wkrótce za nim następnie podróżni, czeladź, — żandarmy z różną bronią i narzędziami, wszyscy w dziwacznych strojach)

Anzelmo.

Ale mości panowie... ale mości panowie.... wstydźcie się.... cóż u kaduka.... w moim domu.... takie gwałty, takie krzyki.

Żandarm.

Rozerwać ich!

Drugi żandarm.

Puśćcie się! spokojność! zgoda!

Żandarm.

Muszą być pijani.

Antonio *(ze swego miejsca).*

Do aresztu! niech nie budzą uczciwych ludzi.

Wszyscy.

Do aresztu! do aresztu!

(żandarmi i czeladź rozrywają bijących się)

Fabricio.

Ha, łotrze! ale to nie....

Bombalo.

Ha, hultaju!

Żandarm.

Precz! precz! z niemi!—

(wszyscy odchodzą z hałasem i krzykiem: do aresztu. Światło zostaje w głębi)

SCENA X.

Rozyna, Antonio.

Antonio.

Rozyno!

Rozyna.

Antonio.

Razem.

O roskoszy! o radości!
Wolno sercu bić miłości,
Wolno ustom dać wyznanie,
Wieczną, wieczną że zostanie.

Antonio.

Gdyśmy się w chwili
Pierwszej zoczyli,
Wzięłaś mi duszę.

Rozyna.

Wzięłam ci duszę,
Gdyśmy się w chwili
Pierwszej zoczyli?

Antonio.

Przysiągłem skrycie.

Rozyna.

Przysiągłeś skrycie?

Antonio.

Że całe życie.

Rozyna.

Że całe życie?

Antonio.

Kochać cię muszę.

Rozyna *(rzucając mu się w objęcie).*

Kochać cię muszę.

Razem.

O roskoszy, o radości!
Wolno sercu bić miłości,
Wolno ustom dać wyznanie,
Wieczną, wieczną że zostanie.

SCENA XI.

Anzelmo, Lizeta, Rozyna, Antonio.

Anzelmo.

Antonio! Antonio!

Antonio.

Ojcze kochany!

Anzelmo.

Przyciskam cię nareszcie do serca mojego.

Antonio.

Przebaczasz....

Anzelmo.

Przebaczam, wszystko przebaczam, byleś nas nie odstępował.

Antonio.

Na to Rozyna odpowie.

Anzelmo.

Lizeta ile wiedziała, już mi powiedziała. Ale jeszcze nam potrzeba twojego objaśnienia.

Rozyna.

Fabricio jest synowiec mojego opiekuna, który mnie oddał jemu w ręce, za odstąpienie połowy dość znacznego posagu.

Antonio *(do Lizety).*

Wszak mówiłem.

Lizeta.

Miłość przeczuła.

Rozyna.

W Bolonii, gdzie moi rodzice czas jakiś mieszkali, bali się przymusem spełnić moje nieszczęście; uradzili zatém

przeprowadzić mnie do Toskanii, gdzie nieznana nikomu, od nikogo pomocy spodziewaćbym się nie mogła.

Antonio.

Nie, nie, nie pójdziesz z nim — prawda ojcze?

Anzelmo.

Ale nie przerywaj.

Rozyna.

Aby zaś w drodze skargi moje nie były słuchane, Fabricio ma fałszywy pasport, jako niby mąż ze swoją żoną pomieszanych zmysłów, od doktora, do domu wraca.

Lizeta.

Co za przebiegłość!

Antonio.

Co za zbrodnia!

Rozyna.

Tak, do kogokolwiek się udałam, zawsze napróżno, bo wszelkie świadectwa przeciw mnie mówiły.

Anzelmo.

Ale jakże i teraz władzę tutejszą przekonamy o postępkach tego złoczyńcy?

Rozyna.

Ma przy sobie pulares.... Ale może. *(szuka w sukni pozostałej na stole)* Oto jest! oto jest! W nim się znajduje układ między nim a stryjem, a co więcej, listy, które wprzód do siebie pisali. *(przegląda papiery)* To wszystko mając w ręku, już go się teraz nie lękam, zwłaszcza przy waszej opiece.

Anzelmo *(składając papiery).*

Więcej niż potrzeba, aby go na lat kilka do więzienia zasadzić.

Rozyna.

Nie chcę, nie pragnę jego kary, niech tylko wolność odzyskam.

Antonio.

A jak odzyskasz?

Rozyna.

Tobie ją oddam—jeśli twój ojciec zezwoli.

Anzelmo.

Ach, dzieci moje, szczęścia tylko waszego pragnę.

Lizeta.

A siostra błaga o to.

Anzelmo.

Niech cię jeszcze uściskam, Antonio luby, kochany.

Anzelmo.

Ciebież widzę synu drogi?
Ledwie oczom moim wierzę.

Antonio.

Tyle trosek, tyle trwogi,
Przebacz ojcze, przebacz szczerze.

Anzelm.

Dziś się troski już ukoją,
Dziś cierpienia los opłaca.

Antonio.

Niech zostanie córką twoją,
Ta co syna ci powraca.

Anzelmo, Antonio.

Będzie, będzie córką { twoją / moją } bis razem.

Ta co syna { ci / mi } powraca.

Razem.

Niech miłości czysty kwiat,
Co dziś zrywa { nasza / wasza } dłoń,
I w przeciągu dalszych lat
Zawsze wieńczy { naszę / waszę } skroń.

Anzelmo.

Bądźcie spokojni, wszystko się jutro dobrze skończyć musi.

Antonio.

Dlaczegoż aż jutro?

Anzelmo.

Chceszże i wesele tej nocy odprawić?

Antonio.

Ale ojcze....

Lizeta *(przedrzeźniając).*

Ale Antonio—nie bądź szalony.

SCENA XII.

Ciż sami, Fabricio i Żandarm,

(który przy drzwiach zostaje).

Fabricio.

Gdzie Rozyna? Gdzie mój frak? Jest.—Ha, jesteś!

Antonio.

Ani kroku.

Anzelmo.

Powoli, sinior Fabricio.

Fabricio.

Co tam powoli.—Chodź żono.

Wszyscy.

Żono. Ha, ha, ha!

Fabricio.

W ten moment ztąd wychodzę, nikt nie ma prawa mnie przytrzymywać; to są moje.... Ha, mój pulares! jestem okradziony.

Anzelmo.

Bynajmniej, pulares w mojém ręku.

Fabricio.

Proszę o niego. *(chce go nagle schwycić)*

Anzelmo.

Powoli. — Wkrótce go dostaniesz, tylko wprzód przejdzie przez ręce komendanta żandarmów.

Fabricio *(na stronie).*

Przeklęta burza! *(głośno)* Ja sam złożę potrzebne papiery.

Antonio.

A niepotrzebne schowam.

Anzelmo *(biorąc go niby na stronę).*

Jest tu pewien układ z opiekunem Rozyny, są tu pewne listy....

Fabricio.

Jestem zdradzony! tyś mnie zdradziła, Rozyno.

Antonio.

Co za niewdzięczność!

Lizeta.

To z pomieszania zmysłów.

Fabricio *(na stronie).*

Biłbym, tłukłbym, szarpałbym — a nie mogę.

Anzelmo.

Skończmy zgodnym sposobem. Dowody twego postępowania są jasne.— Więzienie cię czeka.— Ale Rozyna nie pragnie zemsty.— Chce ci przebaczyć.— Idź sobie do domu szczęśliwie i popraw się, jeśli możesz.

Fabricio.

Mam iść bez Rozyny?

Lizeta.

A co gorzej, bez posagu.

Fabricio.

Bez Rozyny?

Antonio.

Jeszcze się pyta! Dziękuj Bogu, że cię samego wypuszczamy.

Anzelmo.

Jeżeli nie chcesz, to i tak dobrze będzie. *(do żandarma)* Proszę.....

Fabricio.

Stój! stój! Gorączko; na wszystko przystaję— teraz mój pulares.

Anzelmo.

Oto jest.

Fabricio.

A papiery?

Anzelmo.

Przy mnie zostaną.

Fabricio *(na stronie).*

Niema ratunku— pięćset skudów jak w błoto rzucił.— Przeklęty nocleg w Apeninach.

SCENA XIII.

Ciż sami, Bombalo z Żandarmem,

(który przy drzwiach zostaje).

Bombalo.

Cóż to znaczy? wybili mnie i zamknęli?

Antonio.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Bombalo.

Któż mi za to zapłaci?

Lizeta.

Już wziąłeś zapłatę.

Anzelmo.

Co się stało, to się stało; tu masz nagrodę za doznaną nieprzyjemność. *(daje mu pieniądze)* Niech ta chwila dla wszystkich będzie chwilą radości.

Bombalo.

Dzięki, dzięki stokrotne.— To mi noc! lepsza niż dzień.— *(do Fabricia)* Mam więc winszować?

Fabricio.

Idź do diabła.

Bombalo *(do Antonia).*

Mam więc winszować?

Antonio.

Winszuj.

Lizeta.

Winszuj nam wszystkim, bośmy bardzo szczęśliwi.

FINAŁ.

Anzelmo, Antonio, Lizeta, Bombalo.

Radości serce me bije:
Radość, radość niech nam żyje!
Niech nam żyje długi czas!
Przez lubą, lubą Rozynę.
Zwiedza naszę dziś rodzinę,
I zostanie pośród nas.
Z radości serce mi bije:
Radość, radość niech nam żyje!
Niech nam żyje długi czas.

Rozyna.

Radości serce me bije:
Radość, radość niech nam żyje!

Niech nam żyje długi czas!
Przez wdzięczną, wdzięczną Rozynę,
Jeśli wraca dziś w rodzinę,
Niech zostanie pośród was.
Z radości serce mi bije:
Radość, radość niech nam żyje!
Niech nam żyje długi czas!

Fabricio.

Ze złości serce mi bije:
Ledwie w sobie wściekłość kryję,
Że szczęśliwych widzę was.
Przeklętą burzy godzinę,
I ten nocleg, i Rozynę
Nie zapomnę długi czas.
Ze złości serce mi bije,
Ledwie w sobie wściekłość kryję,
Że szczęśliwych widzę was.

Bombalo.

Radości serce me bije,
Radość, radość niech nam żyje!
Choć nad basy był to bas.
Przez wdzięczność waszę rodzinę
Chciałbym liczyć co godzinę,
Wyliczyłbym wszystkich was.
Z radości serce mi bije,
Radość, radość niech nam żyje!
Choć nad basy był to bas.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

KOMEDYE

ZAWARTE W CZWARTYM TOMIE.

---

stron.

ŚLUBY PANIEŃSKIE, komedya w pięciu aktach, wierszem. 1.

PAN JOWIALSKI, komedya we czterech aktach, prozą. 157.

NOCLEG W APENINACH, operetka, w jednym akcie. 317.

30,—

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
096876

Biblioteka WSP Kielce
0164527